



VALERIE MARTIN
WŁASNOŚĆ

PRZEKŁAD
MICHAŁ MAJCHRZAK

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2003



REBIS

Wciąż to robi. Obserwowałam go przez lunetkę, żeby zobaczyć, co wymyślił tym razem. Tego dnia było ich pięciu. Zebrał wszystkich na brzegu rzeki, zdenerwowanych i przejętych. Jeśli nawet wcześniej nie brali udziału w tych zabawkach, to już o nich słyszeli. Najpierw czyta im ustęp z Biblii. Nie muszę słyszeć, żeby wiedzieć, który to fragment. Potem każe im się rozebrać, co nie trwa nawet chwili, ponieważ mają na sobie tylko lniane pantalone. Jeden po drugim chwytają linę, biorą rozbieg, wylatują ponad wodę i spadają. Jest nieznośnie gorąco; chłodna woda przynosi ulgę, więc korzystają z niej, ile się da. Kiedy już znajdą się w wodzie, zachęca ich do okrzyków i poklepywania się nawzajem; Potem muszą wyjść na brzeg i powtórzyć wszystko od nowa, tym razem jednak wiszą na linie po dwóch, jeden uczepiony drugiego. Właśnie do tego punktu dotarłam, kiedy zaczęłam patrzeć.

Dwóch chłopców odciągnęło linę; pierwszy chwycił ją mocno, a drugi, mniejszy, przyłgnął do jego pleców. Zaczęli się śmiać, kiedy poczuli, jak śliska jest ich skóra. W promieniach słońca ich ciała błyszcząły i parowały tak, jak parują po długim biegu końskie boki. Chłopiec stojący na ziemi wziął rozbieg i poszybował nad krawędzią brzegu, ponad wodę, w chwili, kiedy lina wyniosła ich najwyżej, spadli niczym zranione czarne gęsi, rozbryzgu-

jąc gładką powierzchnią wody. Obserwował ich ledwie kątem oka. Już wybierał następną dwójkę. Kazał jednemu chwycić wracającą liną, przejechał dłońmi po barkach drugiego, przez co chłopak skulił się i wbił wzrok w ziemię. Nie mogłam już dłużej na to patrzeć.

Muszą to robić; muszą mu prezentować swoje zwinne, młode ciała w różnych pozach. Kiedy każe im się uwiesić na linie we trzech albo czterech, obserwuje szczególnie uważnie. Chłopcy ocierają się o siebie; nie da się tego uniknąć. Splatają się kończynami, walczą o utrzymanie się w powietrzu i trzeba niewiele czasu, by któryś wyszedł z wody z uniesionym członkiem. Temu właśnie służy ta zabawa. Taki chłopiec stara się jak najdłużej zostać w wodzie, zwiesza głowę, gdy z niej wychodzi, przywołuje wszelkie myśli, które by pozwoliły opaść tej widocznej nabrzmiałości. On powiada, że to najlepszy dowód, że są bezrozumnymi zwierzętami. Biały człowiek, wiedząc, że czeka go za to lanie, nie byłby w stanie doprowadzić członka do wzvodu.

Pod drzewem stoi jego kij; zawsze ma go w pobliżu. Chłopcy milkną, kiedy po niego sięga. Czasami któryś wybucha płaczem i próbuje uciekać, ale ten dorosły mężczyzna z kijem nie daje mu najmniejszych szans. Nabrzmiałość u sługi znika wtedy równie szybko, jak szybko pojawia się u jego pana, który ruszy natychmiast w kierunku kwater. Jeśli znajdzie matkę chłopca, a ona okaże się ładną, drogo zapłaci za to, że wychowała nienormalne dziecko.

To tylko jedna z tych jego zabaw. Kiedy wróci do domu, przez resztę dnia będzie w świetnym humorze.

Często, gdy spoglądam przez lunetkę, w mojej głowie rozbrzmiewa refren niedowierzania: To mój mąż, to mój mąż.

Rano był wściekły. Powiedział, że pan Sutter wdał się w awanturę z jednym czarnym i kazał go wychłostać, przez co ten czarny będzie bezużyteczny co najmniej przez tydzień. A właśnie wycinają las i każda para rąk się liczy; tak przynajmniej wmówił sobie mój mąż. Ten wychłostany to Leo, nasz najsilniejszy robotnik. Mąż utrzymuje, że nigdy nie było z nim najmniejszych kłopotów, dopóki Sutter nie wymyślił sobie, że Leo jest bezczelny. Sutter tak naprawdę jest zły o to, że Leo przygadał sobie kobietę, na którą on sam miał ochotę. Przez całe śniadanie musiałam tego wysłuchiwać. Przeklinał i powtarzał, że zabije Suttera, potem kazał Sarah zabrać jedzenie, narzekając, że jest zimne. Wyprostował się na krześle i zakrył dłonią oczy.

— Ona mnie truje — oznajmił.

Kiedy Sarah wróciła, udawał łagodnego.

— Czy Walter jest w domu? — spytał. — Przyślij go do mnie.

I tak po chwili mały bękart biegał w tę i z powrotem po jadalni, wpychał brudne palce w półmiski, jak pies chwycił zębami kęsy mięsa wprost z ręki ojca. Sarah stała oparta o kredens i obserwowała; nie wyglądała na bardziej uradowaną tym widokiem niż ja. To dziecko jest szalone, przypomina pięknego i groźnego małego rysia. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zaczęło szarpać pazurami portiery. Ma kręcone, rude włosy i zielone oczy ojca, złocistą skórę matki i jej pełne, odęte wargi. Jego bełkotu nawet Sarah nie jest w stanie zrozumieć. Od czasu do czasu ojciec bawi się nim przez kilka chwil, szybko jednak nuży go to i odsyła małego do kuchni, gdzie ten spędza życie pod stołem, znęcając się nad szczenięciami, które Delphine w swojej głupocie mu podarowała. Kiedy chłopiec zniknął, mąż zwrócił uwagę na Sarah.

— Idź i zajmij się Leo — polecił. — A potem przyjdiesz do gabinetu i doniesiesz mi o wszystkim.

Skinęła głową, nie podnosząc wzroku. Odsunął krzesło, wstał i wyszedł, nie zaszczycając mnie ani słowem.

— Myśli, że go trujesz — powiedziałam, obserwując jej twarz. Zadrgały kąciki jej ust; czyżby z rozbawienia? — Napiję się jeszcze kawy.

Pod pretekstem, że jest mi potrzebna, przez całe przedpołudnie trzymałam Sarah w swoim pokoju, razem z niemowlęciem, które ona nazywa Nell, ciemnoskórym brzydactwem, na szczęście cichym i spokojnym. On nie jest w stanie znieść widoku tej małej. Ma zbyt ciemną skórę, by mogła być jego, tak przynajmniej uważa, choć zdarzały się już przecież dziwniejsze przypadki. Każdy wie, że u dziecka, którego rodzice uchodzą za białych kropla murzyńskiej krwi wylewa się czasami na zewnątrz, niczym atrament z przewróconego kałamarnicza. Łatwo wyobrazić sobie przerażenie takiej pary i pozostałych jej dzieci. W jakiś sposób, bez wątpienia łzami oraz pochlebstwem, Sarah udało się przekonać mojego męża, by pozwolił zatrzymać dziecko w domu do czasu, aż odstawi je od piersi. Na początku trzymała je w kuchni; ponieważ jednak sto razy dziennie musiała biegać w górę i w dół po schodach, on w końcu się zirytował i zażądał ode mnie, że bym coś z tym zrobiła. Kazałam więc Sarah przynieść z kwater skrzynkę po owocach i postawić w rogu mojego pokoju, a ona obdarzyła mnie niezwykle rzadkim u niej bezpośrednim spojrzeniem, mającym świadczyć o tym, że jest zadowolona.

Było tak gorąco, że kazałam się wachlować. Siedziałyś-

my zatem obie, ja z niemal nieodłącznym szyciem, Sarah kołysała wachlarzem, a dziecko spało w skrzynce. Zupełnie nedorzecznie wymościła tę skrzynkę materacykiem wypchanym mchem i włożyła szmacianą kołderkę. Przy-mocowała nawet pałąk z wierzbowej gałązki, który miał podtrzymywać kawałek moskitiery.

— Czy to jakaś księżniczka? — spytałam, kiedy pierwszy raz ujrzałam tę bezsensowną konstrukcję.

— Nie będzie śwędzić, nie będzie płakać — odparła Sarah, co, musiałam przyznać, było stwierdzeniem logicznym. To jedna z tych jej irytujących cech; kiedy już ze-chce się jej odezwać, to mówi całkiem niegłupio.

Po jakimś czasie dziecko zakwiliło. Sarah przystawiła je do piersi; trzymała je na jednej ręce, podczas gdy drugą wciążyła mnie wachlowała. Ustawiła swoje krzesło za moim, żebym nie mogła obserwować karmienia, co nie przeszkodziło mi słyszeć odgłosów cmokania i mamlania, przerywanych od czasu do czasu dźwiękiem przypominającym miauknięcie. Nie rozumiem, dlaczego tak się uparła, by tę małą osobiście wykarmić, skoro i tak po odstawieniu od piersi zostanie ona odesłana do kwater, a potem, kiedy będzie zdolna do pracy, sprzedana. Niewiele mu za nią zapłacą. Trudno jest sprzedać brzydkie dziewczynki o tak ciemnej skórze. Byłby to niezły dowcip, gdyby musiał ją oddać za darmo.

W końcu zaczęło mi się nudzić i spróbowałam poroz-mawiać z Sarah, co było przedsięwzięciem dość bezna-dziejnym.

— Poszłaś opatrzeć Leo? — spytałam.

— Tak — odparła.

— Jest mocno poturbowany?

— Przeżyje.

- Kto go chłostał?
— Nie wiem.
I tyle było tej rozmowy.

Podczas obiadu był ponury. Dostarczono nowe wałki do prasy w cukrowni. Spędził cały rano, próbując je zamontować, i skaleczył się przy tym mocno w rękę. To wszystko wina Suttera, bo przez niego nie mógł wykorzystać Leo, który ma większe doświadczenie z tą prasą niż ktokolwiek inny. Musiał przywołać z pola dwóch robotników, którzy nie odróżniają prawej ręki od lewej i nawet własnych spodni nie potrafiliby powstrzymać przed opadaniem. Skoro Sutter ma ochotę chłostać pracowników na śmierć, złościć się, to dlaczego nie wybiera do tego celu bezwartościowych, jak ci dwaj, zamiast tego jedyne go użytecznego czar-nucha w okolicy.

Kiedy Sarah wniosła ziemniaki, nabrał łyżką wprost z misy i włożył do ust, by natychmiast wypluć je na talerz.

— Czy w tym domu nie ma naczynia do trzymania potraw w ciepłe?! — wrzasnął.

Sarah wzięła misę, odsunęła od niego talerz i ruszyła ku drzwiom. Energicznie wytarł usta serwetką, wypił pół kieliszka wina.

— Głowę dam, że wkłada je do lodowni — utyskiwał.

Przez chwilę przyglądałam mu się obojętnie, nie odzywając się, zupełnie jakby mówił w obcym mi języku. To wyprowadza go z równowagi. Nauczyłam się tej sztuczki od Sarah.

— Skoro nie widzę tutaj nikogo ze służby, pani Mannon — powiedział — będę zmuszony nakłonić szanowną panią, by osobiście podała mi mięso.

Wstałam, podeszłam do kredensu i ukroiłam kilka plasterów pieczeni. Kiedy postawiłam przed nim talerz, rzucił się na jedzenie, jakby od wielu dni nie miał nic w ustach. Wróciła Sarah, niosąc misę owiniętą ścierką; kiedy ją zdjęła, z misy buchnęła para. Mruczał z aprobatą, nakładając sobie porcję ziemniaków na talerz.

Powróciłam na swoje miejsce, ale straciłam ochotę na jedzenie.

— Boli mnie głowa. Zjem później, w swoim pokoju — oświadczyłam, a on skinął głową.

— Chciałbym jeszcze przed kolacją porozmawiać z tobą w gabinecie — rzucił, gdy już wychodziłam.

— Czy godzina czwarta ci odpowiada? — spytałam.

— Tak — odparł z pełnymi ustami.

Szczyci się tym, że w niczym nie przypomina swoich sąsiadów, tymczasem jego gabinet wygląda tak samo jak gabinety wszystkich plantatorów w naszym stanie: porządny dywan, biurko z pokrytym skórą blatem, ryciny z końmi wyścigowymi, Biblia służąca za przycisk do papierów, z zakładką tkwiącą niezmiennie w tym samym miejscu, barek wypełniony butelkami mocnego alkoholu. Kazałam mu na siebie czekać przez kwadrans, żeby go zirytować. Kiedy weszłam, siedział za biurkiem wpatrzony w księgi rachunkowe. Robi to godzinami, podsumowuje długie listy dostaw i te inne, z należnościami.

— Ktoś kradnie kukurydzę — stwierdził, nie podnosząc wzroku.

— Jesteś pewien, że się nie mylisz w obliczeniach? — spytałam.

Podniósł wzrok.

— Zechciej usiąść — powiedział, wskazując ręką fotel.

Byłam tak zaskoczona jego uprzejmym tonem, że zrobiłam, o co prosił, i zajęłam się układaniem swoich spodnic, czekając, aż wyjawi powód tej rozmowy.

— W niedzielę uciekło trzech czarnuchów Joela Borden — zaczął. — Ubiegłej nocy jeden z nich włamał się do wędzarni Duplantiera. Zobaczył go służący i podniósł alarm, ale nie udało im się go schwytać. Duplantier twierdzi, że tamten miał pistolet, choć nikt nie wie, skąd mógł go wziąć. Bo Bordenowi żadna broń nie zginęła.

— Rozumiem.

— Więc kierują się w tę stronę.

— Tak — zgodziłam się.

— Prawdopodobnie spróbują przejść przez tereny zalewowe i dotrzeć do przystani. O zmroku dołączam do patrolu. Tutaj mam dwóch wartowników, którym mogę zaufać; będą krążyli wokół przez całą noc. Dom zamknę, a w kuchni umieszczę psy.

— Delphine boi się psów.

— A niech się boi — rzucił niecierpliwie. — Będzie się bała jeszcze bardziej, jak któryś z tych zwyrodnialców wlezie przez okno z pistoletem w ręce.

— To prawda — przyznałam.

— Chcę, żebyś razem z Sarah poszła do swojego pokoju, zamknęła drzwi na klucz i aż do mojego powrotu nie opuszczała go pod żadnym pretekstem.

Nie podnosiłam na niego oczu.

— Czy nie lepiej, żeby Sarah została w kuchni z Delphine?

— Nie przejmuj się Delphine. Będzie z nią Walter i Rose.

Walter to szalony dzieciak, a Rose to roztrzepana dziew-

czyna. W sytuacji kryzysowej z żadnego z nich nie będzie najmniejszego pożytku.

— No tak, Sarah będzie bardziej bezpieczna ze mną — zauważyłam.

— Obie będziecie bardziej bezpieczne — poprawił mnie. Rzucił mi gniewne spojrzenie, uznawszy moją uwagę za zuchwałą, a potem gładko zmienił temat. — To wszystko wina Bordena. Jego czarni są niedożywieni, a ich nadzorca to najpodlejszy człowiek na świecie. Ta szynka, którą zabrali od Duplantiera, to pewnie ich pierwsze przyzwoite jedzenie w tym roku.

— Joel jest tutaj czy w mieście?

— Przyjechał natychmiast, jak o tym usłyszał. Teraz gdera, że straci dwa tysiące dolarów, jeśli ich zastrzelimy. A przecież nikt z patrolu nie zaryzykuje życia, żeby ratować skórę któremuś z tych przeklętych zbiegów. Jeśli ich znajdziemy, to już lepiej dla nich, żebyśmy ich zabili, niż zaciągnęli z powrotem do tego nadzorcy Bordena, i nie wątpię, że oni to dobrze wiedzą.

— A więc muszą być zdesperowani.

Spojrzał na mnie przeciągle, żeby zorientować się, czy nie drwię. Wyraźnie uspokojony przesunął wzrokiem po mojej postaci.

— Czy to nowa suknia? — spytał, próbując przyłapać mnie na rozrzutności.

— Nie — odparłam. — Ozdobiłam ją jedynie koronką, którą przysłała mi ciotka Lelia.

Obrzucił moją sylwetkę tym pazernym spojrzeniem, które mnie tak niepokoiło.

— Zmieniłaś kołnierzyk. — Trzeba mu oddać, że był spostrzegawczy.

— Owszem — przyznałam. — Moda się zmienia.

— Ciekawe, skąd ty to możesz wiedzieć, skoro tak rzadko bywasz w towarzystwie.

— Przerysowałam sobie z gazety, którą ciotka przysłała mi razem z koronką.

— Bardzo twarzowe.

Kiedyś jego komplementy sprawiały mi przyjemność, ale dawno już przestały robić na mnie jakiegokolwiek wrażenie, o czym dobrze oboje wiedzieliśmy. On uważa moją obojętność za przejaw niewdzięczności.

— Wybacz, jeśli zirytowałem cię tą uwagą na temat twojego wyglądu, Manon — powiedział. — Możesz już iść, jeśli chcesz, chyba że masz do mnie jakąś sprawę.

Wstałam. Jaka to niby miałyby być sprawa? — zastanawiałam się. Może chciałby rzucić okiem na moje rachunki: po jednej stronie skargi, po drugiej postanowienia; wszystko doskonale zbilansowane. Pozwoliłam sobie spojrzeć na jego twarz. Sięgnął właśnie dłonią do wąsów, pogładził je z jednej strony. To taki jego nerwowy tik. Zawsze jest to prawa strona, nigdy lewa. Zawsze, gdy na niego spoglądam, czuję, jak kamienieję; moje plecy wyprostowały się, szyja naprężyła, kiedy się odwracałam, żeby wyjść. Idąc przez pokój, zamiatałam suknią dywan i ten szelest zakończył kolejną, jakże radosną pogawędkę z moim małżonkiem.

W pokoju mojej matki zawsze sypiała służąca, ja natomiast nie uznaję tej praktyki w swoim domu. Kazałam Sarah przynieść siennik i położyć go obok skrzynki niemowlęcia. Z początku myślałam, żeby postawić parawan, który odgrodziłby mnie od jej śpiącej postaci, potem jednak postanowiłam oddzielić nim miejsce przeznaczone

na nocnik, bo jeszcze mniejszą miałam ochotę, oglądać ją, kiedy będzie z niego korzystała.

— Mam nadzieję, że nie chrapiesz — rzuciłam, kiedy borykała się z parawanem.

W pokoju było gorąco, a ja byłam poirytowana tą głupią sprawą, zbędną paniką, tym tupaniem i pokrzykiwaniem mężczyzn, którzy już zdążyli się rozgościć w naszej jadalni, gdzie chwalili się swoimi strzelbami i pochłaniali naszą najlepszą whiskey. Ich głosy przepływały pod moimi drzwiami raz jako monotonne brzęczenie, kiedy indziej jako ochrypły hurkot. W kółko powtarzali „Joel Borden”. Uważają go za fircyka i dandysa, zbyt zajętego myślą o następnym wystawnym przyjęciu, by zwracać uwagę na własne zbiory. Więcej czasu spędza w mieście niż w swoim domu i dlatego jego czarni kręcą się gdzieś po okolicy bez nadzoru.

Czekałam, kiedy sobie wreszcie pójda. Kazałam Sarah, żeby wyszczotkowała mi włosy. Mnie to odpręży, a ona ma przynajmniej coś do roboty. Była ponura, nie bardziej ode mnie zachwycona koniecznością przesiadywania w dusznym pomieszczeniu. Bzycząca mucha wreszcie wylądowała na lustrze i łąziła po naszym odbiciu.

— Utłucz ją — poleciłam.

Zostawiła moje włosy i wzięła packę. Rozkwasiała owada, starła szmatką jego resztki. Ledwie skończyła, przez okno wpadła z bzykiem następna mucha i zaczęła objąć się po suficie.

— Skończ to, co zaczęłaś — powiedziałam — a potem napełnij pułapkę.

Uniosła moje włosy, już wilgotne od potu, i zaczęła zaplatać warkocze. Patrzyłam na jej odbicie w lustrze, na skupiony wyraz twarzy, kropelki potu na czole. Jest zna-

komitą fryzjerką. Przyglądałam się jej długim palcom, kiedy wygładzała fale na moich skroniach, a ona z uwagą śledziła swoje dłonie, wynajdując pojedyncze siwe włosy do wyrwania. Włosy mam gęste, falujące, ich miedziany kolor wydaje mi się zbyt jaskrawy, ale pamiętam, że ojciec zawsze nazywał je swoim złotym skarbem.

Kiedy skończyła, podpięła warkocz do góry, dzięki czemu wreszcie poczułam na szyi chłód. Z dołu dobiegło nas szuranie krzesel, ciężkie kroki oraz śmiech, kiedy mężczyźni wychodzili przed dom, a potem okrzyki, kiedy dosiadali wierzchowców i ruszali na tę swoją misję. Niczym nie zmacona cisza, jaka nastąpiła po całym tym zgiełku, zapowiadała długą noc.

— Wiesz coś o tych zbiegach? — spytałam.

— Jeden z nich jest bratem Delphine — oświadczyła, napełniając pułapkę na muchy wodą z cukrem. Zerknęła na mnie sponad szklanego naczynia, żeby zobaczyć, jak przyjmę tę informację.

Czyżby kierowali się tutaj, licząc na pomoc Delphine? — zastanawiałam się. A co się stanie, jeśli głupia wpuści ich do domu? Nie zrobi tego; za bardzo boi się psów. To dlatego mój mąż zamknął je z nią, a Sarah kazał schować się u mnie.

— Czy to on kazał ci tu zostać ze mną? — spytałam. — Czy też był to twój pomysł?

Za odpowiedź musiał mi wystarczyć jeden z tych jej uśmiezków.

Śniło mi się, że widzę lisa. Kiedy się do niego zbliżyłam, otworzył szeroko pysk, dysząc, i wydał z siebie przenikliwy krzyk. Obudziłam się spowita tym krzykiem; skowyt

wypełniał mój pokój, tak głośny i przeraźliwy, jakby tuż za oknem mordowano kobiety. Przypomniałam sobie o Delphine w kuchni i o zbiegach. Usiadłam oniemiała, gotowa wyskoczyć z łóżka i wtedy krzyk oddalił się raptownie w kierunku chat czarnych.

— Sowa — wyszeptałam z ulgą.

Z kąta pokoju dobiegł mnie szelest; zdażyłam się przestraszyć, nim przypomniałam sobie, że nie jestem sama. Blask księżycy rozświetlał podłogę jasną smugą, urywającą się tuż przed materacem Sarah. Dostrzegłam zarys jej białej koszuli i światełka wlepionych we mnie oczu. Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu, a moje serce powracało do normalnego rytmu. Niemowlę zapłakało cicho i Sarah odwróciła się, żeby je wziąć w ramiona.

— Czy on wrócił? — spytałam.

— Jakoś przed godziną — odparła. — Pani spała.

Opadłam na poduszki. Leciutki powiew delikatnie wydymał ku mnie siatkę moskitiery. Rozpięłam koszulę pod szyją, żeby się ochłodzić. Kiedy odwróciłam się na bok, spojrzałam na zwinięte, przytulone do boku Sarah dziecko, na jej wpatrzone we mnie szeroko otwarte oczy i pomyślałam, że ona mnie tak obserwuje przez całą noc.

Rano był głodny jak wilk. Zjadłam na śniadanie kromkę chleba posmarowaną kreolskim serkiem i wypiałam filiżankę kawy, a potem przyglądałam się, jak on pochłania szynkę, kaszę, ziemniaki, jajka i naleśniki. Wszystko tym razem było wystarczająco gorące. Kiedy skończył, przetarł serwetką twarz i kazał dolać sobie kawy. Potem zaczął snuć opowieść o nocnej przygodzie.

Zbiegowie nawet nie zbliżyli się do naszego domu.

Zgodnie z przewidywaniami członków patrolu, skierowali się ku rzece, mając nadzieję, że wślizgną się na statek i dotrą do Nowego Orleanu. Patrol składał się z dziewięciu uzbrojonych jeźdźców prowadzących sforę psów. Zwierzęta chwyciły trop po mniej więcej godzinie i niedługo potem zauważono, jak jeden z czarnych wspina się na drzewo. Zostawili tam kilka psów, żeby nie pozwoliły mu zejść na ziemię, a sami ruszyli za tamtymi dwoma. Ostatecznie znaleziono ich, tkwiących po pas w przybrzeżnym grzęzawisku.

Poszczuli na jednego z nich psy. Musiało być niezłe widowisko, bo one również ugrzęzły i trzeba je było wyciągać powrozami. Drugi zbieg wykorzystał zamieszanie i dopadł wody, gdzie zaczął się bezradnie miotać, ponieważ nie umiał pływać. Dwaj członkowie patrolu podjechali bliżej i go zastrzelili. Tego, który nadal tkwił w błocie, wyciągnięto w taki sam sposób jak psy. Nie stawiał żadnego oporu, związali mu ręce z tyłu, przerzucili powróż przez gałąź i wrócili po tamtego, którego pilnowały psy. Kiedy próbował ucieczki, psy niemal odgryzły mu stopę; tak był przerażony, że szybko dał się namówić do zejścia z grędy. Wsadzili go na konia i pojechali po tamtego związanego. Jeszcze zanim go zobaczyli, usłyszeli rozpaczliwe wołanie o pomoc. Okazało się, że odkrył go tam aligator i czarny, żeby nie stać się jego obiadem, musiał biegać w kółko na uwięzi. Aligator tak się rozochocił, że zaatakował wierzchowce, więc go zastrzelili. W środku nocy dostarczono Joelowi Bordenowi pod drzwi domu prezent składający się z jednego czarnego martwego, drugiego z niemal odgryzioną stopą, trzeciego śmiertelnie przerażonego i do tego wszystkiego jeszcze aligatora.

Zaśmiewał się z własnego dowcipu, opowiadając tę hi-

storię; to była prawdziwie ekscytująca noc. Sarah stała przy kredensie i słuchała uważnie z oczyma utkwionymi w maselnickę. Ja zaś przyozdobiłam usta nic nie wyrażającym uśmieszkiem i popijałam drobnymi łyčzkami kawę podczas tych irytujących przerw, wypełnionych jego lepkiem śmiechem. Kiedy skończył, popatrzył na Sarah i na mnie, dzieląc się z nami tą swoją jowialną uciechą.

— Myślałam, że czarni Joela byli uzbrojeni — powiedziałam.

— Nie — odparł. — Nie byli.

Sarah rzuciła mi błyskawiczne spojrzenie.

— Czy jednym z nich nie był brat Delphine? — spytałam.

Jego dobry nastrój ulotnił się. Przeniósł wzrok z Sarah na mnie i ponownie na Sarah.

— Wy, kobiety, nic tylko gadacie — oświadczył.

Ponieważ była to tego ranka jego pierwsza rzeczywiście dowcipna uwaga, pozwoliłam sobie na parsknięcie śmiechem, które w zasadzie damie nie przystoi.

— Eben Borden — zwrócił się do Sarah. — Rzeczywiście, był jednym z nich. To ten, któremu psy omal nie odgryzły stopy, ale kiedy nadzorca Bordena się nim zajmie, to ta stopa będzie jego najmniejszym zmartwieniem. — Przyłożył rękę do klatki piersiowej, jego twarz wykrzywił grymas bólu. — A ty i Delphine powinnyście już przestać mnie truć — oznajmił. — W końcu to ja uratowałem życie jej cholernemu bratu.

Sarah zerknęła na jego filiżankę, po czym podniosła dzbanek, żeby znów ją napełnić. Jej twarz nie wyrażała nic.

— Wy, kobiety, powinnyście się zastanowić, co by się z wami stało, gdyby mnie tu nie było — rzucił, zaglądając podejrzliwie w wypełnioną do połowy filiżankę.

Czy Sarah zastanawia się kiedykolwiek, co by się z nią stało, gdyby jego zabrakło? Na pewno. A ponieważ należy do mnie, musi się też zastanawiać, co by się stało ze mną. Domyśla się, że bym ją sprzedała; sprzedałabym ich wszystkich. Czasami to sobie wyobrażam; sprzedaję ich wszystkich i dom, i ziemię, reguluję jego ogromne długi. Wziął pożyczki od brata i z trzech banków, a dom wykorzystał jako zabezpieczenie za remont cukrowni. Cierpi na to, co mój ojciec nazywał „chorobą plantatora”; kupuje ziemię, mimo że nie ma środków na jej uprawę. Jeśli cena cukru tego roku ponownie spadnie, mocno go to dotknie, ale nie będzie miał dość rozsądku, żeby przestać sadzić trzcinę i zmniejszyć deficyt. Nie ma pojęcia, że potrafię czytać książki rachunkowe i że od jakiegoś czasu je sprawdzam. Możliwe, że ten rok jeszcze jakoś przetrwa, jeśli będzie dobra pogoda i stabilne ceny. Taka kombinacja jest jednak mało prawdopodobna, ponieważ dobra pogoda oznacza lepsze zbiory dla wszystkich, co z kolei zdusi ceny. O takich sprawach nigdy z nim nie rozmawiam.

Marzę, żeby zbankrutował, choć jego porażka nieuchronnie doprowadzi do mojej.

Często jestem wdzięczna losowi, że mój ojciec nie dożył, by widzieć mnie tutaj. Gdyby wiedział, jakie każdego dnia znoszę upokorzenia, natychmiast pojawiłby się powozem przed frontowymi drzwiami, żeby zabrać mnie do domu. Naszego domu już nie ma, gdyby jednak nadal tam stał, nadal należał do nas, to choć nie był nawet w połowie tak okazały jak ten, z jaką radością wróciłabym do jego prostych wygód!

Czy nieżyjący nas widzą? Czy ojciec płacze nade mną w swoim grobie?

Gdyby tylko umarł mój mąż, myślę sobie. Gdyby tylko umarł. Jednak on nie umrze. Nie, zanim będzie dla mnie za późno.

Zabawa tego popołudnia była bardziej jednoznaczna, niezbyt oryginalna. Dwaj silni chłopcy mieli walczyć ze sobą tak długo, aż jeden nie będzie w stanie podnieść się z ziemi. I wtedy pokonanemu wymierzano karę chłosty. Obserwowałam ich przez lunetkę i wrażenie było szczególne, ponieważ nie dochodziły do mnie żadne dźwięki. Chłopcy na pewno stękali i pojękiwali, a on zachęcał ich wrzaskami do walki, tymczasem to, co widziałam, zdawało się pogodnym i rytmicznym tańcem. Patrzyłam na to przez kilka chwil. Jeden z chłopców, mimo że mniejszy, był najwyraźniej lepszym wojownikiem.

— Chodź, popatrz przez lunetkę — zwróciłam się do Sarah — i powiedz mi, kim jest ten mały.

Sarah cofnęła się, zupełnie jakbym kazała jej wziąć do ręki karalucha.

— Nie, pszepani — zaprotestowała.

— Niby dlaczego nie? — zdziwiłam się.

— Nie lubię to urządzenie.

— Nigdy przez nią nie patrzyłaś?

Opuściła wzrok i powoli kręciła głową.

Tym mnie zaskoczyła. Lunetka stoi na półpiętrze, przy jedynym oknie domu, z którego widać ich chaty. Zainstalował ją tutaj po to, żeby móc obserwować czarnych przy ich codziennych zajęciach, żeby zobaczyć, gdyby się przypadkiem gromadzili. Sarah musi przechodzić obok niej dziesięć razy dziennie.

— Na twoim miejscu zerknęłabym — zachęcałam ją. —
Może zobaczyłabyś coś, co by ci się przydało.

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu.

— A może już wiesz wszystko, co ci potrzebne — stwierdziłam i znowu spojrzałam przez lunetkę.

Miałam rację. Wyższy chłopak leżał twarzą do ziemi; podciągał nogi, próbując wstać, jak uczące się chodzić niemowlę. Zwycięzca stał przed nim, z poważną miną, zlanym potem. Jego natomiast dostrzegłam w cieniu drzewa, jak schyla się, odkłada Biblię i bierze do ręki kij. Odwróciwszy się, powiedział coś do zwycięzcy, który spojrzał śmiało w kierunku domu, wprost na mnie; takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Cofnęłam się od okna zaskoczona; przez chwilę czułam się jak dziecko przyłapanie na wyjadaniu łakoci. Sarah tymczasem zniknęła w moim pokoju, gdzie zapłakało jej dziecko. Dlaczego niby miałabym się czuć winna? — pomyślałam.

Kiedy się do mnie zalecał, wydawał mi się taki tajemniczy; jego rezerwę brałam za wrażliwość. Był mężczyzną, który wymagał, by bielizna była nieskazitelnie czysta i pachnąca, który nie mógł zatrzymać się na dłużej w mieszkaniu, bo odór z kanalizacji drażnił jego delikatne powonienie. Gdy przychodził z wizytą, wcześniej kazałam dokładnie sprzątać i skrapiać wodą kwiatową salonik; płucałam też włosy w rumianku. Zawsze zauważał miłą atmosferę naszego domu.

— Skoro jest taki wybredny — oznajmiła ciocia Lelia, kiedy usłyszała o naszych zaręczynach — to najlepiej będzie, jak weźmiesz moją Sarah. Wychowała się na wsi, przywykła do wiejskich domostw. Jest najlepszą gospo-

dynią, jaką kiedykolwiek miałam, choć nie skończyła jeszcze osiemnastu lat. Nienawidzi miasta, bo, jak powiada, brud wchodzi do domu za każdym razem, kiedy otworzy się drzwi. Dam ci ją w prezencie ślubnym.

W ten oto sposób Sarah pojawiła się w domu mojego męża, wysłana sześć tygodni wcześniej, żeby go przygotować na mój przyjazd. Zrobiła odpowiednie wrażenie na moim mężu, który napisał do ciotki, żeby osobiście podziękować jej za ten „skarb”; w jego domu nigdy wcześniej nie było takiego porządku.

Zastanawiam się, dlaczego ciotka skazała mnie na taki los. Czy w swojej naiwności sądziła, że mój mąż będzie inny niż jej mąż? Czy też uważała, że skoro jestem młoda i ładna, to Sarah nie będzie łakomym kąskiem?

A może był to z jej strony zwykły akt rozpacz? Dowiedziałam się później, o wiele za późno, że wuj stracił zupełnie głowę, kiedy pewien wolny, czarny mężczyzna chciał kupić Sarah, wyzwolić ją i poślubić. Ten człowiek był pracownikiem wuja, nadzorował przebudowę jego domu i wymyślił sobie, że zakochał się w Sarah. Wuj go wyrzucił, a ten natychmiast wniósł do sądu sprawę o straty materialne. To tak rozwścieczyło wuja, że kazał przywiązać Sarah do krzesła w kuchni i wychłostał ją osobiście na oczach kucharki. Wtedy właśnie ciotka zaczęła się rozglądać za jakimś miejscem, gdzie mogłaby ją ulokować.

W dniu, w którym tu przyjechałam, stała przed domem z pozostałymi, z Delphine i z Bamem, lokajem, którego już nie ma, i z Rose, która była zaledwie dzieckiem i miała pomagać Delphine w kuchni.

— No to jesteśmy na miejscu — oświadczył mój mąż, pomagając mi wysiąść z powozu. — Oto twój nowy dom.

Zbudowany w stylu rezydencji z Indii Zachodnich, jest

okazały w każdym szczególe, włącznie z ceglanymi kolumnami na parterze i drewnianymi na piętrze. Balkon na piętrze jest szeroki i ograniczony balustradą, a portyk na dole otwarty dla każdego zwierzęcia, które ma ochotę przemaszzerować przez klinkierową posadzkę: dla jaszczurek, węży i wszelkiego rodzaju robactwa, które wylęga się na moczarach. Od frontu, na piętrze i na parterze, ciągnie się rząd okien skrzydłowych z drewnianymi okiennicami, które zamyka się jedynie w razie huraganu czy zagrożenia buntem. Ruszyłam przodem, przed mężem, żeby przywitać się z tą niewielką grupką służby. Delphine dygnęła i obdarzyła mnie otwartym, pełnym ciekawości spojrzeniem. Zapytałam ją wtedy o imię, pozdrowiłam, następnie zwróciłam się do Rose, która nie odrywała wzroku od mojej spódnicy. Bam, kościsty, o pociągłej twarzy i bardzo ciemnej skórze, ubrany w zbyt wąski żakiet z przykrótkimi rękawami, złożył mi głęboki ukłon.

— Witamy panią — powiedziały.

— To jest Bam — rzekł mój mąż.

Skinęłam głową i odwróciłam się do Sarah. Wiedziałam, że jest ślubnym prezentem od mojej ciotki. Robiła przyjemne wrażenie, wysoka, szczupła, o jasnym odcieniu skóry, porządnie ubrana, o doskonałej sylwetce. Ręce skrzyżowała z przodu, na fartuchu. Powitała mnie czymś pośrednim pomiędzy ukłonem a dygiem, nawet na mnie nie spojrzawszy. Spoglądała poza mnie; z miną wyrażającą posępną obawę wpatrywała się w twarz mojego męża.

Ojciec nigdy nie trzymał więcej niż piętnastu robotników z ich rodzinami. Każdego roku, w zależności od plonów, wynajmował dodatkowych ludzi do zbierania bawełny

i do czyszczenia jej z nasion. Bawełna jest mniej kapryśną uprawą od trzciny cukrowej i nie trzeba jej zbierać w pośpiechu przed nadejściem przymrozków. Ci, którzy uprawiają trzcinę, spędzają Boże Narodzenie w panice, a ich czarni mogą się zabawić i odpocząć dopiero po Nowym Roku.

Za każdym razem, kiedy ojciec pojawiał się w stodole, czarni czekający na wynajęcie do pracy cisnęli się wokół niego i błagali, żeby ich przyjął. Wszyscy wiedzieli bowiem, że na jego farmie otrzymają lepszą kwaterę i będą lepiej karmieni niż na wspaniałych plantacjach swoich panów i że będą mieli jeden dzień w tygodniu wolny. Nasze przyjęcie noworoczne cieszyło się wśród nich wielką sławą, tak że ci, których wynajęto, pokrzykiwali i poklepywali się nawzajem, radując się już na samą myśl o czekającej ich uczcie.

Pamiętam, jak przyglądałam się przez okno, kiedy nadciągali od strony kwater. Nad ich głowami, niczym płomieniste ptaki, unosiły się pochodnie. Ojciec stał na ganuku z koszykiem pełnym kopert, na każdej wypisane było imię, a wewnątrz szeleszczący banknot. Śmiali się, żartowali i śpiewali. Kiedy już każdy otrzymał podarunek, ojciec wołał: „A teraz czas na ucztę” i prowadził ich do stodoły, przybranej zielonymi gałązkami. Długie stoły, nakryte jaskrawoczerwonym płótnem, uginały się pod misami z pieczoną wołowiną, wieprzowiną, kurczakami, indykami, różnymi jarzynami i tłuczonymi ziemniakami. Były też misy z przeróżnymi owocami, ciasta, puddingi i inne słodkie smakołyki, a pod ścianami stały beczułki słodkiego wina i rumu z melasy. Pozwalano mi przyjść i oglądać to zamieszanie towarzyszące zajmowaniu miejsc i nakładaniu jedzenia na talerze. Później, już w łóżku, słu-

chałam pierwszych dźwięków skrzypek, słyszałam szuranie oraz okrzyki, kiedy odstawiali na boki stoły i rozpoczęli tańce, które trwały do późnej nocy. Następnego dnia wszyscy spali dłużej, a ojciec przychodził do stołu, kiedy już kończyłyśmy śniadanie. „Uważam, że moi czarni dobrze się bawili”, mawiał, zasiadając do wystygłej kawy i resztek jajecznicy.

Ojciec był surowy i sprawiedliwy. Naszym ludziom nie wolno było poślubić nikogo spoza farmy, a nawet bez ważkiego powodu nie mogli jej nigdy opuszczać; wizyty czarnych z sąsiednich farm i plantacji były surowo zakazane. Nie pozwalał im uprawiać własnych grządek, bo jak powiadał, mogło im to dać poczucie niezależności i wystawić na próbę ich lojalność; mogliby przecież zacząć poświęcać więcej uwagi własnemu spłachetkowi ziemi niż farmie. Aby spokój i harmonia zostały zachowane, czarni muszą wiedzieć, że farma to jedyne miejsce, które ich żywi, odziewa i chroni, które daje im wszystko, co najlepsze — jedzenie, opiekę medyczną, czystą kwaterę, ciepło zimą, przyjaciół oraz rodzinę. Jest to miejsce, z którego pochodzą i gdzie się ich ceni i dba o nich aż do śmierci.

Nigdy nie chciał zatrudnić nadzorcy. Przez piętnaście lat miał tego samego poganiacza. Rzadko stosował karę chłosty i sam nigdy jej nie wymierzał; powiadał, że jest rzeczą wysoce niestosowną, by pan chwycił za bykowiec, poniżałoby go to w oczach wszystkich obecnych.

Nigdy nie było mi wolno bawić się z czarnymi dziećmi z farmy. Inni plantatorzy pozwalali na to swoim dzieciom, ale ojciec uważał te praktyki za przewrotne. Jego zdaniem prowadziły do pospolicenia pańskich dzieci i stały się źródłem nieodpowiednich oczekiwań ze strony czarnych, którzy przecież spoufalali się ze swoimi towa-

rzyszami zabaw. Ta familiarność mogła pociągnąć za sobą wyłącznie pogardę, i lekceważenie, utrzymywał ojciec, przyzwyczaiałam się więc, że jedynymi towarzyszkami moich zabaw mogą być lalki.

Ojciec ogromnie ubolewał nad postępowaniem tych sąsiadów, którzy paradowali po mieście, ciągnąc za sobą rządek spółdzonych przez siebie Mulaciątek. Fakt, że ci sami mężczyźni w niedzielne poranki wyśpiewywali psalmy w kościele, był jeszcze jednym powodem, dla którego ojciec nie chciał mieć nic wspólnego z religią. Religia była dla czarnych; dawała im ulgę i pociechę, tak jak oni nam, białym.

Kiedy byłam dzieckiem, nie zdawałam sobie sprawy, jak wyjątkowym człowiekiem był mój ojciec. Gdy matka twierdziła, że jego śmierć nie była dziełem przypadku, sądziłam, że te słowa biorą się z jej rozpacz. Teraz jednak uważam, że ojciec musiał mieć mnóstwo wrogów. Kiedy już nie było naszego domu i przeprowadziłyśmy się do miasta, przekonałam się, że ojciec, taki silny, kochający, surowy i sprawiedliwy, był tym wszystkim, co odgradzało moje naiwne poczucie szczęścia od chaosu.

Czasami myślę, że Sarah wini mnie za swój los, choć ja nie miałam z nim nic wspólnego. Przypieczętowała go bowiem sama, wkrótce po moim przybyciu, zachodząc w ciążę. Ojcem był lokaj mojego męża, Bam. Już wcześniej zauważyłam, że wodzi za nią wzrokiem, i nie zdziwiło mnie, że tych dwoje chce się pobrać. Powiedziała mi o tym, a ja nie miałam nic przeciwko temu. Błagała, że-
bym porozmawiała z mężem, z obawy, że on może nie chcieć się zgodzić. Wtedy jeszcze mówiła i zachowywała się jak normalna służąca, nie była samowolna, bardzo sta-

rała się mnie zadowolić. Zgodziłam się przekazać mężowi jej prośbę. Sytuacja wydawała mi się korzystna; wzmocniłaby lojalność tych dwojga wobec naszego majątku. Te małżeństwa czarnych nie są ważne w świetle prawa, ale oni sami traktują je bardzo poważnie.

Zastanawiam się, jak mogłam być taka głupia. Usłyszawszy tę wiadomość, mój mąż zerwał się z za biurka, rycząc jak rozjuszony bawół. Kazał sobie natychmiast przysłać Sarah, a kiedy ta przyszła, za ramię wciągnął ją do gabinetu i zaczął okładać, aż rzuciła mu się do nóg, błagając, żeby przestał. To nie do zniesienia, wrzeszczała, żeby w jego własnym domu traktowano go w taki sposób. Kiedy próbowałam się za nią ująć, wypchnął mnie z pokoju i zatrzęsął mi drzwi przed nosem. I gdy tam stałam, pod drzwiami, słuchając błagań Sarah i jego przekleństw, pojęłam wszystko. Przez te tygodnie, kiedy mnie tam jeszcze nie było, Sarah stawiała mu opór, teraz natomiast próbowała go przechytryć, ale jej się nie udało.

Mąż wezwał pana Suttera, który pojawił się w jadalni tuż przed obiadem, w towarzystwie dwóch pracowników wyglądających na brutali. We trójkę powlekli Bama w kierunku kwater, a ten przez cały czas wywrzaskiwał, że nikt go nigdy w życiu nie wychłostał i że teraz też na to nie pozwoli, prędzej odbierze sobie życie. Później dowiedzieliśmy się, że wyszarpnął się na krótko, wyrwał siekierę z pieńka i zagroził, że odrąbie sobie dłoń i będzie bezwartościowy dla swojego pana. Kiedy rzucili się na niego, wywiązała się walka i Bam ugodził jednego z prześladowców siekierą w nogę, co tak rozwścieczyło pana Suttera, że skatował Bama do nieprzytomności. Sześć tygodni minęło, nim doszedł do siebie na tyle, by można go było przetransportować do miasta i sprzedać.

Dziecko Sarah, chłopca, odebrano jej natychmiast po urodzeniu i wysłano do mamki na plantację mojego szwagra w górze rzeki. Umówiono się, że kiedy dorośnie na tyle, żeby pracować, zostanie sprzedany, a zyskiem, po odjęciu kosztów jego utrzymania, bracia podzielią się między sobą. Sarah płakała, błagała, a potem zamilkła i zamknęła się w sobie. Mój mąż był z siebie zadowolony, mimo że sprzedał ze stratą cennego czarnego. Kiedy handlarze zobaczyli blizny Bama, uznali, że należy do tych, co sprawiają dużo kłopotów, i odpowiednio obniżyli wysokość swoich ofert. Pod koniec tego samego roku Sarah była brzemienna z Walterem.

Joel Borden zatrzymał się u nas w drodze do miasta, przywołując własnoręcznie ustrzelone gołębie oraz świeżą szynkę, która była nam całkiem zbędna, bo świń mamy aż nadto. Mąż poprosił go, żeby został na obiedzie, a on przyjął zaproszenie. Mimo że za plecami wszyscy mężczyźni lubią go obgadywać, to jednak traktują go przyjaźnie, ponieważ jest dobrym kompanem. Kiedy tylko udają się do miasta, natychmiast szukają jego towarzystwa — on wie, gdzie odbywają się przyjęcia i tańce, a dzięki swemu urokowi i poczuciu humoru jest mile widziany w najlepszych domach. Raz do roku on sam wydaje przyjęcie na swojej plantacji, Riviere, a wtedy przez cały dzień na biegnącej wzdłuż rzeki drodze stoi długi rząd powozów. Byłam na takim przyjęciu tylko raz, w pierwszym roku mojego pobytu tutaj.

Kiedy weszłam do jadalni, ujrzałam Joela rozwalonego w fotelu zwróconym do okna, na stoliku obok stała szklane czka bourbona. Męża nie było w pokoju. Weszła Sarah

ze stosem talerzy, żeby nakryć do stołu. Joel obejrzał się, a zobaczywszy mnie, zerwał się i ujął moje dłoń.

— Manon — powiedział, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów — nic się nie zmieniłaś. Zaraz, chwileczkę, chyba jesteś jeszcze piękniejsza.

Ja jednak się zmieniłam, i to tak bardzo, że już zapomniałam, jak się przekomarzać i żartować, mimo że niegdyś byłam w tym mistrzynią.

— Dobrze wyglądasz, Joelu — to jedyne, co powiedziałam.

Joel jest mężczyzną przystojnym, na swój leniwy, dobroduszy sposób. Energii wystarcza mu tylko na to, by nieustannie poszukiwać różnych przyjemności; wszystko inne wymaga zbyt wiele wysiłku.

— W zeszłym tygodniu widziałem twoją matkę — oznajmił — i obiecałem jej, że przed powrotem wpadnę do ciebie.

Jest całe grono starszych pań, które go uwielbiają; moja matka do niego należy. Chciała, żeby to Joel został moim mężem, ale wszyscy wiedzieliśmy, że to niemożliwe, bo Joelowi potrzebne są pieniądze, a ja ich nie posiadam. Zalecał się do mnie krótko, po czym zajął się jakąś inną piękną panną, która była pod ręką. Kiedy zdecyduje się wreszcie na małżeństwo, wybierze kobietę majątną, może starszą od siebie, tymczasem jest otoczony wianuszkami ubogich dziewcząt, z nieodłącznymi nadopiekuńczymi matkami, które wpychają mu na siłę obiadki oraz wlewają w niego sherry lub porto. Ciekawa jestem, jak to długo jeszcze potrwa, zanim będzie zmuszony coś sprzedać.

— Przekaż jej, proszę, że mam się dobrze — oświadczyłam.

Puścił moje dłoń, zdziwiony tą obojętnością.

W tym momencie człowiek, który był powodem mojego braku entuzjazmu, pojawił się z łoskotem w drzwiach,

wymachując butelką i wydając Sarah warkliwe polecenia. Rzucił się na Joela ze sztuczną jowialnością, rozplątując się na temat psa, którego musi mu pokazać. Poszłam za Sarah ku drzwiom.

— Powiedz Delphine — szepnęłam — żeby podała na deser leguminę migdałową.

Skinęła głową i wyszła. Mąż otwierał właśnie butelkę z winem, szczególnie udanym bordo, zachwalając je Joelowi. Choć nie mam zwyczaju pić alkoholu po południu, coś z owej widocznej u niego ekscytacji, wywołanej obecnością gościa, wpłynęło na moją decyzję. Wzięłam z kredensu trzy kieliszki i zaniiosłam je na stół. Mąż obrzucił mnie szybkim spojrzeniem, w którym sceptycyzm mieszał się z zaskoczeniem. Był pewien, że Joel zatrzymał się u nas z wdzięczności, że nie uśmiercono wszystkich jego czarnych, ja natomiast wiedziałam od niego, że przyjechał, bo obiecał to mojej matce. Dzień po wydarzeniu z tantym patrolem przysłała list pełen idiotycznych plotek krążących po mieście: trzech czarnych Joela rozmnożyło się w dziesiątkę uzbrojonych w strzelby i maczety drabów, zdecydowanych połączyć się z ukrytą na moczarach w dole rzeki bandą. Nie miałam jeszcze czasu, żeby odpowiedzieć matce na ten histeryczny list.

Mąż chciał mówić wyłącznie o trzcinie cukrowej i robił to bezustannie podczas całego posiłku. Opowiadał o prasie i o wyłoczynach z trzciny, i o rynku, i o pogodzie, myślałam, że umrę z nudów. Joel wie na temat trzciny tylko to, co mu powie nadzorca. On i ja wypiliśmy większość wina, podczas gdy mój mąż zabawiał nas szacunkami dotyczącymi czasu i pieniędzy, jakie mógłby oszczędzić, gdyby miał najnowszą cukrownię, o wiele bardziej wydajną od wszystkich dotychczas wynalezionych, ale

zbyt kosztowną na kieszeń któregokolwiek z plantatorów. Sarah wchodziła i wychodziła, wnosząc nowe dania, zabierając talerze. Mąż ani na nią nie patrzył, ani się do niej nie odzywał, podobnie jak Joel, który cały czas zabawiał mnie żartami na temat zmyślnej cukrowni napędzanej bourbonem, czy jeszcze nowszej, napędzanej cukrem, co już dawno temu należało zastosować. Potrafi być zabawny, a ponieważ bez ustanku napełniał mój kieliszek, wkrótce poczułam się tak odprężona i wesoła, jak bywałam tylko za dawnych lat. Mąż zdawał się nie mieć nic przeciwko temu; tak rzadko widzi mój uśmiech. Kiedy butelka została opróżniona, przeprosił nas i poszedł po następną. Joel ujął moją dłoń.

— Manon, dlaczego nie przyjedziesz w odwiedziny do miasta? — spytał. — Tak tam nudno bez ciebie.

— Nie masz pojęcia, czym jest nuda — powiedziałam. — Nie doświadczyłeś jej. — Kiedy to mówiłam, wrócił mój mąż, niosąc dwie butelki. Wszedł z takim wycuciem chwili, że wybuchnęłam szczerym śmiechem. Joel też się śmiał, kosztem gospodarza. Mąż spoglądał na nas z nadzieją w oku.

— Mam tu wyśmienite porto — oznajmił.

— Spadnę z konia, nim dotrę do False River! — wykrzyknął Joel.

Mąż nalegał, żeby zatrzymał się na noc, jednak nie było na to najmniejszej nadziei. Oczyma Joela widziałam zamarowane popołudnie, spędzone na drzemce, czytaniu czy obserwowaniu psów, gdy tymczasem mógł zdążyć jeszcze do miasta na wystawną kolację, a potem zająć się hazardem i flirtami. Jak by to było zostać żoną takiego mężczyzny, zastanawiałam się, wspierając się na jego ramieniu, wchodzić do salonu pełnego zazdrosnych dziewcząt? Ogar-

nęła mnie fala tak dobrze mi znanego przygnębienia. Z Joelem miałabym dzieci.

Weszła Sarah z leguminą migdałową, a Joel, uśmiechając się do mnie znacząco, oznajmił, że to jego ulubiony deser. Kiedyś w domu mojej matki zjadł całą, to jest nasza wspólna radosna tajemnica. Sarah postawiła salaterkę przede mną, a mój mąż polecił jej przynieść kieliszki do porto. Kiedy przechodziła za nim, obrzuciła go ukradkowym, pełnym niezadowolenia spojrzeniem. Potem usłyszeliśmy dochodzący z korytarza rumor, drzwi otworzyły się na całą szerokość i do jadalni wpadł Walter.

Był bosy, miał na sobie białe pantaloney i zawiązaną na szyi czerwoną chustkę. Uganiał się wokół stołu, chude ręce trzymał Uniesione nad głową, wywracał dziko oczyma i podśpiewywał coś, co pewno miało być piosenką, ale nie miało ani melodii, ani sensu. Zatrzymał się przy krześle mojego męża po to jedynie, by wrzasnąć i odepchnąć się od stołu, potem przetoczył się obok mnie i rzucił na Joela, obejmując go w pasie i wciskając swoją kędzierzawą czuprynę w jego kamizelkę.

A potem wszystko wydarzyło się niemal jednocześnie. Mąż wstał ze swojego miejsca, krzycząc na Sarah, by natychmiast zabrała chłopca z pokoju. Walter podniósł głowę i zaczął trajkotać do Joela, który odwrócił się do mnie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

— Cóż my tu mamy? — spytał.

Kiedy Sarah próbowała odciągnąć chłopca, zobaczyłam, że Joel dostrzega jakże wyraźne podobieństwo tej szalonej istoty do mojego męża. Ze zdumienia otworzył szeroko usta. Mój mąż zrozumiał, że Joel rozumie, i wpadł w szal. Pchnął krzesło do tyłu i ruszył za Sarah i wrzeszczącym dzieckiem, okładając kułakami to jedno, to dru-

gie. Chłopak oberwał w tył głowy, zawył, stracił równowagę i przewrócił się. Sarah chwyciła go w pasie i takiego kopiącego i wrzeszczącego wyniosła z pokoju. Mąż zatrzasnął za nimi drzwi i wrócił do stołu.

Czułam na sobie wzrok Joela, a moje policzki płonęły ze wstydu. Słyszałam głos ojca, kiedy mówił, że dżentelmen nigdy nie podnosi głosu na służącego w obecności innych. Cóż zatem sądziłby o mężczyźnie, który bije dziecko, podejmując gościa obiadem? Mąż usiadł rozdrażniony i zajął się nalewaniem portu. Zapadło głucho milczenie; nie miałam pojęcia, jak je przerwać. W końcu odezwał się Joel.

— Czy poczęstujesz mnie tym deserem, Manon, czy jest on tutaj jedynie po to, by wystawiać mnie na próbę? — rzucił lekkim tonem.

— Ależ oczywiście — powiedziałam, biorąc do ręki łyżkę. — Podaj mi tylko swój talerzyk.

Potem mąż spytał Joela o strzelanie na terenie jego posiadłości, czym szczerze zainteresował naszego gościa, uważa on bowiem, że jedyną przyjemnością, jaką można czerpać z życia na wsi, jest polowanie, zaczęli więc na ten temat rozmawiać i zachowywaliśmy się tak, jakby nic się nie wydarzyło, jakby Joel nie miał wrócić do miasta z opowieścią, która ubawi jego kolegów kawalerów: Manon Gaudet nie ma dzieci, ale jej mąż bynajmniej nie jest człowiekiem bezdzielnym. To dość pospolita historia; nikt nie dostrzeże w niej nic paradoksalnego. Jedyną pocięchą była świadomość, że Joel na pewno nie powie o tym mojej matce.

Po odjeździe Joela mąż poszedł się zobaczyć z panem Sutterem, a ja wróciłam do swojego pokoju. Policzki miałam rozpalone, szumiało mi w głowie od wina, ale moje

dobre samopoczucie ulotniło się. Kiedy bowiem staliśmy przed domem, żegnając naszego gościa, mąż ostentacyjnie mnie objął, a ja nie mogłam nic na to poradzić, dopóki Joel nie zniknął nam z oczu. Staliśmy zatem, kochająca się para, machaliśmy rękoma, uśmiechaliśmy się, podczas gdy on zawracał konia w kierunku miasta, niewątpliwie szczęśliwy, że może wreszcie uwolnić się od nas i tej parodii małżeństwa. Gdy znalazł się poza zasięgiem naszych głosów, odsunęłam rękę męża.

— Kiedy Joel dotrze do miasta, będzie mógł opowiedzieć parę zabawnych historyjek — stwierdziłam.

— O czym ty mówisz? — udał zdziwienie.

— Może opowiedzieć wszystkim moim znajomym, że żyję z mężczyzną, którego bękart szaleje w pokoju jadalnym i który publicznie bije służbę. Będzie to bardzo małownicze świadectwo wyboru, jakiego dokonałam.

Nie odpowiedział; bez słowa ruszył ku kwaterom.

Wróciwszy do swojego pokoju, rzuciłam się z płaczem na łóżko. Płakałam tak długo, aż zasnęłam. Kiedy się obudziłam, Sarah karmiła piersią niemowlę, miała zamknięte oczy i rozmarzony wyraz twarzy.

— Przysłałaś Waltera do jadalni, żeby odegrać się na mnie czy na nim? — spytałam.

Otworzyła raptownie oczy. Odwróciłam głowę.

— Wemknął się — oznajmiła.

Przez cały wieczór nie ruszyłam się z pokoju. Sarah przyniosła mi kolację na tacy, ale nie miałam ochoty na jedzenie. Po zmroku zaczęło padać, zerwał się wiatr i trząskła okiennicami o ściany. Przebrałam się w koszulę nocną. Kiedy już Sarah wyszczotkowała mi włosy, odesłałam ją

wraz z dzieckiem. Potem leżałam na łóżku, myśląc o Jolu, o wyrazie jego twarzy, kiedy zwrócił się do mnie ponad głową paplającego Waltera i spytał: „Cóż my tu mamy?” Czy była w jego oczach litość? To byłoby najgorsze. Pomyślałam o mężu, a myśli te, już na zawsze pozbawione choćby odrobiny ciepła, przesywały lodem mój mózg. Słyszałam, jak kręci się na dole. Zdrzemnęłam się, obudziłam i usłyszałam jego kroki na schodach. A chód ma ciężki. Nie pojmuję, jak jeden człowiek może robić tyle hałasu. Przeszedł obok moich drzwi do swojego pokoju. Tymczasem przestało padać, wiatr rozpędził chmury i przez okno wpadało światło księżyca. Od wina bolała mnie głowa i czułam suchość w gardle. Podniosłam się z łóżka, nalałam sobie szklankę wody, a potem podeszłam do okna, tylko po to, żeby wyrzeć i czymś się przez chwilę zająć. Czułam się tak, jakbym miała spędzić bezsenne wszystkie noce przez najbliższe lata. Nadal było wietrznie, drzewa kiwały górnymi gałęziami, jak gdyby zachęcały mnie do wyjścia na dwór. Spojrzałam na czyste, rozświetlone gwiazdami niebo, a potem skierowałam wzrok w dół, gdzie u stóp dębu dostrzegłam postać mężczyzny. Zaskoczona cofnęłam się od okna. Czy on też mnie zobaczył? Zaciągnęłam firankę i przez nią spoglądałam pełna obaw, chociaż pokój tonał w ciemności i było mało prawdopodobne, żeby mnie dojrzał. To był jakiś czarny, ubrany w białą koszulę i luźne, łopoczące na wietrze spodnie. Stał zupełnie nieruchomo, ze skrzyżowanymi rękoma i spoglądał w górę na dom. Nie mogłam dojrzeć rysów jego twarzy. Czy był jednym z naszych?

Położyłam się do łóżka i przykryłam. Nie miał prawa zbliżyć się do domu po zmroku. Gdybym obudziła męża, przegnałby go tam, gdzie jego miejsce.

Potem pomyślałam, że mój mąż może o nim wiedzieć. Może stał na warcie, żeby nas chronić w związku z jakąś kolejną pogłoską o buncie. Czekałam, oddychając płytko, zupełnie jakby mógł mnie usłyszeć. Po jakimś czasie wstałam i znów podeszłam do okna. Osunęłam się na kolana i zerknęłam przez dolną szybę.

Zniknął.

Żeby wreszcie zasnąć, wzięłam łyżeczkę nasennej tynktury; obudziłam się sztywna jak kłoda, niezdolna poruszyć ręką czy nogą. Usłyszałam bicie zegara i wiedziałam, że muszę wstać, ogarnąć się i zejść do jadalni; na samą myśl o tym zrobiło mi się niedobrze. Przez kilka chwil leżałam na boku, bez tchu, trzymając się za brzuch, a gdy wreszcie poczułam się nieco lepiej, zwlokłam się z łóżka. Obmyłam twarz w miednicy, starając się nie patrzeć na swoje odbicie w lustrze; a jednak spojrzałam i przeraziłam się. Zadzwoiłam, odczekałam chwilę, ponownie zadzwoniłam. Wkrótce usłyszałam na schodach kroki Sarah.

— Na miłość boską, pomóż mi się ubrać — jęknęłam.

Otworzyła szafę i wyjęła tę niebieską, batystową, najłżejszą i najluźniejszą z moich sukien.

— Ta będzie dobra. Włóż ją na koszulę; nie ma czasu na gorset. — Wypiłam łyk wody i opadłam na taboret przed toaletką. — Podepnij mi tylko warkocz — poleciłam.

Przeczesała włosy nad czołem szczotką, a tył zabezpieczyła tuzinem szpilek, podczas gdy ja nakładałam róż na policzki.

— Co się dzieje z moimi oczami? — Zauważyłam, że są zaczerwienione i wytrzeszczone, źrenice jak czarne spodki z bladobłękitną obwódką.

Usłyszałyśmy dzwonek z jadalni.

— Lepiej pójdę — powiedziała Sarah.

— Idź — zgodziłam się. — Powiedz, że już schodzę. — Kiedy poszła, włożyłam pantofle i wsunęłam rogi muślinowej chusty w wycięcie stanika sukienki. — Filiżanka kawy postawi mnie na nogi — powiedziałam na głos z przekonaniem.

Nagle przypomniał mi się ten mężczyzna, nie miałam jednak czasu, żeby o nim myśleć. Pospieszyłam przez podest i w dół schodami, trzymając się kurczowo poręczy; bałam się zawrotu głowy. Z daleka dochodził mnie brzęk naczyń, miarowy zgrzyt męzowskiego widelca uderzającego o talerz. Kiedy wchodziłam, zgarniał właśnie sos kawałkiem chleba. Podniósł na mnie wzrok, nie przerywając tej czynności. Usiadłam na swoim krześle, odwróciłam filiżankę, poprawiłam spódnice.

— Jesteś chora? — przywitał mnie.

Sarah weszła pomiędzy nas z dzbankiem kawy. Jakimże dobrodziejstwem jest kawa, pomyślałam, kiedy wonna para uniosła się nad filiżanką. Przełknęłam ostrożnie łyk, zanim mu odpowiedziałam.

— Źle spałam — wyjaśniłam.

— To dlatego, że w ogóle się nie ruszasz — rzucił.

— Tylko grzankę — powiedziałam i machnięciem dłoni odprawiłam Sarah, która wyciągała ku mnie talerz z jajkami.

— I nic nie jesz — ciągnął. — Nie dziwota, że doprowadzasz się do choroby. — Wrzucił do ust ostatni kęs ociekającego tłuszczem chleba i oblizał się z zadowoleniem. — Kawy — zażądał od Sarah.

Umoczyłam róg grzanki w kawie. Zaczęło mi się trochę przejaśniać w głowie. Kiedy Sarah nachyliła się nad nim, przyjrzał się jej z niepewną miną.

— Przyślij tutaj Waltera — polecił.

— Och nie, proszę! — wykrzyknęłam.

— Masz coś przeciwko temu? — spytał lodowatym tonem.

— Głowa mi pęka — poskarżyłam się.

Sarah odstawiła dzbanek z kawą na kredens.

— Przyślij go tutaj — powtórzył.

Kiedy wyszła, znowu zwrócił się do mnie.

— Joel Borden ma rację. Powinnaś pojechać do miasta i odwiedzić matkę. Napisz do niej.

— Moje miejsce jest tutaj — oświadczyłam.

Drzwi się otworzyły i do jadalni wpadł Walter, a za nim, ze wzrokiem utkwionym w dywan, weszła Sarah. Chłopak ubrany był jedynie w koszulę, taką jak te noszone przez dzieci na polu. Zbyt obszerna, zwisała mu z jednego ramienia; dołem sięgała niemal do kostek. Mąż odsunął krzesło i przywołał tego dzikusa, wyciągając do niego ręce, ale dzieciak tylko biegał wokół stołu, jak to było w jego zwyczaju, bełkocząc i zupełnie bez powodu wydając przeraźliwe, wysokie piski. W końcu przebiegł tak blisko ojca, że ten go pochwycił.

— Nie wierę się — nakazywał, zmagając się z wrywającym się stworzeniem. — Nie wierę się, stój spokojnie, to dam ci kawałek bułeczki.

Jedną ręką przytrzymał obie ręce chłopca za jego plecami, a drugą wyciągnął do Sarah, powtarzając: „Bułeczka, bułeczka”. Ta szybko oderwała kilka kawałków, położyła na talerzyku i postawiła przed nim. To przyciągnęło uwagę chłopca. Zaczął zawodzić jękliwie niskim tonem, wyciągając głowę w kierunku talerzyka. Mąż wziął kawałek bułki i przycisnął do warg dziecka, dzięki czemu ten na chwilę umilkł.

— Ile ma lat? — spytał Sarah.

— Siedem.

Przesunął dłonią po rozwichrzonej, rudej czuprynie.

— Czy nikt nigdy nie czesze mu włosów?

— Nie pozwoli.

Mąż wpatrywał się w szaloną twarz Waltera, podsuwając mu jednocześnie kolejny kawałek bułki, żeby utrzymać jego uwagę.

— Rzeczywiście — oznajmił z aprobatą. — Dlaczego miałby pozwolić?

Oczy Waltera rozwarły się nagle szeroko; przysunął twarz tuż do twarzy ojca, przełknął ostatni kęs i z całych sił wykrzyknął: E... e, e... e. Sarah odskoczyła od kredensu, chwyciła to okropne stworzenie za ramię i pociągnęła ku drzwiom.

— Musi wyjść — wyjaśniła. Otworzyła drzwi, a on popędził po klinkierze pomiędzy azalie i tam przykucnął.

— Uroczy dzieciak — zauważyłam.

Sarah zamknęła drzwi i ponownie zajęła swoje stanowisko przy kredensie.

— Kawa — zażądałam.

Mąż miał niewyraźną minę. Przedstawiał ucieszny widok, kiedy próbował swoim tępym umysłem ogarnąć to, co przed chwilą zaprezentował ten dziwoląg, którego sam sprowadził na ten świat.

— To on mówi? — zdziwił się.

— Delphine go nauczyła.

— Mówi coś jeszcze?

— Może Delphine czasem rozumie.

— Ale ty nie.

Przez chwilę Sarah spoglądała na niego w milczeniu. Potem powiedziała:

— Delphine mówi, co on nie słyszy.

— Jest głuchy — odezwał się mój mąż cichym, stłumionym głosem, jakby nagle spłynęło na niego wielkie objawienie. — Poślę dziś po doktora Landry'ego — oznajmił zwięźle.

Rzadko bywam w mieście, ponieważ nie cierpię, kiedy matka dopytuje się o stan naszego małżeństwa, nie znoszę też jej ciągłych uwag na temat braku dzieci. Przez kilka pierwszych lat nie przeszkadzało mi to jej zainteresowanie, sama nawet byłam nieco zaintrygowana; jak wyjaśniałam matce, nie wynikało to z braku prób. Ona podejrzewała, że wina leży po stronie męża, ja zresztą całkiem niemądrze też, aż do chwili przyjścia na świat Waltera. Wtedy już znałam powód. W pewnym sensie właśnie Walter jest tym powodem, jednak nikomu nie mogłam o tym powiedzieć. Cztery lata po moim ślubie matka i mąż skonsultowali się z pewnym znanym lekarzem, który pomógł już wielu bezdzietnym małżeństwom, i nie dawali mi spokoju tak długo, aż w końcu zgodziłam się poddać badaniu. Pojechałam do miasta i o umówionej porze pojawiłam się w klinice doktora Gabriela Sancheza.

Był drobnym, smagłym mężczyzną, z rzadkimi, siwiejącymi na skroniach włosami i lekkim zezem. A może nie zezował, tylko jedno z jego oczu było słabsze. Poproszono, żebym się rozebrała za parawanem, pielęgniarka owinęła mnie w prześcieradło, po czym częściowo odsłoniła, przez cały czas bardzo się starano nie obrażać mojego poczucia przyzwoitości. Badanie było w najwyższym stopniu obrzydliwe, ale nie protestowałam. Uważałam, że jeśli mu się poddam, to może lekarz znajdzie jakąś konkretną, fizyczną przyczynę, dlaczego nie jestem w stanie

począć, a tym samym uwolni mnie od zniechęconych obowiązków małżeńskich i wreszcie matka przestanie mnie dręczyć swoimi pytaniami. Kiedy już było po wszystkim, przyszła dziewczyna, pomogła mi się ubrać i zaprowadziła do gabinetu doktora. Był to zaskakująco słoneczny pokój. Podłogę przykrywała pleciona z sitowia mata; fotele miały letnie pokrowce. Lekarz wskazał mi ten, który stał na wprost biurka, a właściwie stołu zarzuconego papierami oraz książkami i na którym, co wydało mi się osobliwe, stała doniczka z pelargonią. Siadając, zauważyłam kątem oka dużą klatkę z kutego żelaza, wiszącą na łańcuchu przy otwartym oknie, w której z drążka na drążek skakały dwa kanarki. Jeden z nich wyśpiewywał żałośnie podczas naszej rozmowy.

Podobało mi się, jak zaczął. Powiedział, że jest zobowiązany zadać mi parę osobistych pytań i że moje odpowiedzi nigdy nie wyjdą poza ściany tego gabinetu i niczego, co powiem, nie powtórzy ani mojej matce, ani mężowi. To jego dziwne rozbiegane spojrzenie dodało mi otuchy i postanowiłam, że odpowiem mu na wszystkie pytania. Chciałam go mieć po swojej stronie. Pytał mnie o menstruacje, czy są regularne, obfite, ze skrzepami czy bez, czy towarzyszy im ból lub wzdęcia. Zadawał pytania dotyczące ogólnego stanu mojego zdrowia, diety. Dopytywał się, czy dużo jeżdżę konno, czy kiedykolwiek miałam zawroty głowy albo omdlenia. Zawsze cieszyłam się doskonałym zdrowiem i chętnie wszystko wyjaśniałam, a on nie wydawał się zaskoczony moimi odpowiedziami. Słuchał uważnie, czasami zapisując coś w oprawionym w skórę notesie.

Potem przeszedł do spraw związanych z moim małżeństwem, w szczególności chodziło mu o nasze współżycie.

Jak często do niego dochodziło, czy odczuwałam ból, czy kiedykolwiek w jego rezultacie wystąpiło krwawienie. Pytał w możliwie najdelikatniejszy sposób, czy mam pewność, że mąż ejakulował do mojego łona, co mnie rozśmieszyło, chociaż jednocześnie nie potrafiłam podnieść na niego wzroku i czułam, jak moje policzki oblewają się rumieńcem.

— Przepraszam za tę niedelikatność — sumitował się — jednakże znane mi są przypadki bezpłodności spowodowane brakiem wiedzy po stronie męża.

— Mój mąż doskonale wie, jak płodzić dzieci, zapewniam pana — oświadczyłam lodowatym tonem.

Bawił się czas jakiś piórem i milczał. Spojrzałam w okno za jego plecami, gdzie w klatce śpiewał ptaszek. Na zewnątrz rósł pizang; widziałam zwisającą wielką sinofioletową wiązkę niedojrzałych owoców. Parapet ozdobił niczym zwój niewiarygodnie jaskrawego atłasu jeden z jego liści. Pomyślałam o uściskach męża, takich chciwych i takich przykrych, o ugniataniu i ssaniu moich piersi aż do bólu, o palcach błędzących pomiędzy moimi udami, ostrym oddechu na twarzy.

— Nie widzę żadnego fizycznego powodu, by nie mogła pani mieć dzieci — oświadczył w końcu doktor.

— Nie — zgodziłam się z nim. — Nie ma żadnego fizycznego powodu.

— Czy pani chce mieć dzieci?

Zastanowiłam się nad jego pytaniem. Zawsze było dla mnie oczywiste, że będę je miała, dlatego pytanie to nigdy nie powstało w mojej głowie. Jakaż bowiem kobieta nie chciałaby potomstwa? Doktor Sanchez czekał na moją odpowiedź, otaczała go aura takiego spokoju i cierpliwości, jakby był gotów czekać bez końca. Gdybym miała za

męża człowieka takiego jak on, pomyślałam, takiego, który wie wszystko o kobiecym ciele i który nigdy nie traci cierpliwości. Znalazłam odpowiedź.

— Nie — powiedziałam wreszcie.

Zacisnął wargi i skinął głową. Spodziewał się tej odpowiedzi.

— Czy lęka się pani bólu przy porodzie?

— Nie — odparłam.

— A może niepokoi panią spowodowana ciążą utrata figury?

— To przecież mija.

— Zatem jest inny powód — wyciągnął oczywisty wniosek.

— Owszem — zgodziłam się.

Wyjął chusteczkę, sięgnął po leżące na stosie książki okulary i zaczął metodycznie czyścić szkła.

— Ten powód to pogarda, jaką mam dla męża — oświadczyłam.

Spojrzał na mnie bez najmniejszego zdziwienia i wrócił do czyszczenia szkieł.

— Ludzie nieszczęśliwi w małżeństwie też mają dzieci — zauważył.

— Może nie są aż tak nieszczęśliwi.

— Czy przyszło pani do głowy, że dziecko mogłoby być dla pani pociechą w cierpieniu?

— Nie potrzebuję pociechy — zapewniłam go.

Odłożył okulary i obdarzył mnie spojrzeniem swoich rozbieganych oczu.

— Czy kochała pani męża, kiedy za niego wychodziła? — spytał.

— Prawie go nie znałam. Nasze małżeństwo uważano za korzystne.

— Czym wobec tego zasłużył sobie na pani wrogość?

— Cóż, niech pomyślę — zaczęłam. — Czy fakt, że służąca, którą wniosłam do małżeństwa, urodziła mu syna, który biega po domu jak dzikie zwierzę, może, w pańskiej opinii, być wystarczającym powodem, by żona zaczęła gardzić mężem?

— Proszę pani, jest wiele takich przypadków. — Wzruszył ramionami. — Nie mogła pani o nich nie słyszeć.

— I o to właśnie mam żal — wyjaśniłam. — Że sytuacja jest tak pospolita.

— A gdyby dziewczynę sprzedać?

— To nie miałoby sensu. Znalazłby inną. A ta mi odpowiada. Nienawidzi go tak jak ja.

Dostrzegłam, jak cień współczucia przebiegł przez jego twarz, nie sądzę jednak, by dotyczyło ono mnie. Współczuł mojemu mężowi, tkwiącemu w pułapce pomiędzy dwiema furiami.

— No cóż — powiedział. — Jeśli taka będzie wola boska, urodzi pani dziecko. Jest pani młoda i zdrowa.

— Tego się właśnie obawiam — przyznałam. — Dlatego zgodziłam się na wizytę u pana. Chcę, by pan powiedział mężowi, że nie mogę mieć dzieci. Że nawet same próby poczęcia dziecka narażają moje życie na niebezpieczeństwo.

— Chce pani, żebym skłamał? Nigdybym tego nie uczynił.

— Nawet żeby uratować moje życie? — nalegałam rozpaczliwie.

— Pani życie nie jest w niebezpieczeństwie.

Zupełnie wbrew mojej woli łzy napłynęły mi do oczu. Poczułam, jak dręczący ból głowy zgniata mi czoło. Wyjęłam z rękawa chusteczkę i przyłożyłam do jednego i do

drugiego oka. Doktor Sanchez coś mówił, ja jednak, przez te okropną, zaciskającą się obręcz bólu, niewiele rozumiałam z jego słów. To było coś o dziecku, moim dziecku, które zapewniłoby mi uczucie męża.

— Czy nie mógłby pan chociaż dać mi czegoś na te bóle głowy? — wykrztusiłam, przerywając mu.

Zamilkł w pół zdania, jakby w ten sposób chciał zwrócić uwagę na mój brak taktu, ale mi już zupełnie nie zależało na tym, co sobie o mnie pomyśli.

— I coś na sen — dodałam.

— Owszem — powiedział cicho. — Tyle mogę dla pani zrobić.

Siedzieliśmy przy obiedzie, kiedy przybył posłaniec z bielicikiem od doktora Landry'ego, który informował, że w Overton panuje cholera i dlatego nie będzie w stanie pojawić się u nas przed kolacją.

— Trzeba mu przekazać, że nasz przypadek nie jest pilny — powiedziałam. — Będzie wykończony, jeśli będzie musiał tam wrócić przed świtem.

— A niby dlaczego miałyby wracać? — zdziwił się mój mąż. — Może zostać i wyspać się tutaj, zamiast sto razy zrywać się po nocy, żeby puszczać krew rozhisteryzowanym czarnuchom.

— Nie mówiłbyś tak, gdyby chodziło o twoich czarnuchów — zauważyłam.

— Gdyby należeli do mnie, przeniósłbym ich kwatery w górę rzeki, nie siedzieliby na tych moczarach i w Overton nie byłoby cholery, tak jak tutaj jej nie ma.

To jedna z jego ulubionych rozrywek: wykazywanie, że wszyscy wokół sami sprowadzają na siebie kłopoty i że

gdyby tylko cały świat zechciał się poddać jego doskonałemu zarządzaniu, mielibyśmy raj na ziemi. Nudzi mnie to śmiertelnie. Odsunęłam talerz i wstałam od stołu.

— Muszę porozmawiać z Delphine o kolacji — oznajmiłam.

Kiedy wychodziłam, Sarah wchodziła właśnie z talerzem pełnym ryżowych ciasteczek. Na ustach miała ten swój uśmieszek, pomyślałam, że cieszy się, bo lekarz ma zbadać Waltera. Wyszłam tylnym wejściem, przeszłam przez podwórko do kuchni. Ogień był rozpalony, panowała tam duchota. Delphine, odwrócona tyłem do drzwi, wałkowała na stole ciasto. Opadłam ciężko na krzesło, wystraszyłam ją.

— Gorąco jak w piekle. Jak ty to wytrzymujesz?

— Nie ma gotowania bez ognia — oświadczyła, nie przerywając wałkowania.

— Daj mi szklankę wody, zanim zemdleję.

Wytarła dłonie o fartuch i podeszła do pompy. Rzadko bywam w kuchni, zawsze jednak, mimo żaru, czuję się tam swobodniej niż we własnym pokoju. Delphine jest w tym domu jedyną osobą, której ufam. Przypomina mi Peek, kucharkę matki; obie są drobne, bardzo ciemne, energiczne, pozornie łatwo wpadają w popłoch, ale w gruncie rzeczy są rozsądne. Przyniosła mi szklankę z wodą i wytarła jej brzeg rąbkiem fartucha.

— Mąka na szklance — ostrzegła mnie.

— Nieważne. — Wypiłam wodę jednym haustem.

Ponownie wzięła do ręki wałek.

— Doktor przychodzi dzisiaj na kolację — powiedziałam. — Jest tak gorąco, że nie chce się jeść, ale on pewnie będzie głodny. To duży mężczyzna.

— Doktor ma dobry apetyt — przyznała.

— Weź szynkę z wędzarni. Podamy ją na zimno. Zimne ziemniaki z odrobiną octu, bułeczki, marynowane brzoskwinie i mus jabłkowy. Jakie ciasto robisz?

— Rabarbarowe.

— Bardzo skromne — zauważyłam.

— Mogę dodać poziomków.

— W porządku. Podaj je z bitą śmietaną. Będzie musiało wystarczyć. — Przejrzałam swoje klucze. — Tu masz klucz do wędzarni — powiedziałam, kładąc go na brzegu stołu. — Odeślij go przez Sarah, jak skończysz.

— Tak, pszepani.

Pomyślałam, że już sobie pójde, ale czułam się taka niemrawa, że nie ruszyłam się. Spojrzałam przez drzwi na podwórko. W polu mojego widzenia przemaszerowała kura. Było nadzwyczaj spokojnie; po chwili zrozumiałam dlaczego.

— Gdzie jest Walter? — spytałam.

— Gania po dworzu.

— Czy to bezpieczne?

— Rose ma baczenie.

— Nie martwię się o niego, tylko o posiadłość.

Delphine wylepiła blachę ciastem i odwróciła się, żeby zajrzeć do stojącego na kuchni garnka.

— Dopilnuj, żeby przed kolacją był w domu — poleciłam. — Doktor go zbada.

— Tak, pszepani.

Wstałam, przeciągnęłam się i wyszłam na podwórko. Nie wytrzymałabym ani chwili dłużej w tym nagrzanym pomieszczeniu. Pomyślałam o tamtym mężczyźnie, nie zamierałam jednak wspominać o nim Delphine. Może to jej ukochany. Podeszłam do dębu, pod którym go w nocy widziałam, i pomiędzy korzeniami szukałam śladów stóp lub czegoś, co mógł tam upuścić, ale nic nie znalaz-

złam. Stałam dokładnie w tym samym miejscu, w którym, jak sądziłam, stał wówczas on, i spojrzałam na dom. Widać stamtąd było okno mojej sypialni — firanka, wyciągnięta przez wiatr, trzepotała na zewnątrz — a także okno pokoju męża. Kiedy spojrzałam w kierunku podwórza, otwarte drzwi kuchni miałam na wprost siebie. Obracając nieco głowę, mogłam zobaczyć zwieńczenie dachu cukrowni oraz biegnącą do kwater gruntową drogę. Doskonały wręcz punkt obserwacyjny.

Ponownie spojrzałam w swoje okno. Zdawało mi się, że firanki o coś zahaczają; po chwili rozdzieliły się i zobaczyłam Sarah z niemowlęciem na rękach. Spozregła mnie natychmiast, ale nie przestraszyła się ani nie cofnęła. Po prostu stała, w sukience częściowo rozpiętej, i spoglądała na mnie chłodnym wzrokiem. Jaka ona jest opanowana, pomyślałam. Jest w niej coś nieludzkiego. Po chwili miałam dość jej widoku i weszłam do domu.

Doktor Landry to chodząca gazeta. Wie o wszystkim, co się dzieje na terenach od St. Francisville do Pointe a la Hache. Przez całą kolację raczył nas interesującymi ploteczkami, co nie przeszkodziło mu pochłonąć niemal połowy szynki. Cholera w Overton ogranicza się do kwater; na sześćdziesięciu trzech chorych szesnastu zmarło. Sytuacja wygląda gorzej w Nowym Orleanie, gdzie na dodatek jeszcze panuje żółta febra. Szpital jest przepełniony, hotele puste. Pani Pemberly spod Clinton ma szkarlatynę i jest taka słaba, że doktor obawia się o jej życie. Proces, jaki synowa wytoczyła jej synowi, zakończył się dla młodej kobiety pomyślnie, w związku z czym pani Pemberly prawdopodobnie utraci połowę majątku. Dwóch

czarnych utonęło w False River. Pozwolono im odwiedzić rodziny i kiedy zobaczyli w szuwarach łódkę, pomyśleli pewnie, że nałapią ryb na obiad, ale łódka była dziurawa i sami stali się pokarmem dla ryb. W St. Francisville schwytano dwóch zbiegów; w biały dzień kręcili się pijani po mieście. W odziarniarni pana Winthropa w Greenwood wybuchł pożar; podpalaczami okazali się jego czarni. Jeden z winowajców wydał pozostałych i dzięki temu uniknął chłosty. Ogień strawił osiemdziesiąt bel bawełny. Krążą pogłoski, że czarni w Bayou Sara szykują się do buntu. Władze zabroniły wszelkich kościelnych zgromadzeń, istnieją bowiem podejrzenia, że jeden z kaznodziejów podburza ludzi. Mówi się też, że na tamtejszych mokradłach ukrywa się trzystu zbiegów, którzy mają zamiar ruszyć w dół rzeki i zabijać po drodze każdego napotkanego białego.

— Musieliby przechodzić tędy! — wykrzyknął mój mąż.

— I owszem — przyznał doktor. — Jeśli pogłoski są prawdziwe.

— Poinformuję moich towarzyszy — oznajmił mój małżonek idiotycznie uroczystym, napuszonym tonem. W taki właśnie sposób pogłoski zamieniają się w martwych Murzynów.

Po kolacji doktor Landry miał zbadać Waltera, „chłopca, którego tutaj mamy” — jak to ujął mój mąż, który wyraził też nadzieję, że da się go wykorzystać jako służącego, co było dla mnie nowiną. Z gniewu serce zaczęło mi mocniej bić, potem jednak wyobraziłam sobie, jak Walter wyrzuca talerze przez okno i ciska na dywan puree z kartofli, i ta myśl tak mnie ubawiła, że się natychmiast uspokoiłam. Panowie ustalili, że badanie odbędzie się w gabinecie mojego męża, kazano więc Sarah zaprowa-

dzić tam to stworzenie. Przeprosiłam panów, że nie będę im towarzyszyć, i powiedziałam doktorowi dobranoc przy drzwiach jadalni, po czym wróciłam do stołu. Po jakimś czasie weszła Sarah, żeby z niego sprzątnąć. Mój widok z pewnością jej nie ucieszył.

— Nalej mi kieliszek tego porto, które panom tak smakowało — poleciłam.

Siedziałam jakiś czas w milczeniu, popijając wino i rozważając wieści, które przyniósł doktor. Najbardziej zainteresowała mnie sukces Sally Pemberly w procesie przeciwko własnemu mężowi. Rozwiodła się z nim kilka lat temu, ponieważ był takim okrutnikiem, że nawet służba jej współczuła. Z powodu hazardu popadł w długi, doprowadzając do bankructwa i siebie, i swoją rodzinę. Sally złożyła pozew, którego celem było wyłączenie i przywrócenie jej części własności małżeńskiej, znacznych zresztą rozmiarów. Jakimś cudem wygrała. Teraz ma własne dochody i całkowicie uwolniła się od znienawidzonego męża. Szczęśliwa kobieta!

Zerwałam się gwałtownie ze snu, z przekonaniem, że ktoś stoi przy moim łóżku, jednak nie było nikogo. Czyżbym coś usłyszała? Pokój tonął w mroku. Z trudem rozróżniłam firanki przy oknie, niewiele więcej. Natychmiast przypomniał mi się tamten mężczyzna. Odsunęłam siatkę moskitiery i usiadłam na brzegu łóżka; oszołomiona snem, lecz przytomna, potrząsałam głową, żeby sobie w niej trochę rozjaśnić. Potem podeszłam do okna.

Zupełnie jakbym zaglądała do kałamarza. Zarys dębu był ledwo dostrzegalny, jak wycięty z czarnego aksamitu i ułożony na tle czarnego jedwabiu. Czy było coś pomiędzy jego korzeniami? Opadłam na kolana, bo pomyśla-

łam, że moja biała koszula i jasne włosy mogą być widoczne, i wyteżyłam wzrok. Ale moje oczy nie mogły przebić tej ciemności. Czyżby coś się poruszyło, tam, w pobliżu domu? Posłuchaj, powiedziałam do siebie; przymknęłam oczy, wyteżyłam słuch, aż to, co wydawało się ciszą, rozplotło się na wiele różnych dźwięków, na brzęczenie owadów, tykanie zegara w hallu, jakieś szmery w ścianie, szelest liści i gałązek, a potem, ledwie odrobinę głośniejszy od mojego bijącego serca, ani bliski, ani głośny, nagły i jednoznaczny wystrzał.

Otworzyłam oczy. Zerwałam się i ruszyłam ku drzwiom, ale potknęłam się o podnózek i padłam jak długa na dywan. Kiedy się podniosłam, usłyszałam na dworze jakiś krzyk, a potem głos męża miotającego przekleństwo. Otworzyłam drzwi na korytarz w tym samym momencie, w którym otwarły się drzwi jego pokoju. Usłyszałam trzask iskier z lampy; ktoś wyszedł na korytarz. To była Sarah. Stałam za drzwiami, przyłożyłam policzek do drewna, nasłuchiwałam, jak biegnie na podest.

Otworzyły się jeszcze jedne drzwi: doktora. Odezwał się do niej, ona odpowiedziała, nie rozróżniałam słów. Potem zrobiło się jaśniej, załomotały buty mojego męża, rozległ się jego głos.

— Podpalili cukrownię! — krzyknął.

— Zaraz się ubiorę — rzucił doktor Landry, gdy mąż był już w połowie schodów.

— Proszę wracać do łóżka — zarządził. — Ludzi mamy dosyć.

Jakże niby cukrownia mogła się palić? Przecież dopiero co patrzyłam w jej kierunku. Po omacku dotarłam do toaletki, zapaliłam lampę i podeszłam do okna. A jednak. Chociaż płomienie nie były widoczne, po tamtej stronie

czerń nocy rozjarzyła się głęboką czerwienią. Z dołu dochodziły krzyki; mój mąż biegł przez trawnik, a od strony kwater biegło ku niemu dwóch mężczyzn z pochodniami. Drzwi pokoju doktora znów się otwarły i już po chwili jego kroki oddaliły się, kiedy pospiesznie zszedł po schodach. On też pojawił się pod moim oknem, szybkim krokiem podążając w kierunku łuny pożaru.

Poczułam nagły skurcz w sercu. Podobnie było tamtej nocy: dźwięki otwieranych i zamykanych drzwi, dudnienie butów na schodach. Ale było też inaczej. Noc była bezchmurna i zimna. Kiedy się obudziłam i wyrzałam przez okno, zobaczyłam płomienie i snujący się ponad drzewami dym. Nie widziałam, jak ojciec wychodził z domu, i już nigdy więcej go nie zobaczyłam. Słyszałam głos matki, potem głos jakiegoś mężczyzny, którego nie rozpoznałam, ponownie dźwięki zamykanych drzwi i oddalający się odgłos końskich kopyt. Wskoczyłam z łóżka i wybiegłam na korytarz, wołając matkę, ale ona nie odpowiadała. Znalazłam ją w salonie z naszą pokojówką Celeste; siedziały przy jednej tylko lampie, a w pokoju było zimno. Szydełko matki błyskało pośród koronek, nad którymi zawzięcie pracowała. Celeste cerowała skarpetkę. Chciałam rzucić się na kolana matki, wiedziałam jednak, że mnie za to skarci.

— Co się dzieje? — spytałam.

Matka podniosła wzrok, spojrzała na mnie pustymi oczyma, wargi miała zaciśnięte w wąską linię, na jej policzkach tańczyły cienie rzucane przez lampę. Jest przerażona, pomyślałam. Jest przerażona bardziej niż ja.

— Zamordowali go — powiedziała w końcu.

— Ojcze! — krzyknęłam i pobiegłam do drzwi.

— Manon! — zawołała matka, zrywając się na równe nogi. — Nie wychodź!

Podeszła do mnie i wzięła mnie w ramiona, a ja się rozpłakałam. Nie mogłam pojąć, co się wydarzyło.

— Poganiacz pojechał po twojego wuja — powiedziała — i do jego przyjazdu musimy zostać w domu.

Resztę tej nocy spędziłam w łóżku matki. Następnego dnia matka nie wstała, nic nie jadła, na zmianę to szlochała, to miotała szaleńcze oskarżenia.

— Oszalała z rozpaczy — oświadczyła Celeste.

Późnym popołudniem przyjechał wuj i już wolno mi było wyjść z domu.

— Trzymaj się z dala od kwater — nakazał wuj — i z dala od odziarniarni.

Przez całą minioną noc miałam ochotę biec, więc ledwie tylko znalazłam się na dworze, pobiegłam, ze wszystkich sił i jak najszybciej, przez trawnik, a potem drogą do przystani na rzece. Chciałam tak biec bez końca, ale pomost się skończył. Woda wirowała u moich stóp, wiatr unosił włosy. W zasięgu wzroku nie było żadnego parowca. Uniosłam wysoko ręce i z rozpaczą zawołałam: „Ojcze, ojczy!” Odpowiedziała mi cisza; ojca już nie było.

Co wydarzyło się potem? Czerń pochłonęła moją pamięć. Przez jakiś czas chorowałam. A przedtem?

Przedtem odwróciłam się i zobaczyłam dwóch czarnych chłopców, stojących na brzegu pomostu i przyglądających mi się z zaciekawieniem. Byli boso, w łachmanach. Jeden miał na sobie coś, co przypominało żakiet, uszyte z materiału na worki, drugi zaś okrywał chude ramiona kawałkiem końskiej derki. Mieli po dwanaście, może trzynaście lat; byli w moim wieku, chociaż przewyższałam ich o kilka cali. Nie przestraszyłam się ich. Myślę, że nigdy wcześniej ich nie widziałam.

Podeszłam do nich. Kiedy byłam już całkiem blisko, ten wyższy oznajmił:

— Twój tata nie żyje.

— Wiem — odparłam.

— Zabity w pożarze — powiedział ten drugi. — Wielka belka upada na niego.

— Widzieliście to? — spytałam. — Byliście tam?

Wyższy chłopiec przykucnął na trawie, pocierał o siebie dłonie, żeby je rozgrzać.

— Moja ciocia mówi, co twój tata sam robi pożar i strzela w głowa, on już zabity, jak belka upada.

— Kłamiesz — oburzyłam się.

— To mówi moja ciocia — odparł, patrząc na swojego towarzysza, który skinął głową na potwierdzenie.

To nie mogła być prawda. To niemożliwe, żeby ojciec zrobił coś takiego. To oburzające, że ci dwaj celowo mnie szukali, żeby opowiedzieć mi kłamstwo, które wymyślili po to, by mnie zranić. Mój smutek i zamęt w głowie przemieniły się w gniew. Miałam ochotę zabić tych chłopców, wydawało mi się, że zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

— Lepiej stąd zmykajcie — zawołałam, a oni rzucili się do ucieczki niczym przerażone króliki i biegli, aż zniknęli mi z oczu za domem. Stałam na pomoście, trzęsąc się z wściekłości.

Zaczęło padać, ale ja nie byłam w stanie się ruszyć. Stałam tam jak skamieniała, aż przemokłam do nitki, a zęby mi szczękały. O zmroku odnalazła mnie Celeste. Zanim dotarliśmy do domu, majaczyłam już w wysokiej gorączce.

Nigdy nie powtórzyłam nikomu kłamstwa tamtych chłopców. Być może nigdy ich nie spotkałam i tylko wymyśliłam to sobie w malignie. Lekarz i wuj uznali, że śmierć ojca była rezultatem wypadku. Matka zawsze utrzymy-

wała, że go zamordowano. Nigdy natomiast nie stwierdzono, w jaki sposób powstał pożar.

Kłamstwa, pomyślałam, nieustające kłamstwa. Żyliśmy nimi wszyscy, przez cały czas.

Głowę wypełnił mi obraz Sarah opuszczającej pokój mego męża, obraz, który przegonił tamte nieznośne wspomnienia. Miała rozpuszczone włosy, błyszczące oczy; na sobie luźny szlafrok, którego wcześniej nie widziałam, i narzucony na ramiona ciemny szal. Widziałam ją zaledwie przez chwilę w świetle lampy, a przecież zobaczyłam mnóstwo. To samo zobaczył doktor, kiedy otworzył drzwi i odezwał się do niej. Co on wtedy powiedział? W głowie zaczęło mi łomotać. W pokoju było tak gorąco, czułam, że się duszę. Powlokłam się do toaletki, nalałam sobie szklanek wody, wypiałam połowę, a resztę wlałam za dekolt koszuli nocnej. Poczułam się, jakby ktoś mnie uderzył. Słyszałam dochodzące z oddali krzyki, bicie dzwoonu. Mocno chwyciłam się stolika, opuściłam głowę, całe moje ciało dygotało. Ogarnęło mnie przerażenie, kiedy uświadomiłam sobie, że się śmieję.

Przez całą noc modliłam się, aby Bóg uczynił ze mnie wdowę, tymczasem na dowód, że nie istnieje żadna Istota Najwyższa, która wysłuchiwałaby naszych modłów, rankiem u moich drzwi pojawiła się Sarah z wiadomością, że mój mąż pojechał do swojego brata i nie wróci stamtąd przed obiadem. Chce pożyczyć pieniądze, pomyślałam, co oznacza, że po powrocie będzie w podłym humorze.

— Czy doktor też wyjechał? — spytałam.

— Tak, pszepani.

— Wobec tego nie schodzę. Przynieś mi tylko pieczywo, kawę i trochę serka kreolskiego.

— Tak, pszepani — powtórzyła i poszła.

Opadłam z powrotem na poduszki i zamknęłam oczy, a przez głowę z dudnieniem przetaczały mi się myśli. Poprzez to dudnienie dotarł do mnie ten sam dźwięk skrobania w ścianie, który słyszałam ubiegłej nocy: mysz albo wiewiórka bez końca wyrządzają szkody. Dobrze, pomyślałam. Wygryź po trosze każdego dnia, aż wszystko się zawali. Usłyszawszy na schodach kroki Sarah, wstałam. Myślałam właśnie w miednicy twarz, kiedy weszła z tacą.

— Czy cała cukrownia spłonęła? — spytałam, polewając twarz nabraną w dłonie wodą.

Postawiła tacę na stoliku i stała odwrócona do mnie tyłem.

— Nie wiem — odparła.

Poklepywałam twarz ręcznikiem, przyglądając się jej plecami. Czy wie, że widziałam, jak ubiegłej nocy wychodziła z jego pokoju?

— Nie znoszę, kiedy udajesz głupią — rzuciłam zniecierpliwiona.

To połaskotało jej próżność, a próżna jest ogromnie.

— Ugasili — oznajmiła. — Spaliło pół dachu, reszta rymnęła od wody.

— Szkoda — oświadczyłam, zostawiając ją w niepewności co do tego, czy miałam nadzieję na większą czy mniejszą ruinę.

Usiadłam przy toaletce, macałam ciemne kręgi pod oczyma, a ona w tym czasie nalała kawę. Kiedy się nachyliła, żeby postawić wypełnioną po brzegi filiżankę na jedynym wolnym od flakoników i spinek miejscu, jej odbicie w lustrze przesłoniło moje. Tylko spuszczone wzrok, pewna

dłoń oraz ściągnięte koncentracją brwi świadczyły o jej zaangażowaniu w to, co robi. Całkowicie odmienny wyraz twarzy od tego, jaki widziałam, kiedy wybiegała w nocy z sypialni mojego męża. Zalała mnie fala gniewu, podeszła do gardła, tak że z trudem chwyciłam powietrze. W panice podniosłam dłoń i niechcący trąciłam jej rękę. Filizanka zachybotowała się na spodeczku, rozchlapując kawę po całej toaletce. Zerwałam się, żeby nie spłynęła mi na koszulę.

— Jak możesz być taka niezdarna?! — wykrzyknęłam.

Sarah chwyciła ręcznik i zaczęła sprzątać. Podeszłam do okna. Już było upalnie; niebo miało barwę ołowiu.

— Więcej chyba nie zniosę — oświadczyłam.

Według mojego męża pożar w cukrowni jest dowodem na to, jak wspaniale zarządza plantacją, o wiele mądrzej i skuteczniej niż mój ojciec, który żyłby zapewne do dziś, gdyby mógł korzystać z dobrodziejstwa rad przyszłego zięcia.

Ogień podłożył człowiek, którego wcześniej wychłosta-no za powolność w pracy na polu. O swoim planie zemsty opowiedział dwóm współtowarzyszom, a ci powtórzyli Cato, poganiaczowi, który od tej chwili cały czas miał go na oku. Wczoraj, późnym wieczorem, Cato zorientował się, że spiskowca nie widziano na kwaterze od kolacji, i postąpił zgodnie z zaleceniami mojego męża. Pobiegł do pana Suttera i poprosił go, by natychmiast udał się do cukrowni. Potem wysłał dwóch ludzi, żeby zaalarmowali mojego męża, i kolejnego posłańca, żeby uderzył w dzwon, by wezwać wszystkich pozostałych robotników. Winowajca zdołał wciągnąć do budynku kilka bel siana, oblać je naftą i podpalić, ale kiedy wychodził stamtąd, pojawił się

pan Sutter i go postrzelił. Teraz, skuty łańcuchami, czeka na osąd. Szybko ustawił się szereg ludzi, podawali sobie wiadra z wodą i ugasili ogień. Dach nie stanowi wielkiej straty, jak twierdzi mój mąż, bo i tak wymagał naprawy. Rzeczywiście, porżnięto już nań drewno.

— A więc wszystko jest jak należy — zauważyłam.

— Chciałbym, żeby tak było. — Rzucił szybkie spojrzenie na Sarah, co miało oznaczać, że nie może przekazywać ważkich informacji w jej obecności. Zirykowało mnie to. — Przyjdź do mojego gabinetu, kiedy skończysz jeść — powiedział poważnym tonem. — Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

— Jak sobie życzysz — zgodziłam się.

Kiedy odszedł, zmitrężyłam trochę czasu przy kawie. Sarah posprzątała ze stołu i wyszła, zostawiając mnie samą. W pokoju zapanowała cisza; nie na długo jednak. Wzięłam spokojny głęboki wdech i natychmiast z rozdrażnieniem wypuściłam powietrze — tuż zza okna doszedł mnie odgłos niedorzecznego bełkotania i łoskot. To Walterowi dano pełną swobodę na trawniku. Nie ma chwili spokoju w tym domu, pomyślałam. Po czym wstałam i poszłam wysłuchać mężowskich doniesień ze świata.

Ledwie przekroczyłam próg gabinetu, kazał mi zamknąć drzwi. Był podekscytowany, nie mógł usiedzieć na miejscu. Nalegał jednak, żebym ja usiadła, bo inaczej nie będę w stanie wysłuchać tych okropnych wieści, które ma mi do przekazania. Byłam zmęczona brakiem snu i nie miałam ochoty wysłuchiwać jego podszytych pychą urojeń, ale zauważyłam, że jest w nim coś dziwnego, coś nowego, i to wzbudziło moją ciekawość. Rzecz jasna wyglądała na wykończoną; ostatecznie spędził noc na walce z pożarem, a rano na końskim grzbiecie, niemniej wypieki na

policzkach i dziwny błysk w oczach nie były wynikiem zmęczenia. Z ochotą zasiadłam w fotelu, by uważnie wysłuchać jego opowieści.

Tuż przed świtem, kiedy wracał do domu po ugaszeniu pożaru, z uczuciem ogromnej ulgi, że nie spotkało go większe nieszczęście, podjechał do niego z pilnym wezwaniem chłopiec, w którym rozpoznał służącego swojego brata Charlesa. Proszono go, aby przybył niezwłocznie na plantację Charlesa, Chatterly, i przywiózł ze sobą doktora Landry'ego, jeśli ten nie opuścił jeszcze naszego majątku. Mąż wyruszył razem z doktorem w drogę. Kiedy przybyli na miejsce, zastali rodzinę przy śniadaniu, ale był to posiłek pośpieszny i nerwowy. Maybelle, moja szwagierka, była przerażona i skrajnie wyczerpana, jej córki, zajęte pakowaniem, przygotowywały się do wyjazdu do bezpiecznego Nowego Orleanu. Syn, Edmund, chłopiec zaledwie piętnastoletni, przekonał ojca, by pozwolił mu zostać na plantacji.

Dzień wcześniej trzech zbiegów włamało się do spiżarni w Chatterly. Mieli ze sobą brezentowe worki, które wypełnili wszystkim, co byli w stanie unieść. Kucharka zobaczyła ich przez okno kuchni i podniosła alarm. Charles akurat rozmawiał z kowalem na podwórzu. Chwycił pistolet i przybiegł tak szybko, że zdążył ranić jednego z nich, choć nie na tyle poważnie, by zapobiec jego ucieczce. Wszyscy trzej umknęli do lasu, gdzie mimo zawziętego pościgu z użyciem psów gończych i koni nie udało się ich znaleźć. Zupełnie jakby zapadli się pod ziemię.

Późnym wieczorem, być może o tej samej godzinie, kiedy naszą cukrownię ogarnęły płomienie (mąż przybrał swój najbardziej napuszony ton, żeby zwrócić moją uwagę na ten zbieg okoliczności), chłopaka stajennego, wra-

cającego na kwaterę w Chatterly, napadło dwóch uzbrojonych w maczety mężczyzn należących do tamtej trójki. Pobili go, po czym obcięli mu ręce i nogi i pozostawili, żeby się wykrwawił na śmierć. „Powiedz swojemu panu, co my to zrobili, bo postrzelił jednego naszego”. Nieszczęśnik zdążył przekazać te słowa nadzorcy i wyzionął ducha.

— Co mamy robić? — zapytał na koniec mój mąż. — Otworzyć nasze spiżarnie dla każdego zbiega, którego zmęczyła robota, po to, żeby ci, którzy wciąż są wierni, nie zostali zamordowani? I czym się niby może skończyć takie niewyobrażalne bestialstwo?

Nie odpowiedziałam mu. Opowieść ta jednak wstrząsnęła mną na tyle, że zaczęłam się zastanawiać, ile czasu może zająć mężczyźnie dojście z plantacji szwagra do naszej.

— A gdyby to był Edmund? — rozważał mąż. — Właśnie dlatego doktor musiał się zająć biedną Maybelle.

— Co więc zamierzasz? — spytałam.

— Oczywiście zbierzemy patrol i ich zatrzymamy — oznajmił. — Parszywie niefortunny moment. Brakuje mi rąk do pracy i na ściąganie drewna, i na naprawę cukrowni, ale nie mam wyboru.

— Skoro jednak psom nie udało się ich odnaleźć...?

Stanął przede mną, gładząc wąsy, a oczy zwięziły mu się w szparki. Najwyraźniej zastanawiał się, czy powiedzieć mi coś więcej.

— Znaleźli na drzewie konstrukcję — zaczął. — Coś jak chata, z wszelkimi wygodami: umywalka, materac, puszcza tytoniu, była tam nawet talia kart.

— A więc kryli się tam już od jakiegoś czasu.

— Szeryf szacuje, że może ich być nawet setka.

— Och, to na pewno przesada! — wykrzyknęłam.

Przestał dręczyć swój wąs i przyglądał mi się z namysłem.

— Obyś się nie myliła — oświadczył.

Pomimo wymyślnych prób zachowania w całkowitej tajemnicy planu pomśczenia zbrodni z Chatterly nie ulegało wątpliwości, że zanim plantatorzy wyruszą, czarni będą znali każdy jego szczegół, a za ich pośrednictwem również tamci zbiegowie. W przeciwnym razie, po co by podejmowali takie ryzyko i uprzedzali o swoich zamiarach tych właśnie ludzi, których zamierzają obrabować? Mój mąż dziwi się ich bestialstwu; mnie natomiast bardziej zdumiewa ich śmiałość. Próbują zwabiać wrogów w miejsca, gdzie sami nauczyli się całkiem nieźle żyć, i tam ich dopaść. Lasy graniczące z Chatterly rosną na niskich, grząskich terenach; poszycie jest gęste, trudne do pokonania, porośnięte ciernistymi krzewami, pełne węży i przeróżnych gryzących owadów. Nawet wołami ciężko jest stamtąd wyciągnąć większe ilości drewna, co Charles wciąż powtarza, choć u nas sytuacja jest podobna. W takim miejscu mężczyzna na wierzchołku jest łatwym celem dla kogoś, kto potrafi mieszkać na drzewie.

Takie to myśli snułam po południu, siedząc w swoim pokoju nad szyciem. Odczuwałam trwogę, bo jak wszędzie nad tą rzeką, tu także czarni mają nad nami przewagę liczebną, a kiedy plantatorzy wyruszają razem na obławę, nie pozostaje nikt, kto mógłby bronić ich domów i rodzin. Ale uczepliłam się wątlej, cichej nadziei, że może mój mąż pójdzie i nigdy już nie wróci. Kazałam Sarah drzeć starą suknię na kapę na łóżko — powtarzający się, rytmiczny jęk rozdzieranego jedwabiu przerywał moje

rozmyślania. Niemowlę wydawało ciche, zduszone dźwięki, ciemna rączka błędziła po listwach skrzynki. Sarah siedziała odwrócona do mnie plecami; darła metodycznie tkaninę, całkowicie pochłonięta tą pracą, tak to przynajmniej wyglądało. Zastanawiałam się, co wie na temat tego pilnego wyjazdu mojego męża. Czy dzieliła ze mną to nieśmiałe pragnienie, by spotkało go coś złego? Nie mogłam o to zapytać, a przecież chciałam usłyszeć jej głos.

— Co powiedział doktor o Walterze? — spytałam.

Zerknęła na mnie, a potem znów spuściła wzrok, jej twarz była równie obojętna jak maska pośmiertna.

— Nie słyszy.

— Czy zalecił jakąś kurację?

— Pan mówił tylko nie słyszy.

— A ono słyszy? — spytałam, gestem wskazując niemowlę.

W odpowiedzi Sarah położyła materiał na kolanach, odwróciła się, złożyła dłonie i zaklaskała; dźwięk był ostry jak wystrzał. Rączki dziecka poleciały w górę, ponad krawędź skrzynki, a ono samo wydało cichy okrzyk zaskoczenia. Z irytującym uśmiezkiem Sarah powróciła do pracy.

— Nie mogłaś mi po prostu odpowiedzieć? — zaprotestowałam.

Ona dotarła tymczasem do rąbka sukni i jednym długim szarpnięciem, któremu towarzyszył przeciągły wizg, oderwała go od reszty.

Później, kiedy mąż wszedł na górę, usłyszałam, że zatrzymał się przed moimi drzwiami. Do kolacji pił wino i koniak, co robi często, gdy zanosí się na mordowanie czarnych. Leżałam bez ruchu, wpatrując się w gałkę

u drzwi; nie obróciła się, a on po chwili poszedł do swojego pokoju.

Kiedy urodził się Walter, utraciłam resztki pożądania, jakie odczuwałam jeszcze do męża. Wiem, że ciągnęło go do mojego łóżka z obawy, że może nie mieć żadnego syna poza tym, którego już spłodził. Mnie zaś odraza niemalże oślepiła, ale byłam w stanie przetrwać tę ciężką próbę, jaką było nasze małżeńskie współżycie, odwołując się do coraz bardziej zanikającego poczucia obowiązku. Nie mam wątpliwości, że ten mój wstręt był widoczny. Byłam zbyt dumna, by błagać, żeby zostawił mnie w spokoju, a mąż nazbyt zaabsorbowany własną namiętnością, żeby zauważyć, jak cierpię. Moje obrzydzenie zmieniło się w opór, zauważyłam jednak, że ten opór jeszcze bardziej go rozogniał i tym samym stał się dla mnie użytecznym sposobem na doprowadzenie nieprzyjemnego aktu do szybkiego końca. Dlatego też udawałam, że się opieram. Potem szlochałam przepełniona żalem, gdy tymczasem mój zadyszany mąż opadał ciężko na posłanie u mojego boku.

— Nie płacz — mówił i poklepywał mnie po ramieniu, zapadając powoli w sen. — Będziemy mieli dziecko. Jestem o tym przekonany.

Krótko po wizycie u doktora Sancheza odkryłam sposób na zniechęcenie męża do odwiedzania mojego łóża. Prawdę mówiąc, dostarczył go całkiem nieświadomie sam doktor, zapisując mi tynkturę nasenną. Odkryłam, że jeśli wypiję do kolacji dwa kieliszki porto i przed udaniem się do łóżka wezmę dwie łyżki tego znakomitego leku, staję się tak doskonale obojętna na obecność męża, że potrafię znieść jego czułości, nie odczuwając absolutnie nic. Ani go nie zachęcałam, ani się nie opierałam; byłam tam, a jednocześnie mnie nie było. Irytowało go to do granic

wytrzymałości. Szarpał mnie i szturchał, powtarzał w kółko moje imię, wszystko bez rezultatu. Pewnej nocy, po kilku zaledwie tygodniach stosowania mojej metody, przyciągnął mnie do siebie brutalnie i wymierzył kilka solidnych policzków. Uśmiechnęłam się i opadłam na poduszkę, czując w ustach smak krwi. Sięgnęłam palcami do warg i rozmazałam sobie krew po policzku. Cofnął się wtedy raptownie, usiadł na brzegu łóżka i zaczął pocierać dłońmi twarz.

— Manon — zaczął. — Co ty wyprawiasz?

— Skończyłeś już? — spytałam uprzejmie.

— Nie interesuje mnie uprawianie miłości z trupem — odparł.

Roześmiałam się. Jakie to cudowne, że to, co robimy, nazywa „uprawianiem miłości”, jakie zabawne, że wyznacza granicę akurat przy trupie.

— Jeśli jestem martwa — oznajmiłam — to dlatego, że ty mnie zabiłeś.

Odwrocił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłam w jego oczach łzy.

— Lekarz ma rację — zauważył. — Jesteś niezrównowazona.

— Taka jest jego diagnoza?

Odwrocił głowę, schylił się, żeby naciągnąć spodnie.

Niezrównowazona, pomyślałam. A więc tak określa się kobietę, która odróżnia łajdaka od człowieka uczciwego. Zamknęłam oczy i otworzyłam je, kiedy zalała mnie fala nudności. Lekarz miał rację; brakowało równowagi. Trochę za mało porto i być może o kilka kropli tynktury za dużo.

— Nie obchodzi mnie — powiedziałam, kiedy mąż, wzięwszy buty, ruszył ku drzwiom.

Obejrzał się, nie rozumiejąc.

— Nie obchodzi mnie, co robisz — oświadczyłam. — Nie obchodzi mnie, co myślisz. Chcą tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju.

— Niech tak będzie — zgodził się i wyszedł.

W Nowym Orleanie panuje cholera i żółta febra. Docierały do nas co prawda już wcześniej pogłoski na ten temat, ale dopiero doktor Landry, zatrzymawszy się tutaj dzisiejszego ranka, żeby dać odpocząć swojemu wierzchowcowi, potwierdził te zatrważające wieści. W ciągu kilku ubiegłych tygodni liczba zachorowań gwałtownie wzrosła, setki osób już zmarły i doktor jest przekonany, że mamy do czynienia z epidemią. Żółta febra jest bardziej niebezpieczna dla tych, którzy od niedawna mieszkają w tych okolicach — szczególnie Amerykanie są na nią podatni — cholera natomiast rozprzestrzenia się bez przeszkód i zabiera nawet czarnych, odpornych przecież na wiele chorób, które atakują delikatniejsze organizmy Kreolów. Doktor kazał mi koniecznie wywieźć z miasta matką.

Maż przybrał na tą sugestią myślący wyraz twarzy, maskując w ten sposób swoje prawdziwe uczucia. Bo rzadkie wizyty mojej matki w tym domu nigdy nie były udane. Ma ona zwyczaj nie proszona udzielać mu rad w sprawach dotyczących upraw rolnych, a nawet krytykować jego sposób hodowli żywego inwentarza. Jej służąca, Peek, nie najlepiej dogaduje się z Delphine, przez co w kuchni panuje dość pośepny nastrój. Najgorsza jest jednak dla niego konieczność ukrywania jego prawdziwych stosunków z Sarah. Kiedy Walter był niemowlęciem i odsyłało

się go po prostu do kwater, było znacznie łatwiej, chociaż i wówczas, kiedy Sarah znajdowała się w pobliżu, zmuszony był trzymać na wodzy swój temperament i kontrolować spojrzenia. Matka nieustannie powtarza, że nie jest w zwyczaju, by kobieta podawała do stołu, i że powinniśmy mieć stosownego lokaja. Cieszy mnie, kiedy jest zmieszany, niestety krytyka matki dotyczy także mojego postępowania. Uważa, że powinnam okazywać mężowi więcej ciepła i nawet jeśli nie mam na to ochoty, to taka jest moja powinność, a z czasem na pewno sprawi mi to przyjemność. W kółko cytuje owo niezdolne porzekadło o muchach, miodzie i occie, jakby zawarta w nim była cała mądrość stuleci.

— Poślę po nią bez zwłoki — powiedziałam doktorowi Landry'emu i mąż mógł jedynie skinąć potakująco głową.

Kiedy tylko obaj odeszli, usiadłam przy biurku i napisałam list, zapraszając ją do nas. Ledwie skończyłam pisać i stałam tam, machając kartką, żeby wysuszyć atrament, usłyszałam dochodzący z podjazdu stukot kopyt końskich. Bosy chłopiec, Mulat, wbiegł do hallu; był tak przerażony, że nie mógł złapać oddechu. Powiedział, że trzykrotnie zatrzymywały go na drodze patrole, domagano się od niego przepustki, wypytywano dokładnie, skąd się tam wziął. Na szczęście lekarz matki opatrzył list słowem „Pilne” oraz ostemplował zarówno kopertę, jak i przepustkę własną pieczęcią; w przeciwnym razie, wykrzyknął chłopak, jak nic zestrzelono by go z wierzchowca, na którym jego pan go wysłał.

Wzięłam list i lodowaty dreszcz przebiegł mi po krzyżu. Odesłałam chłopca do kuchni, żeby Delphine go nakarmiła i uspokoiła. Złamałam pieczęć i rozłożyłam pojedynczą kartkę welinowego papieru.

„Droga Manon”, czytałam. „Z żalem Cię informuję, że Twoja matka jest poważnie chora. Obawiam się, że jej koniec się zbliża. Prosiła, żebym po ciebie posłał. Powinnaś wyruszyć bez zwłoki. Z poważaniem, dr J. Chapin”.

Mąż wszedł, kiedy powtórnie czytałam tę krótką notkę. Nie mogłam sobie przypomnieć, by matka kiedykolwiek była poważniej chora, choćby przez jeden dzień.

— To od lekarza matki — odpowiedziałam na jego pytające spojrzenie. — Pisz, że ona umiera.

— Czy to cholera? — spytał.

— Nie napisał.

Udawane współczucie wypełzło na jego twarz. Domyślałam się jego chytrych kalkulacji i natychmiast rozwiązałam jego nadzieje.

— Wyruszę, jak tylko zostaną spakowane moje rzeczy — oświadczyłam, ruszając ku schodom. — I zabieram ze sobą Sarah — dodałam po chwili, jakby ta myśl nagle przyszła mi do głowy.

CZEŚĆ DRUGA
EN VILLE

Trudno wyobrazić sobie coś bardziej śmiesznego od tej wzruszającej sceny naszego wyjazdu: pan żegna żonę i służącą, drżąc przy tym z obawy o jedną z nich. O którą? Mnie życzy, żebym umarła na cholera, i boi się, żeby los ten nie spotkał jej. Ja życzę mu, żeby zginął, kiedy będzie strzelał do zbuntowanych czarnych. Ona życzy śmierci nam obojgu. Jego oczy wypełniły się łzami. Ujął moje dłonie i obdarzył mnie spojrzeniem pełnym czułego zatroskania.

— Napisz zaraz, żebym wiedział, że dotarliście bezpiecznie — poprosił.

Weszła Rose z niemowlęciem Sarah, co szybko osuszyło jego łzy. To nieszczęsne stworzenie z każdym dniem staje się brzydsze, a włosy ma gęste, kręcone i rude. Sarah wzięła dziecko na ręce, oparła o ramię i poklepywała z roztargnieniem.

— A co niby miałyby się nam przydarzyć?

— Nie wiem, gdzie jest bezpieczniej, tu czy tam — oznajmił. — Ta sytuacja jest nie do zniesienia.

Spojrzał w kierunku powozu. Przez moment niemal mu współczułam. Tak jest oplątany własnymi kłamstwami; potrafi jedynie odgrywać uczucia, które, jak mu się zdaje, powinien okazywać. Rzucił ponad moją głowę ukradkowe, tęskne spojrzenie na Sarah i to chwilowe współczucie zalała fala tak dobrze mi znanej goryczy.

— Musimy ruszać — rzuciłam, dając chłopcu znak, żeby zabrał kufer.

Sarah poszła przodem, niosąc dziecko i małą torbę, podróżną. Mąż szedł za mną. Kiedy wsiadałam do powozu, ujął mój łokieć, żeby mi pomóc.

— Dbaj o siebie, Manon — powiedział.

Przywołałam na usta najbardziej nijaki ze swoich uśmiechów, moszcząc się na miejscu, poprawiając spódnicę, pośród tego całego zamieszania: przymocowano kufer, Rose podała nam zapakowane bułeczki z szynką, woźnica wskoczył na kozioł i zawołał do koni, zaskrzypiała skóra, rozległ się trzask bata, szarpnęło i żelazo zgrzytnęło o drewno, kiedy koła zaczęły się toczyć. Powoli się oddalaliśmy. Uniosłam dłoń w pożegnalnym geście — mój mąż stał na schodku i machał do nas niezdarnie. Z krzaków wyprysnął Walter ze swoją ogniście rudą czupryną i wywijając rękoma, rzucił się do ojca, objął go za nogi, wrzeszczał, albo z radości, albo ze złości, kto go tam wie, i mój mąż, żeby utrzymać równowagę, musiał się mocno nad nim pochylić.

— Wprost doskonały — rzuciłam do Sarah, która mrużąc od słońca oczy, też przyglądała się tej scenie. — Doskonały obrazek na pożegnanie, który nie pozwoli mi zapomnieć uroków domu.

Więcej powozów opuszczało miasto, niż do niego wjeżdżało, choć akurat nasz pojazd wyprzedziło dwóch lekarzy na wierzchowcach. Obaj zapewnili mnie, że niebezpieczeństwo nie jest tak wielkie, jak się powszechnie uważa.

— W Nowym Orleanie przesadzają ze wszystkim — twierdził doktor Petrie z Donaldsonville. — To jedna z rozkoszy życia w tym mieście.

Tymczasem o zmierzchu, kiedy tam dojechaliśmy, przekonałam się natychmiast, że to pan doktor Petrie przesadzał. Jakże zmienione ujrzałam to miasto; domy straszły zamkniętymi na głucho okiennicami, powietrze było nieruchome i cuchnące. Wzdłuż ulic, co kawałek, płonęły pochodnie i ich siarkowy dym unosił się nad budynkami brudnożółtym obłokiem. Ku memu przerażeniu minęliśmy się z wozem wypełnionym zwłokami. Owinięte były w lniane prześcieradła i przykryte ciężkim brezentem, a sine i opuchnięte stopy wystawały na zewnątrz, jakby umarli usiłowali postawić ostatni krok na tym świecie. Woźnica, sędziwy, chudy jak szkielet czarny, który nawet nie podniósł na nas wzroku, kiedyśmy się mijali, sam mógłby uchodzić za uosobienie śmierci. Wydawał się równie bliski grobu jak ładunek, który przewoził. A gdyby matka była pomiędzy tymi tutaj? — pomyślałam. Przytknęłam powieki i przysięgam sobie, że jeśli umrze, to prędzej zawiozę ją na cmentarz we własnym powozie, niż pozwolę, by ją tam zabrano w tak przypadkowy sposób.

Dziecko Sarah kwiliło, a kiedy matka próbowała je uspokoić, zaczęło zawodzić tak głośno i irytująco, że miałam ochotę wyrzucić je na ulicę.

— Nie możesz jej uciszyć? — wybuchnęłam w końcu.

— Ona głodna — oznajmiła Sarah, przesuwając dziecko wyżej, na ramię. Miała szeroko otwarte oczy, krople potu nad górną wargą. Siedziała w nienaturalnie sztywnej pozycji, z nisko opuszczoną głową. Wyglądała, jakby starała się nie oddychać. Jest śmiertelnie przerażona, pomyślałam. Nie będę z niej miała najmniejszego pożytku.

Wreszcie skręciliśmy w rue St. Ann i zatrzymaliśmy się przed domem mojej matki. On też miał zamknięte wszystkie okiennice; rzadko bywał tak szczelnie odgradzony od

świata. Wskoczyłam z powozu, przebiegłam kilka kroków i szarpnęłam niecierpliwie za sznur. Usłyszałam dochodzący z wnętrza dźwięk dzwonka, a potem zapadła cisza. Przez krótką chwilę lękałam się, że wypełniam tym dźwiękiem wnętrze grobowca, wkrótce jednak odetchnęłam z ulgą, usłyszałam bowiem zbliżające się do drzwi kroki.

Była to Peek, kucharka matki. Z wahaniem otworzyła wewnętrzne drzwi, po czym dojrzawszy mnie przez szczelbelki zewnętrznych, odciągnęła zasuwkę i rygiel podłogowy, żeby wpuścić mnie do środka. Sarah zdążyła wysiąść z powozu i podeszła z wiercącym się na ramieniu dzieckiem.

— Panienska Manon — powitała mnie Peek. — Mamusia panienska dzisiaj trochę lepiej.

— Idź natychmiast do kwatery z tyłu i ucisz tego dziecka — nakazałam Sarah. — Nie potrzeba wrzeszczącego niemowlęcia w domu chorej.

Weszłam do salonu. Jaki był ponury i ciemny, i jaki cichy. Sarah szła przez jadalnię do kwatery, Peek stała na schodku przed wejściem, czekając, aż woźnica odwiąże kufer. Mój wzrok padł na ustawiony na stoliku niewielki portrecik ojca. Kazał go zrobić dla matki, kiedy się pobrali. Twierdził, że artysta go upiększył; że nigdy nie miał tak gęstych włosów, tak mocno zarysowanej szczęki, matka jednak utrzymywała, że podobieństwo zostało znakomicie oddane.

— Bardzo bym chciała, żebyś tu był — powiedziałam. — Tak mi ciebie brakuje. — I poszłam do sypialni matki.

Matka nie jest łatwą pacjentką, a ja nie mam natury pielęgniarki. Jest tak słaba, że nie może wstać, rozdrażniona tą sytuacją i płaczliwa. Nie jest w stanie przełknąć nicze-

go prócz czystego rosołu. Doktor Chapin przychodzi regularnie, a wczoraj oznajmił, że jej stan poprawia się. Kiedy opuściliśmy pokój matki, powiedział mi, że w tej chorobie zdarza się, iż pacjent odzyskuje na kilka dni siły, a potem niespodziewanie odchodzi. Matka jest przekonana, że to lekarz ją zabija. Na jego kurację składa się puszczenie krwi oraz podawanie środków przeczyszczających, co jak twierdzi, jest skuteczne tylko wtedy, gdy stosowane jest często i regularnie. Przerwał kurację, kiedy matce ustąpiła gorączka, co pociągnęło za sobą poprawę jej stanu. „Trzymajcie go ode mnie z daleka” — powtarza matka za każdym razem, kiedy usłyszy dzwonek. Woli okłady i napary Peek, których zapach jest tak mocny, że przepędziłyby z pokoju samego diabła.

Nawet jeśli matka nie cieszy się z wizyt lekarza, to ja sama czekam na nie z niecierpliwością. Przynosi on bowiem wieści spoza domu. Żółta febra powoli ustępuje; jak to doktor ujmuje, zaczyna tracić moc. Cholera zabrała w tym tygodniu ponad sto ofiar, głównie czarnych, co jest wielką stratą dla miejscowej społeczności. Nie ma gdzie grzebać zmarłych, jest za mało grabarzy. Ludzie wychodzą z domu jedynie po żywność, nie urządza się przyjęć, nie zezwala na publiczne zgromadzenia. Miasto wygląda jak podczas oblężenia. A przecież, w miarę upływu dni, zaczynam odczuwać przedziwny spokój. Sypiam w swoim dawnym pokoju od frontu i jadam samotnie na dziedzińcu.

Matka kupiła ten dom po śmierci ojca, żeby być blisko swojej matki, która była już niedołączna. Miałam wtedy trzynaście lat. Kiedy zobaczyłam go pierwszy raz, pomyślałam, że jest za mały, by mogło nam się mieszkać wygodnie; we frontowej części domu są zaledwie cztery pokoje, dwa wychodzące na ulicę i dwa z tyłu, za to wszyst-

kie przestronne, widne i tak rozplanowane, że w każdym można się całkowicie odseparować. Z jadalni dwa skrzydłowe okna wychodzą na dziedziniec, którego połowę pokrywa galeryjka biegnąca pomiędzy kuchnią i dwupokojową kwaterą dla służby. Tworzy rodzaj osłoniętej, zawsze chłodnej loggii. Jest też piękna, stara marmurowa kolumna, oddzielająca dwa urocze łuki, za nimi zaś zasilana wodą ze zbiornika sadzawka. Szyję tam popołudniami i słyszę dzwonek matki, kiedy budzi się z drzemki. Sarah siedzi na prowadzącym do kuchni schodku; obiera warzywa albo zgarnia pianę z powierzchni którejś z tych obrzydliwych mikstur Peek. Znalazła gdzieś kołyskę i kołysze ją stopą. Nawet to nieustanne skrzypienie nie wyprowadza mnie z równowagi; prawdę mówiąc, wpływa na mnie uspokajająco, jak gdyby to mnie samą w ten sposób usypiano.

Oczywiście czasami myślę o tym, że gdyby nawrót choroby zabrał mi matkę, to ten niewielki dom stałby się moją własnością.

Przeżyłam prawdziwy koszmar.

W południe poszłam do matki, żeby podać jej filiżankę rosołu. Była w znacznie lepszej formie. Chciała usiąść w fotelu i miała dość sił, żeby dotrzeć do niego, opierając się na moim ramieniu i posuwając do przodu drobnymi krokami. Zażądała odpowiedniego ułożenia wielu różnych poduszek, potem narzekała, że zupa nie jest dość gorąca, co przypomniało mi męża. Zawołałam do Sarah, by zabrała zupę do kuchni i postawiła z powrotem na ogniu. Kiedy Sarah weszła, matka przyglądała jej się długo, zupełnie jakby nie wiedziała, kim jest.

— Dlaczego akurat tę ze sobą przywiozłaś? — spytała, kiedy Sarah wyszła.

— A niby czemu nie? Ostatecznie należy do mnie — odparłam.

— Kto wobec tego obsługuje twojego męża?

— Rose, jak sądzę. Jest już wystarczająco dorosła. Wyjeżdżałam w takim pośpiechu, że to była ostatnia rzecz, jaką bym sobie zaprzętała głowę.

— Jednak nadal nie macie stosownego lokaja — oświadczyła matka.

— Mąż sobie nie życzy.

Milczała przez chwilę, przyglądając mi się tak, że zaczęłam się czuć niepewnie.

— Nie stać go? — drażyła.

— Nie wiem — skłamałam. — Nie mam wglądu w jego finanse.

— Czemu on wybrał akurat cukier? — wyrzekała, bardziej zresztą do siebie niż do mnie. — Z tym nigdy nie można być pewnym zysku.

— To prawda — przyznałam. — Z bawełną jest łatwiej.

— Ciągle słyszę płacz niemowlęcia — powiedziała raptownie. — Czy tutaj jest małe dziecko?

— To córka Sarah. Jeszcze przy piersi.

— Dlaczego ją tutaj przywiozłaś? — spytała znowu.

Ten upór wprowadził mnie w zakłopotanie, więc nie odpowiedziałam. Z powodu choroby jej umysł błędzi po bezdrożach, pomyślałam.

— Czyje to dziecko? — dopytywała się.

— Sarah — wyjaśniłam po raz drugi.

— Tak — rzuciła niecierpliwie. — To wiem. Ale kto jest ojcem?

— Skąd niby mam wiedzieć?

Zamrugła, jakbym ją uderzyła.

— Myślałam, że będziesz się bardziej starać, Manon — powiedziała. — Zaniedbujesz obowiązki i dlatego tracisz kontrolę nad tym, co się dzieje w twoim domu.

Nie miałam ochoty wysłuchiwać kolejnego wykładu na temat moich niedociągnięć w roli żony.

— Jak długo można podgrzewać miseczkę zupy? — zniecierpliwiałam się, wstając ze swojego miejsca.

Kiedy byłam przy drzwiach, pojawiła się w nich Sarah z tacką.

— Nareszcie — zauważyłam z przekąsem. — Czemu się tak guzdrzesz?

Sięgałam po tackę, kiedy dostrzegłam, że Sarah spogląda na coś za moimi plecami z grymasem wstrętu na twarzy. Cofnęła się gwałtownie, a tacka wyslizgnęła jej się z rąk i z trzaskiem wylądowała na podłodze. Gorąca zupa chlusnęła na moją spódnicę; kilka kropli oparzyło mi kostki u nóg. Krzyknęłam, odwracając się jednocześnie, by ściągnąć z wieszaka ręcznik, i w tym momencie ujrzałam widok tak przerażający, że aż do śmierci będzie mnie straszył w snach. Matka siedziała jak przedtem, wsparta na poduszkach, z dłońmi złożonymi na kolanach, a z jej ust, nosa, oczu i uszu wypływała jakaś czarna ciecz. Wrzasnęłam. Sarah pobiegła, wołając Peek. Wzięłam ręcznik, podeszłam do matki i zaczęłam przyciskać go do jej ust i nosa. Nie protestowała. Może już była martwa. „Mój Boże”, powtarzałam w kółko, wycierając tę lepka ciecz, która ciągle wypływała. Ujęłam jej dłoń i stwierdziłam, że nawet paznokcie ma poczerniałe i wilgotne, a kiedy spojrzałam niżej, zobaczyłam plamy, jak dwa czarne kwiaty rozwijające się na czubkach jej lnianych bamboszy. „Słyszysz mnie?” — spytałam, czując, jak ręcznik sta-

je się coraz bardziej śliski. Wbiegła Peek z ręcznikami, podeszła wprost do umywalki, napełniła wodą z dzbanka miednicę i postawiła ją obok mnie. Wspólnie umyliśmy jak najstaranniej twarz i szyję matki. Woda w miednicy była już czarna, a ta ciecz wciąż wypływała z jej oczu i ust. Skóra przybrała siny odcień, jakby matka się dusiła, a nabrzmiałe żyły na szyi i rękach przypominały macki.

— Mamo — błagałam. — Proszę, odezwij się do mnie. Proszę, spróbuj się odezwać.

— Odeszła, panienko. Nic się nie poradzi — powiedziała Peek, kładąc dłoń na moim ramieniu.

Nogi ugięły się pode mną i opadłam na dywan, wspierając się na rękach i kolanach.

— Mamo — wykrztusiłam znowu.

Luźne pasmo włosów opadło mi na policzek. Jego koniec był czarny i mokry; gęsta kropla spłynęła na moje rozpostarte palce. W pokoju był ktoś jeszcze. Czułam to. Podniosłam wzrok i zobaczyłam Sarah; przykucnięta przy drzwiach, zbierała potłuczoną porcelaną i kładła kawałki na tacy.

— Zostaw to — powiedziałam. — Zostaw mnie.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie; nasze oczy znajdowały się na tym samym poziomie, tuż nad podłogą. W oczach miała tyle współczucia, ile znalazłabym w oczach jaszczurki. Słyszałam szloch Peek. Sarah podniosła się i wycofała tyłem.

— Pomóż mi wstać — poleciłam Peek.

Umyliśmy z Peek ciało matki, ubrałyśmy ją w czystą, lnianą koszulę i ułożyłyśmy płasko na łóżku. Twarz miała opuchniętą, skórę w ceglastym odcieniu, wytrzeszczone

oczy, białka żółte jak cytryna. Próbowaliśmy zamknąć jej powieki, pokryć pudrem te. czarną kreskę pomiędzy wargami, ale nasze wysiłki były daremne. Nie mogłam znieść tego koszmarnego widoku. W końcu położyłam na jej twarzy poszewkę od poduszki i wyszłam z pokoju.

Wysłałam dwa listy, jeden do ciotki, drugi do męża, informując oboje o nagłej śmierci matki. Ciotka była w swoim letnim domu nad jeziorem i spodziewałam się od niej jakichś wieści jeszcze przed świtem. Zjadłam jedynie odrobinę zupy z chlebem, po czym wezwałam Sarah, żeby usiadła ze mną na dziedzińcu i pomogła mi zeszyć dwa prześcieradła na całun. Peek paliła tymczasem kawałek końskiej skóry i kopyto, co miało nas rzekomo chronić przed trującymi wyziewami zmarłej. Wypełniający powietrze odór można było uznać za karę dla żywych za to, że ośmielili się przeżyć. Zawsze gadatliwa Peek milczała, patykiem grzebała w ogniu, wycierając od czasu do czasu łzę. Pomyślałam, że boi się zapytać, co z nią będzie; zresztą nawet gdyby spytała, nie umiałabym jej odpowiedzieć, ponieważ nie znałam treści testamentu matki.

Skończyliśmy pracę o zmierzchu. Kazałam Sarah zapalić w saloniku lampy i weszłam do środka. Byłam przekonana, że nie zasnę, tym bardziej że w pośpiechu i zamieszaniu przed wyjazdem zapomniałam o swojej tynkturze. Sama myśl o bezsennej nocy była przerażająca. Co miałam robić? Zmęczyło mnie szycie, myśli miałam zanadto rozbiegane, by skupić się na lekturze jakiegoś dziennika. Niestosownie byłoby grać na starym fortepianie, który zresztą na pewno był całkiem rozstrojony. Po-deszłam do biurka matki z myślą o jakimś porządkowaniu jej papierów, choć akurat ona była najbardziej pedantyczna ze wszystkich znanych mi osób i byłam niemal

pewna, że nie znajdę tam nic do porządkowania. Z kuchni dobiegał krzyk dziecka.

— Przynieś mi kieliszek porto — poleciłam Sarah. — A potem weź dziecko i usiądź tu ze mną. Czekam na list od ciotki i chcę, żebyś otworzyła drzwi, kiedy pojawi się posłaniec.

Napełniła kieliszek przy stojącym pod ścianą kredensie i podała mi. Otworzyłam szufladę i wyjęłam księgę rachunkową matki. Sarah stała obok i patrzyła, jak przewracam kartki.

— O co chodzi? — spytałam; swoim zwyczajem nie odpowiedziała i wyszła. Przesuwałam palcem w dół, wzdłuż kolumny wypisanych na marginesie liczb.

Po śmierci ojca matka sprzedała farmę oraz większość niewolników i za uzyskane pieniądze kupiła ten dom, a resztę zainwestowała, zapewniając sobie w ten sposób stały, niewielki dochód. Zapisywała każdy grosz. Natychmiast zauważyłam, że z wydatkami mieściła się w ramach tego dochodu, a z biegiem lat powiększała nawet sam kapitał. Jeśli mój mąż położy swoje łapy na tych pieniądzech, pomyślałam, wyparują w ciągu miesiąca. Przypomniałam sobie Sally Pemberly, której udało się uratować posag przed rozrzutnym mężem, i postanowiłam dowiedzieć się o nazwisko jej adwokata.

W bocznej szufladce znalazłam trzy pliki listów, porządnie związane czarnymi wstążkami. Dwa były od brata matki, trzeci od mojej babki. Z tyłu znajdowało się coś, co w pierwszej chwili wzięłam za jeszcze jedną, starszą księgę rachunkową. Brzegi były postrzępione, brązowa skórka mocno spłowieła. Kiedy ją otworzyłam, weszła Sarah i usiadła z dzieckiem przy drzwiach. Mała zawodziła cicho, ledwie jednak matka rozpięła górę sukienki,

uspokoiła się, cmokała jedynie od czasu do czasu, jak ktoś rozkoszujący się potrawą. Z radością rozpoznałam charakter pisma ojca; strony były gęsto zapisane jego ręką, poszczególne zapiski dokładnie datowane. Był to dziennik, założony zaledwie dwa lata przed śmiercią. Cóż za skarb, pomyślałam, ale nie zdążyłam przeczytać nawet jednego zdania, bo rozległ się dzwonek i Sarah zerwała się, oderwała dziecko od piersi i zapinając sukienkę, ruszyła do drzwi. Zamknęłam dziennik, z postanowieniem, że przyjrzę mu się dokładniej w spokojniejszym momencie. Wróciła Sarah z chłopcem, w którym rozpoznałam jednego z naszych.

— Chce zostać na noc — oznajmiła. — Za późno wracać.
— Ma przepustkę? — spytałam.

Chłopak wyjął z kieszeni kawałek tektury i wyciągnął w moim kierunku.

— Pan mówi, ja zostaje — oznajmił śmiało. — Mówi, ja zabieram rano list pani.

— Już do niego napisałam — oznajmiłam. — Nasze listy się minęły.

Zwiesił głowę, obrzucając pokój ukradkowym spojrzeniem.

— W porządku — uspokoiłam go, łamiąc pieczęć. — Możesz zostać.

— Tak, psze pani — skwitował moje słowa.

Zadzwoiłam po Peek, która weszła po chwili obsypana mąką.

— Ten tutaj zostaje na noc — powiedziałam.

— Gdzie ma spać? — spytała, zerkając na chłopca. — Na kuchennym stole?

— Po prostu zrób mu gdzieś miejsce — odrzekłam, wyjmując z koperty pojedynczą kartkę.

Kiedy chłopak powędrował za Peek do jej królestwa, podeszłam do lampy, by odczytać lakoniczne pismo mojego męża. Gdybym tylko miała próbkę jego sztuki epistolarnej, zanim zgodziłam się go poślubić. On jednak był ostrożny i przysyłał wyłącznie związane informacje dotyczące terminów przyjazdu do miasta. A ja, niemądra, wzięłam tę lapidarność za dowód, że jest człowiekiem interesów, teraz natomiast wiem, że po prostu jest zbyt tępy, by napisać więcej niż kilka słów. Ten list, choć krótki, był wyjątkowo wylewny i zawierał sporo wiadomości.

Moja droga Manon,
piszę, żeby Ci donieść o wydarzeniach, do jakich doszło po Twoim wyjeździe. Tak jak planowałem, dołączyłem do patrolu w Chatterly. Zaskoczyliśmy na moczarach 15 Murzynów. 10 nie żyje, 5 czeka na wyrok. Ich przywódcą był diaboliczny Mulat z Plaquemines, który uciekł od swojego pana cztery lata temu. Nikt z naszej grupy nie został poważnie ranny, z przykrością jednak donoszę, że spadłem z konia i mocno skrzywdziłem nogę w kostce. Powoli dochodzę do siebie.

Ufam, że dotarłaś bezpiecznie do miasta, i modlę się, by zdrowie Twojej matki się poprawiło. Donoszą nam o wielu niepokojących wydarzeniach. Czekam na wiadomości od Ciebie za pośrednictwem tego posłańca i na Twój rychły powrót.

Twój oddany,

Jego podpis, jak zawsze, złożony był z inicjałów naskrobanych jeden na drugim, przez co oba były nieczytelne. Położyłam list na dzienniku ojca, potem jednak odsunęłam go na bok, uważałam, że jedno nie powinno dotyczyć

drugiego. Podparłam głowę rękoma. Ni stąd, ni zowąd mój umysł się rozszalał, poczułam ucisk w klatce piersiowej, żar na twarzy. Zatrważało mnie wszystko, co dotyczyło tego listu: protekcyjny ton, nieskrywana próżność, wyraźnie wydane mi polecenie, okraszone udawanym ciepłem w serdecznym zakończeniu. Jego list był doskonałą miniaturą pomnika wystawionego fałszowi, jakim uczynił moje życie. Łzy napłynęły mi do oczu i nawet nie próbowałam ich powstrzymać. Nie było nikogo, kto by mi pomógł. Kiedy żyła matka, miałam jeszcze nieco próżnej nadziei, że być może ona zrozumie w końcu, co muszę znieść, i stanie po mojej stronie, teraz jednak nawet i ta nadzieja odeszła. Jak mam ją pochować? Zastanawiałam się nad tym gorączkowo. Dlaczego ciotka nie napisała, żeby mi powiedzieć, co mam robić? Rozglądałam się bezradnie, ocierając oczy rękawem.

Sarah obserwowała mnie z półmroku, dokąd nie docierało światło lampy. Miała rozpiętą górę sukienki, obnażoną pierś. Dziecko leżało nieruchomo na jej kolanach; odychało spokojnie, rozchylone ciemne usta ukazywały płaski, różowy język. Sarah złożyła głowę na oparciu kanapy, wzrok miała opuszczony, rozluźnione ramiona. Migające światło pobrządziło jej skórę i nadało połysk oczom, które pobłyskiwały jak wilgotne, czarne kamyki. Przez cały czas trwała w jakimś nienaturalnym bezruchu.

Patrząc na nią, otarłam ostatnie łzy; fala bólu napłynęła mi do głowy. Dlaczego pozwolił jej zatrzymać to dziecko? — zadałam sobie w myśli pytanie. Co takiego zrobiła, żeby się na to zgodził, jakiego dobiła targu, co przyrzekła?

I wtedy, jak odpowiedź na moje pytania, z jej sutka wypłynęła i zawisła biała kropla. Nie uczyniła żadnego ruchu, żeby ją wytrzeć, chyba nawet jej nie poczuła. Na

chwilę przymknęła oczy, a potem utkwiała we mnie nieruchomy wzrok.

Chodziło mu o własną przyjemność, uświadomiłam sobie.

Pokój był duszny, powietrze tak ciężkie, że zatykało mi nozdrza. Miałam wrażenie, że czuję rozkład, jakiemu ulega ciało matki, tam, w jej sypialni, mimo że zaledwie kilka godzin wcześniej razem z Peek obmyśliśmy ją perfumami. Kiedy wstałam, świat wokół mnie zawirował i żeby nie upaść, chwyciłam się fotela. „Donoszą nam o wielu niepokojących wydarzeniach”, pomyślałam, słysząc jednocześnie nosowy głos męża. Odzyskałam równowagę i podeszłam kilka kroków w kierunku cienia, gdzie siedziała Sarah.

— Odłóż dziecko — powiedziałam.

Nachyliła się do przodu, wzięła śpiące niemowlę pod pachy i ułożyła w rogu kanapy obok siebie, a ono wydało jakiś cichutki dźwięk, włożyło kciuk do ust i ponownie zapadło w sen. „Z przykrością jednak donoszę”. Świat mego męża był pełen doniesień. Udało mu się dwukrotnie użyć słowa „donosić” w tak krótkim liście. Wyobraziłam go sobie, jak kuśtyka przez jadalnię na tej wykręconej w kostce nodze. Kiedy wrócimy, będzie się wspierał na Sarah. Życzę mu śmierci, pomyślałam, a serce mi się krajało.

Sarah siedziała wychylona do przodu, długie dłonie złożyła na kolanach, jej wzrok spoczywał na dziecku. Kroplka mleka nadal wisiała uczepiona ciemnego sutka; wydawało się nieprawdopodobne, że nie spływa. Uklękałam na dywanie przed nią i położyłam dłonie na jej nadgarstkach. Przez cienką tkaninę rękawa czułam jej gładkie, obłe kości. Wychyliłam się do przodu, aż moje usta znalazły się tuż przy jej piersi, po czym wysunęłam język i chwyciłam tę kroplę.

Rozpłynęła się natychmiast, pozostawiając po sobie za-
ledwie delikatny posmak słodczy. Podniosłam dłoń, uję-
łam jej pierś, lżejszą, niżbym sądziła. Zdawała się wyśli-
zgiwać z moich palców, przybliżyłam sutek do warg i za-
częłam delikatnie ssać. Nic. Wciągnęłam go głębiej do ust
i ssałam mocno, aż czułam, jak zapadają mi się policzki.
Tak właśnie robi on, pomyślałam. Nagle mocny, ciepły
strumień wystrzelił prosto w moje gardło, a ja zaczęłam
szybko przełykać, żeby się nie zakrztusić. Jakie wodniste,
jakie słodkie! Doznałam całkiem nieznanego uczucia
i musiałam się starać zachować przytomność. Widziałam
siebie, jak tam kłęczę, a dalej pokój, gdzie leży ciało mat-
ki, a przecież wydawało mi się, że ona żyje, że zdumio-
nym i przerażonym wzrokiem patrzy na to, co robię.
A jeszcze dalej zobaczyłam gabinet męża, podnosił głowę
znad ksiąg rachunkowych, na twarzy malowało mu się
podejrzeństwo, że coś ważnego się nie zgadza. To mnie aku-
rat ucieszyło. Zamknęłam oczy i przełykałam łapczywie.
Słyszałam jakiś dźwięk, westchnienie, nie wiedziałam jed-
nak, która z nas je wydała. Jakże cudownie się czułam,
jak wspaniale wolna. Zniknął ból głowy, płuca wypełniły
się powietrzem, w piersiach czułam delikatne mrowienie.
Otworzyłam oczy i popatrzyłam na profil Sarah. Uniosła
brodę, odsuwając ją ode mnie jak najdalej; zaciśnięte war-
gi tworzyły cienką, ostrą linię, wzrok miała wbity w po-
ręcz kanapy. Boi się spojrzeć na mnie, pomyślałam. I słusz-
nie. Gdyby na mnie spojrzała, dałabym jej po twarzy.

Dzwonek zadzwonił tak głośno i napastliwie, że obie
zerwałyśmy się na równe nogi. Odwróciłam się do biur-
ka, ocierając usta wierzchem dłoni. Sarah zapięła sukien-
kę i poszła do drzwi, obejrzawszy się jedynie, by się upew-
nić, że dziecko leży bezpiecznie na poduszce. Słyszałam

odsuwanie rygli, skrzypienie zawiasów zewnętrznych drzwi, a potem dotarł do mnie głos ciotki.

— Moje biedactwo — powiedziała, gdy do niej wyszłam, i mnie objęła. — Jakież to musiały być dla ciebie przerażające chwile. Jesteś blada jak prześcieradło. Wyruszyłam natychmiast, gdy otrzymałam od ciebie wiadomość.

W mieście, którego jedna połowa mieszkańców nie żyje, a drugiej nieustannie grozi śmierć, niełatwo zorganizować przyzwoity pogrzeb. Ciotka litościwie od razu wzięła to zadanie na siebie. Wysłała do gazety nekrolog, zamówiła trumnę, wynajęła karawan i powiadomiła administrację cmentarza o planowanej ceremonii. Wolałabym pochować matkę w St. Francisville, obok ojca i moich dwóch braciaków, nie było jednak ani czasu, ani miejsca tam dla niej, będzie więc złożona na wieczny spoczynek w krypcie Petriech, obok swojej matki i dziadków. Wspólnie z ciotką ułożyłyśmy listę jej krewnych i przyjaciół. Kiedy ciotka wyszła, by załatwić posługę księdza, ja wysyłałam zawiadomienia do ludzi z listy. Dodałam jeszcze do niej Joela Bordena, bo zawsze był miły dla matki, a ona darzyła go szczerą sympatią. Przypuszczałam, że nie ma go w mieście, ale chciałam, żeby dowiedział się o jej śmierci natychmiast po powrocie.

Właśnie skończyłyśmy obiad, kiedy przyniesiono drugi list od mojego męża. Napisany był w typowym dla niego, konwencjonalnym stylu, zupełnie jakby dopiero co mnie poznał; moją matkę nazywał w nim panią Gray. Z ulgą przeczytałam, że nie może przyjechać na pogrzeb z powodu niedawnej kontuzji oraz remontu cukrowni. Jakże odległe, jak dawno minione wydawało mi się ży-

cie z nim, kiedy czytałam ciotce ten jego list kondolencyjny.

— No i dobrze — skwitowała ciotka. — Po co ta zaraza miałaaby zabrać jeszcze jedną osobę. Natychmiast po pogrzebie mojej biednej siostry też powinnyśmy opuścić miasto i poczekać na odmianę pogody.

Wcale nie miałam ochoty wyjeżdżać.

Przed zmrokiem poszłyśmy z ciotką do pokoju matki, by owinąć jej ciało całunem. Ciotka położyła mi rękę na ramieniu.

— Manon, widziałam, jak ta choroba oszpeca swoje ofiary — oznajmiła z powagą. — Wybacz mi, ale wolałabym nie oglądać twarzy siostry.

— W żadnym razie nie chciałabym, żeby tak bliska jej osoba dzieliła ze mną wspomnienie tego widoku — oświadczyłam zgodnie z prawdą, a ona dotknęła ze współczuciem mojego policzka. Zostawiłyśmy poszewkę od poduszki na twarzy matki, nasunęłyśmy na jej ciało całun i zaszłyśmy go na dole, przy jej stopach.

Siedziałyśmy potem w salonie, aż do zmierzchu zajęte szyciem. Byłam tak zmęczona, że praca mi zupełnie nie szła i co uszyłam, musiałam pruć i zaczynać od nowa. Ciotka, widząc, w jakim jestem stanie, wysłała mnie do łóżka. Kiedy przechodziłam przez jadalnię, usłyszałam, że Peek i Sarah rozmawiają cicho na dziedzińcu. Peek musiała ciągle popłakiwać; słychać to było w jej głosie. Pomyślałam, że jeśli matka nie zadysponowała inaczej, to ona teraz jest moja. Sarah na pewno opowiada jej, jak ciężkie jest życie na wsi. Prawdę mówiąc, z ogromną niechęcią myślę o zabraniu jej tam, ponieważ ona i Delphine nie będą umiały się dogadać, mimo że są tak bardzo do siebie podobne. Niepotrzebna nam krnąbrna kucharka.

— Jeszcze jedna gęba do wykarmienia — mruknęłam do siebie; padłam na łóżko i natychmiast zapadłam w ciężki, kamienny sen.

Cuchnące wyziewy pokoju zmarłej okazały się niczym w porównaniu z morowym odorem cmentarza. Nie przeszkadzało to trzem czarnym, którzy przy bramie cmentarnej sprzedawali nadziewane mięsem pierogi i orszadę. Wymieniłyśmy z ciotką pełne niedowierzania spojrzenia, przyciskając pod woalkami chusteczki do nosów, kiedy nasz powóz wjechał za karawanem na miejsce, które wydało mi się przedSIONKIEM piekła. Gdziekolwiek obróciłyśmy wzrok, widziałyśmy porozrzucane w nieładzie trumny z grubo ciosanych, sosnowych desek, czekające na grabarzy. Niektóre rozwarły się, kiedy zrzucano je z wózka, i ich zawartość została wydana na pastwę ogromnych rojów much. Zobaczyłam uchyloną trumnę, przewróconą na bok, z której w błoto spływała fala długich, czarnych włosów. Przy każdym skrzyżowaniu leżały sterty kości, wykopanych ze starych grobów, żeby zrobić miejsce nowo przybyłym. Grabarze, ordynarni Irlandczycy, przeklinali i wymachiwali szpadlami, stojąc po kolana w wodzie. Tłumiąc okrzyk, ciotka wskazała mi jakąś parę w żałobie, kobieta kryła twarz na piersi mężczyzny, podczas gdy on patrzył z rozpaczą, jak dwóch czarnych, stojących po obu końcach unoszącej się na wodzie trumny, usiłuje przytrzymać ją w zatopionym grobie. Jakże byłam wdzięczna losowi, że rodzina matki miała własną kryptę. Mój dziadek kupił ją po tym, jak na skutek wiosennej powodzi trumny popłynęły ulicami dzielnicy francuskiej. W naszym mieście, jak powiada mój wuj, pod ziemią znaczy to samo co pod wodą.

Otoczenie tej cmentarnej budowli wyglądało równie makabrycznie. Przeprowadzono tam pospieszny przegląd zmarłych w kryptach i po prostu wyrzucono kości na ścieżkę, tak że po wyjściu z powozu musiałyśmy bardzo uważać, by nie zmieść spódnicą jakiejś kostki. Z ulgą stwierdziłyśmy, że ojciec Francois jest już na miejscu, że otwarto kryptę, a trzech czarnych czeka, by przenieść trumnę matki na jej miejsce. Ciotka, osłabiona słońcem i kosztarną scenerią, czepiała się mojego ramienia. Ksiądz pospieszył jej z pomocą, wyszeptał do mnie wyrazy współczucia i dał znak ludziom, żeby rozładowali karawan. Ja nie byłam w stanie wykrztusić słowa. Myślałam o tym, że matka nigdy nie lubiła ojca Francois, a ojciec odnosił się sceptycznie do tego, co zwał „przesądami twojej matki”. Czarni przeszli obok nas, z wysiłkiem niosąc trumnę na ramionach; stękając i pocąc się, wsunęli ją na miejsce i wycofali się. Ten, który nimi kierował, przeszedł tuż obok ciotki, a ona wyjęła z rękawa i podała mu starannie złożony banknot. Ksiądz odśpiewał po łacinie modlitwy, uczynił znak krzyża, który z ciotką powtórzyłyśmy, i było po wszystkim; teraz wszyscy chcieli oddalić się stamtąd możliwie najszybciej, jakby z obawy, że mogą wciągnąć do płuc coś, co zatrzyma ich tam na zawsze. Kiedy znalazłyśmy się w powozie, zamknęłam oczy i otworzyłam je dopiero, gdy poczułam, że konie, minawszy bramę, zdecydowanie przyspieszyły.

Z północy nadciągały ogromne kłęby ciemnych chmur, pojawiły się też błyskawice, po których słychać było z dala niskie pomruki grzmotów. W tym krótkim czasie, jaki zajął nam powrót do miasta, słońce schowało się, zrobiło się chłodniej i wreszcie kilka kropli deszczu uderzyło o szybę. Ciotka podniosła woalkę i z nadzieją wyjrzała na zewnątrz.

— Być może nasze modlitwy zostaną wysłuchane — oznajmiła, co mnie rozbawiło.

Ludzie nieustannie modlą się o zmianę pogody i kiedy ta się wreszcie zmienia, dochodzą do wniosku, że mieli swój udział w tym, co w istocie było przecież nieuniknione. Mój mąż ciągle mnie zachęca, bym modliła się o deszcz, a gdy pada, żeby zaświeciło słońce.

Tymczasem deszcz padał, i to coraz mocniej. Zanim skręciliśmy w rue St. Ann, zmienił się w ulewę. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku i, ku swojej irytacji, zobaczyłam, że drzwi frontowe są otwarte na oścież, Sarah stoi na zewnątrz, pod daszkiem, rozmawiając jak gdyby nigdy nic z nie znanym mi Mulatem.

— Oj, to przecież pan Roget — zauważyła ciotka. Podciągnęła spódnicę, przygotowując się do wysiadania.

— A kimże jest ten pan Roget? — spytałam, rzucając mu gniewne spojrzenie, bo nim się oddalił, miał czelność uchylić przede mną kapelusza.

Sarah zniknęła w cieniu za drzwiami.

— To ten człowiek, który chciał odkupić Sarah od twojego wuja — odparła. — Był nieznośny w tej sprawie, żałuję jednak, że go straciłam. Jest życzliwym człowiekiem i znakomitym budowniczym. Powinnaś zobaczyć jego sztuczny marmur; istne чудо. — I pozostawiając mnie z tą informacją, która pozwoliła jej nie wspominać o reakcji wuja na zabiegi pana Rogeta, zawołała do woźnicy, by podał jej dłoń, po czym przeskoczyła zwinnie przez błoto.

Całą noc padał ulewny deszcz; rankiem powietrze było chłodne, niebo przybrało barwę bladego błękitu i miasto nagle opanował radosny nastrój. Wyjrzałam przez fron-

towe drzwi i zobaczyłam sąsiadów pijących na balkonie kawę, podczas gdy dom trząsał się od łoskotu otwieranych okiennic. Wzdłuż całej ulicy niesło się echem skrzypienie zawiasów, trzask drewna o drewno i słyszać było radosne pozdrowienia ludzi, którzy widzieli się po raz pierwszy od tygodni. Pokazała się ciotka; wystrojona do kościoła, naciągała jeszcze rękawiczki.

— Idę na mszę, złożyć dzięki — oświadczyła radośnie. — Nie pójdziesz ze mną? Wszyscy tam będą.

— Nie, dziękuję — odparłam.

— Nie mam pojęcia, jak sobie radzisz bez pociechy, jaką daje wiara.

— Jakoś sobie radzę — odpowiedziałam z uśmiechem, w żadnym razie nie chcąc jej urazić. Ojciec miał wysokie mniemanie o ciotce Lelii i powiadał, że nawet z religii potrafi uczynić cnotę, co w jego ustach stanowiło niewątpliwą wyraz uznania.

— Niechże tak będzie, moja droga; ja wobec tego pomodłę się za ciebie — oświadczyła, podchodząc, żeby pocałować mnie w policzek. — I za duszę twojej biednej matki, która jest już w niebie.

Weszła Sarah ze śniadaniem na tacy.

— W jadalni — rzuciłam i pozbyłam jej się machnięciem ręki.

Poszłam za ciotką do drzwi i patrzyłam, jak na rogu wciąga ją strumień pieszych; wszyscy byli elegancko ubrani i lekkim tonem pozdrawiali się nawzajem. Nikt, pomyślałam, nie nazwałby prawdziwego powodu swojego dobrego samopoczucia i nie wyraził głośno tego, co odczuwa: „Inni umarli, ale ja żyję”. Wróciłam do jadalni i wzięłam z talerza kromkę chleba. Zawołałam Sarah, która pojawiła się w drzwiach ze spuszczoneym wzrokiem.

Od tamtej nocy, kiedy umarła matka, starała się mnie unikać, a to chowając się w kuchni, a to przesiadując z dzieckiem w swoim nagrzanym pokoju, przychodząc jedynie na wezwanie. Przełykałam kęsy chleba i przyglądałam się jej. Zdawała się sztywnieć pod moim wzrokiem, obracać w kamień, nawet przestawała mrugać; to taka jej sztuczka.

— Wiesz przecież — zaczęłam — że służbie nie wolno przyjmować gości w drzwiach frontowych.

— Tak, pszepani — zgodziła się. Tylko jej wargi poruszyły się, twarz pozostała nieruchoma.

Usiadłam przy stole i oderwałam następny kawałek chleba.

— Nalej mi kawy — poleciłam.

Wzięła dzbanek, nachyliła się i gorący, czarny strumień spłynął do mojej filiżanki. Byłam pewna, że wie, że ja wiem wszystko o panu Rogecie.

— Kim był ten mężczyzna, z którym wczoraj rozmawiałaś? — spytałam.

— To pan Roget — odparła. Wyglądała na wystraszoną, spodziewała się najgorszego.

— Jaki był cel jego wizyty?

Postawiła ostrożnie dzbanek na podstawce, po czym cofnęła się, tak że nie widziałam jej twarzy.

— Przysłał go mój brat, żeby powiedział, że dostał pracę na przystani.

— Kto dostał tę pracę? Pan Roget?

— Nie, pszepani. Mój brat. Wynajęli go od jego pana do pracy na przystani.

— A jak ma na imię twój brat?

— Clarence.

Popijałam kawę. Brat, pomyślałam. Jaki sprytny pomysł.

Zastanawiałam się, czy wymyśliła go sama, czy też opracowali to wspólnie z panem Rogetem.

— To chyba dość niezwykle — zauważyłam — żeby człowiek wolny służył za posłańca pomiędzy dwojgiem niewolników?

Naturalnie zmilczała. Po jakimś czasie znużyła mnie jej obecność za plecami.

— Idź już sobie — powiedziałam. — I powiedz Peek, żeby pomogła ci otworzyć wszystkie okiennice.

Swój majątek matka w całości zapisała mnie i jest większy, niż sądziłam. Część pieniędzy zainwestowała, o czym nic nie wiedziałam, na dodatek kapitał powiększył się imponująco. Mam zatem przejąć dom, umeblowanie, dochód wystarczający, by żyć wygodnie, i dwoje niewolników, Peek oraz chłopca o imieniu Isaiah, którego matka wynajęła piekarzowi w mieście. Wszystko to jest moje, a jednocześnie nie moje, ponieważ mój mąż może, i niewątpliwie tak uczyni, rozporządzać całością spadku, kiedy tylko go przejmę.

— Czy nie ma żadnego sposobu, żebym mogła zachować to dla siebie? — błagałam o pomoc prawnika.

— Nie ma, chyba że rozwiedzie się pani z mężem — odparł. — A to mogłoby trwać latami. Tymczasem on sprawowałby kontrolę nad majątkiem.

Ciotka siedziała obok mnie, mocno zacisnęła wargi i mruganiem usiłowała utrzymać na odległość słowo „rozwód”.

— Oczywiście, w razie śmierci męża wszystko będzie należeć do pani — zapewnił mnie prawnik.

— Jeśli coś jeszcze zostanie — zauważyłam. — Prawa tego stanu są tak pomyślane, żeby skłaniać obywatela do

morderstwa — rzuciłam do ciotki, kiedy opuściłyśmy biuro adwokata.

— Wszędzie jest tak samo. — Spojrzała na mnie z dezaprobatą. — Własność kobiety należy do jej męża.

— Mój mąż nie zechce Peek. Co mam z nią zrobić?

— Peek to rzeczywiście problem — przyznała ciotka. — Chodź, wypij ze mną kawę i porozmawiamy o tym.

Testament matki nie pozwalał sprzedać Peek na targu, wynająć żadnej instytucji ani też wywozić z miasta, bo, jak ujęła to matka: „przeraża ją życie na wsi”.

— Nie mam ochoty jej zatrzymywać — powiedziałam ciotce, kiedy zasiadłyśmy w jej salonie. — Może wzięła-bys ją sobie?

— Nie — odparła ciotka. — Moja Ines jest znakomitą kucharką. A smutna prawda jest taka, że Peek nie jest w tym fachu mistrzynią.

— Delphine powiada, że mleko kwaśniej od jej spożyczenia — oznajmiłam.

— Twoja biedna matka zwykle wypożyczała od nas Ines, kiedy urządzała proszone obiady. — Ciotka się uśmiechnęła. — Dwa, trzy razy w miesiącu, za każdym razem, gdy ja i wuj jedliśmy poza domem.

— To było bardzo wielkoduszne z waszej strony — przyznałam.

— To była wymiana — wyjaśniła ciotka. — Peek spędzała te wieczory w mojej dużej kuchni, przygotowując dla nas wszystkich te swoje mikstury. Nikt nie jest w stanie wytrzymać w domu, gdy to robi.

— Matka była zagorzałą zwolenniczką jej leków — zauważyłam.

— A ja dzięki jej naparowi pozbyłam się tej słabości w piersiach.

— Nic, tylko płacze — powiedziałam. — Myśli, że zamierzam zabrać ją ze sobą i zrobić z niej kucharkę dla pracujących w polu.

— To mogłoby wywołać bunt — zachichotała ciotka.

— Wiesz może, ile ona ma lat?

— Kiedy przyszła do twojej matki, dwadzieścia lat temu, nie była już dziewczyną. Ma pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć lat, jak sędzę.

— Na targu nie przyniosłaby nawet stu dolarów.

— Nie — zgodziła się ciotka. — Ma niewielką wartość.

Popijałyśmy kawę małymi łykami. Czułam się spokojna, beztroska, co rzadko mi się teraz zdarza. Meble, obrazy, dywan w salonie ciotki, wszystko to przypominało mi szczęśliwsze czasy. Nawet liściasty wzorek talerzyka wyglądał, jakby zaprojektowano go po to, by sprawić mi przyjemność.

— Powinna trafić do kogoś takiego jak matka — stwierdziłam. — Do samotnie mieszkającej wdowy.

— I niezbyt wybrednej w sprawach kuchni — dodała ciotka. — Spośród naszej rodziny nikt taki nie przychodzi mi do głowy.

— Pewnie będziemy musiały komuś ją podarować.

— Tak chyba będzie najlepiej.

— Czy jest ktoś taki w sąsiedztwie?

Zastanawiała się przez kilka chwil.

— Nikogo takiego nie znam — odpowiedziała. — Możesz jednak zapytać Peek. Być może ma jakiś pomysł, co ze sobą zrobić.

Ku memu zdumieniu okazało się, że ciotka miała rację. Kiedy wezwałam Peek do salonu, byłam przygotowana na scenę ze łzami i lamentem, ledwie jednak przedstawi-

łam jej warunki testamentu matki, osuszyła łzy i okazała bardzo żywe zainteresowanie swoim losem.

— Panna Favrot weźmie mnie, coby opiekować się jej matką — oznajmiła. — Jej dom trzy przecznice stąd.

— Skąd masz tę pewność?

— Mój kuzyn pracuje w jej domu. Mówił o mnie i pani mówi, że weźmie, ale dużo nie zapłaci.

— Znasz tę panią?

— Raz niosłam lekarstwo dla syna. Miał krup. Polepszyło mu się, a lekarze nie pomogli.

— Doskonale, Peek. Jeszcze dzisiaj napiszę do tej pani, a ty zaniesiesz list.

Skinęła kilkakrotnie głową i wyszła, składając chusteczkę i wygładzając spódnicę, bez jednego choćby słowa podziękowania.

Wieczór był tak chłodny, że kazałam rozpalić w kominku. Usiadłam przy biurku matki z zamiarem przestudiowania dziennika ojca. Po raz pierwszy czułam, że dom jest moją własnością, i było to zupełnie nowe, przyjemne doznanie. Wyjęłam oprawny w skórę zeszyt i otworzyłam na stronie, na której ojciec zapisał datę oraz swoje imię i nazwisko, dużymi, drukowanymi literami, G. PERCY GRAY. Dreszcz przyjemności przebiegł mi po plecach, poczułam się tak, jakby ojciec był w tym pokoju, choć od jego śmierci minęło piętnaście lat.

Spojrzałam na pierwszy wpis i odczytałam relację dotyczącą pogody, wykonanych na polu robót, zapłaconych rachunków; było tam też kilka zdań na temat wizyty sąsiada. Zapis ten zajmował pół strony. Następny pod względem stylu i treści podobny był do pierwszego. Zajrzałam

dalej i zobaczyłam, że większość zajmuje mniej więcej tyle samo miejsca i dotyczy tych samych spraw — pogody, upraw, polowania albo łowienia ryb, chorób zwierząt i niewolników, wydanych pieniędzy, kupionych towarów — dzień za dniem. Rozczarowała mnie nudna nijakość tych zapisków. Ojciec był człowiekiem niezwykle energicznym i mógł na pewno opisać swoje życie bardziej interesująco niż ta lista spraw związanych z interesami i zajęciami domowymi. Dlaczego matka zachowała ten dziennik, skoro nie zawierał nic ciekawego? Przerzucałam kartki, zerka-
jąc to tu, to tam. Relacja na temat pożaru w odziarniarni sąsiada. „Robotnicy pracują za wolno, bawełna marna. Trzy dni ulewnego deszczu, zniszczone torebki nasienne”. Wizyta lekarza, wizyta pośrednika. Żadnej wzmianki o matce czy o mnie, jakbyśmy nie istniały. Zatrzeszczał węgielek i wystrzelił iskrą na kafle przed kominkiem. Podniosłam wzrok na ogień, pozwalając, by dziennik otworzył się sam na jakiejś przypadkowej stronie, a kiedy ponownie do niego zajrzałam, przeczytałam to zdanie: „Przeprosiłem moją drogą małżonkę za to, że jej uchybiłem, ona jednak powiada, że nigdy mi nie wybaczy”.

„Za to, że jej uchybiłem”. Przeczytałam uważnie ten zapis: „23 maja, ładna pogoda, wyjątkowo chłodny ranek. Okopywanie i pielienie bawełny z tej strony strumienia. Ponownie siejemy kukurydzę. Stonka zniszczyła część zasiewów; objedzone łodygi i pędy. Nie rosną. Przyjechał doktor White obejrzeć moich chorych, w sumie siedmioro. Obawiam się, że stary Burns nie wyzdrowieje. Przeprosiłem moją drogą małżonkę za to, że jej uchybiłem, ona jednak powiada, że nigdy mi nie wybaczy”.

Dwa kolejne zapisy dotyczyły upraw, pogody, wyprawy na ryby, wyjazdu do miasta w celu wypełnienia obowiązku

członka ławy przysięgłych. Inny fragment dotyczył psa, którego prawie nie pamiętałam: „moje stare psisko było już takie chore, że musiałem wybawić je od cierpień. Gdzież jest ten Bóg, który wybawi nas od naszej niedoli”. Przerzuciłam strony, przebiegając je szybko wzrokiem, nie znalazłam jednak żadnej innej wzmianki na temat owego uchybienia. Wreszcie natknęłam się na zapis, który kończył się słowami: „moja droga małżonka, wielce poirytowana, nie chce mi wybaczyć”. To było sześć miesięcy później. Notatki wypełniały zeszyt zaledwie w połowie. Ostatnie zdania, zapisane kilka dni przed jego śmiercią, brzmiały: „Zimno, mokro, wysiewamy owies, dzikie gęsi, płonące bierwiona, troje z zapaleniem opłucnej, nieszczęsne chaty i nieszczęście w chatach i w domu, deszcz o zmierzchu”.

Zamknęłam notes. Ojciec umierał, a matka wciąż nie wybaczyła mu tamtego uchybienia i już nigdy się nie dowiem, co to było.

Po jego śmierci matka była niepoczyszona. Minał miesiąc, nim odezwała się do kogoś jeszcze oprócz swojej siostry i mnie. Upierała się, że ten pożar nie był sprawą przypadku, że ojca zamordowano. Sypiałam wtedy w jej pokoju i każdej nocy słyszałam, jak przez sen woła jego imię. Kiedyś obudziłam się i zobaczyłam, że stoi nade mną i stara się połuźnić wysoki kołnierzyk przy swojej koszuli nocnej. Usłyszałam, jak szepcze chrapliwym głosem: „Percy, Percy”, zupełnie jakby to on ją dusił.

Odłożyłam notes do szufladki i przeniosłam się na fotel bliżej kominka. Na stoliku obok fotela stał portret ojca, przystojnego, młodego Amerykanina, z gęstymi, złocistymi włosami opadającymi kędziorami na gładkie czoło, z błakającym się na ustach nieśmiałym uśmiechem. Właśnie poślubił piękną Kreolkę, wbrew woli jej rodziny,

i przeniósł się z nią na małą farmę, którą kupił wcześniej w gminie West Feliciana. Pieniądzy miał niewiele, ale miał ambicje; był człowiekiem niewierzącym, odważnym, uczciwym, dobrym i przestrzegającym zasad. Odniósł sukces; nie dorobił się co prawda fortuny, ale miał stały, znaczny dochód i nie popadał w długi. Jakież to uchybienie mógł mieć na sumieniu, że matka uznała je za niewybaczalne? Czy nie pytał jej o zgodę we wszystkich sprawach, które jej dotyczyły? Czyżby przestał tolerować jej uzależnienie od religii, którą sam uważał za okrutny przesąd? A może kiedyś, wracając z miasta, zapomniał przywieźć jej prezent? Jakże często widziałam, że odsyłał służącego i sam wstawał od stołu, by ukroić jej kromkę chleba czy przynieść filiżankę kawy, bo, jak mówił, służenie jej sprawia mu przyjemność? Czy był choć jeden dzień, kiedy jej nie powiedział czegoś miłego, nie okazał szacunku, nie spytał o opinię? Jak mogła pozwolić, by choć przez godzinę żył ze świadomością, że ona ma do niego żal?

Obok portretu ojca leżał ostatni list od mojego męża, nieznaczenie zawołowany rozkaz natychmiastowego powrotu do domu z pieniędzmi ojca. Przypomniałam sobie ostatnie słowa matki, jej zarzut, jakobym zawiodła jako żona, ponieważ zaniedbałam swoje obowiązki względem męża. Jak mogła mnie strofować, skoro sama znajdowała powód do winy u męża, który nigdy nie sprawił jej kłopotu, który był oddany, solidny, pracowity, kochający, był tym wszystkim, czym mój mąż nigdy nie był? Nie. Nie miałam poczucia obowiązku wobec mężczyzny, który zmusił mnie, żebym od dziesięciu lat żyła w szaleństwie jego zachłanności, perwersji i żądzy. Ogień w kominku przygasł, ale nie miało to znaczenia. Inny tlił się bowiem w moim sercu. Siedziałam długo w wychłodzonym poko-

ju, pilnując tego płomienia, nieustannie go podsycając, aż jego iskry zapaliły suche szczapy mojej urazy i poczułam się tak, jakbym siedziała w rozpalonym piecu.

Mówią, że nie mam wyjścia, ale przecież jak mogę rezygnować, kiedy ten świat, którego mi odmówiono, tak bardzo mnie pociąga. Po południu, kiedy stałam z zawiniętymi rękawami, nadzorując sprzątanie, otrzymałam od ciotki bilecik z zaproszeniem na kolację. „Joel Borden wpadł dzisiejszego popołudnia” — napisała. „Przyjdzie znowu po kolacji, żeby złożyć ci kondolencje”.

— Idź natychmiast do mojej ciotki — rzuciłam do Peek. — Powiedz, że przyjdę o siódmej. I poproś, żeby mi pożyczyła swój czarny, kaszmirowy szal. — Potem kazałam Sarah zaprzestać trzepania dywanów i zająć się myciem oraz suszeniem moich włosów.

Zupełnie niedorzecznie wpadłam w stan niestosownej euforii, tak jakbym się wybierała na jakąś radosną uroczystość, ledwie jednak posadzono mnie obok wuja w jadalni ciotki, odzyskałam rozsądek. Wuj wrócił właśnie od jakiegoś plantatora, którego jest przedstawicielem, i wciąż jeszcze był wstrząśnięty nagłą śmiercią mojej matki. Jedną ręką trzymał moją dłoń, drugą przyciskał do oczu chusteczkę i poświadczał dobrze znany fakt, że Kreole rzadko umierają na żółtą febrę. Dlatego właśnie matka odmówiła przyjęcia zaproszenia do ich domu nad jeziorem. Ciotka ze łzami w oczach przypomniiała, że straciła kuzynę podczas epidemii w 1822 roku. Co za szczęście, zauważył wuj, że zdążyłam przybyć na czas, żeby pożegnać się z matką.

Każde wspomnienie matki powoduje, że ponownie prze-

żywam ostatnie chwile jej życia, odbiera mi mowę i ciarki mnie przechodzą. Niestosownie byłoby jednak prosić o zmianę tematu konwersacji. Bez wątpienia Joel również nie będzie mówił o niczym innym jak tylko o tej bolesnej stracie i o jego szczerym przywiązaniu do mojej matki. Co by sobie pomyślał, gdybym powiedziała, że wolałabym posłuchać ploteczek z ostatniej *fete*, w której uczestniczył. Milczałam podczas kolacji, niewiele jadłam, czego ani ciotka, ani wuj nie komentowali, znali przecież przyczynę mojego przygnębienia. Wreszcie, kiedy przenieśliśmy się na kawę do salonu, odezwał się dzwonek i służąca wprowadziła do pokoju Joela.

Jakież przedziwne wrażenie wywarł na mnie jego widok. Wyglądał krzepko, męsko, z ową pociągającą kombinacją ospałości i wesołości, a jednocześnie twarz jego wyrażała współczucie, w którego szczerość nie można było wątpić. Kiedy nasze oczy się spotkały, w jego wzroku nie dostrzegłam ani odrobiny tego znanego mi, kpiarskiego błysku; jedynie smutek i pełne taktu zatroskanie. Natychmiast podszedł do mnie, wyciągając ręce. Kiedy wstałam, by go przywitać, poczułam słabość wywołaną nagłą falą smutku, chwyciłam więc jego dłonie, szukając wsparcia. Nagromadzone żale wypełniły mój umysł, szloch wydobył się z gardła, z oczu popłynęły łzy. Ponieważ nie mogłam rzucić się bez tchu w ramiona Joela, musiałam wrócić na fotel. Tam, zgięta wpół, nadal czepiając się kurczowo jego rąk, zalewałam się łzami. Joel uwolnił jedną rękę, gładził mnie po policzku, włosach, szeptał przy tym cicho: „Moja biedna Manon, moja biedna, droga dziewczynka”. Poprzez łkanie usłyszałam słowa ciotki: „Była niezwykle dzielna”, a potem wuj, wydmuchawszy nos, przypomniał Joelowi, jak niezwyčajna to rzecz, by Kreol zaraził się

żółtą febrą, a już szczególnie dziwna, że matka na nią umarła. Odzyskałam panowanie nad sobą i wyprostowałam się, koncentrując całą uwagę na wyciągnięciu z rękawa chusteczki.

— Musisz mi wybaczyć — powiedziałam.

— Ma się rozumieć — oświadczył Joel.

— Nie ma nic do wybaczenia, tam gdzie chodzi o szczerze uczucia — oznajmiła ciotka.

Wuj wstał, podszedł do kredensu i wyjął kieliszki. Nalał mi kieliszek koniaku z wodą, nazywając ten trunek „wzmacniającym”, oraz dwa, już bez wody, dla siebie i Joela.

— Naparsteczek mojego likieru jagodowego — domagała się ciotka.

Joel podał mi kieliszek i zajął fotel obok ciotki.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas o smutnych okolicznościach tego spotkania, by w końcu przejść do moich planów na przyszłość.

— Co zrobisz z domem? — pytał Joel. — To taka ładna, mała siedziba. Tyle miłych chwil tam spędziłem.

— Szkoda byłoby się go pozbywać — zauważył wuj.

— Na razie go po prostu zamknę — powiedziałam.

— Byłby doskonały na *pied-a-terre* — zasugerowała ciotka.

— Jak najbardziej — zgodził się Joel. — Jest tak ładnie położony, że może twój mąż częściej będzie miał ochotę zostawić tę swoją trzcinę cukrową i przyłączyć się do nas, tutaj, podczas sezonu.

Wypiłam spory łyk koniaku i ponad brzegiem kieliszka popatrzyłam na Joela. Czy to możliwe, żeby jeszcze nie odgadł, jakie uczucia żywię do swojego męża? Czy może uwaga ta była jedynie uprzejmością, mającą zwiędzić ciot-

kę i wuja? Jego oczy, zadumane, zainteresowane, patrzyły w moje; na jego ustach zaś igrał cień uśmiechu.

— Mąż nie znosi Nowego Orleanu — oświadczyłam.

Nie przestawałam myśleć o rzuconej od niechcenia uwadze Joela, kiedy przeglądałam rzeczy matki, przeznaczając jedne na cele dobroczynne, inne odkładając do przeróbki. Miałam zaledwie dzień na spakowanie i na zamknięcie tego domu przed powrotem do miejsca, którego nie nawidziałam, na czas, którego nie potrafiłam przewidzieć. Czułam się jak więzień, którego wyprowadzono na chwilę z mrocznej celi, pokazano mu wesoły, pełen życia, słoneczny świat i powiedziano, że może ten radosny świat oglądać tylko wtedy, gdy przekona strażnika, by mu towarzyszył. Melancholia i wyrzuty sumienia nawiedzały mnie na przemian, czyniąc każdą decyzję torturą, zupełnie jak gdyby los jakiejś chustki czy kolczyka mógł mieć jakikolwiek wpływ na moje życie. Peek i Sarah kręciły się po domu, zwijały dywany, przykrywały meble, czyściły srebro i wkładały je do miękkich, filcowych woreczków. Co będzie ze mną? — zastanawiałam się, obracając w dłoni broszkę z granatem. Dokładnie pamiętałam kształt puzderka, w jakim ją przyniesiono, głęboką czerwień aksamitnej kokardki i rzucone w moją stronę rozbawione spojrzenie ojca, kiedy matka niecierpliwie pociągnęła za wstążkę. Jak to się stało, że tamta radosna chwila zmieniła się nieodwołalnie w tę obecną?

Wieczorem jadłam kolację z ciotką i omawiałyśmy sprawy na następny dzień. Kiedy od niej wychodziłam, uparła się, by towarzyszył mi służący z latarnią, co było zbyteczne, bo ulice dobrze oświetlono, a do przejścia mia-

łam zaledwie kilka nieustannie patrolowanych przecznic. Wieczór był rzeński i chłodny; przechodząc pod balkonami sąsiadów, słyszałam stłumione odgłosy rozmów, śmiechy, czasami wybuch niekontrolowanej radości, kiedy ktoś wygrał w karty albo rozbawił towarzystwo jakąś smakowitą, skandaliczną ploteczką. Jakiż zwyczajny i cichy był w porównaniu z tymi mój mały dom, a przecież kiedy włożyłam klucz w zamek i kiedy weszłam do zaciemnionego saloniku, ponownie poczułam radość posiadania. Zapaliłam lampę i zamknęłam okiennice. Pokój już nabrał nierealnego wyglądu pomieszczenia porzuconego. Meble przykryto luźnymi kremowymi pokrowcami, palenisko kominka wymieciono do czysta. Peek poszła już do swojej nowej pani, a Sarah, jak przypuszczałam, spała. Przeszłam do swojej sypialni, w której nigdy nie jest zupełnie ciemno, bo przez okiennice sączy się światło z ulicy. Koszula nocna leżała na fotelu, dzbanek napełniony był wodą, pościel zachęcająco odrzucona. Rozebrałam się szybko i wślizgnęłam do łóżka. Jutro, pomyślałam, będę już daleko od tego przytulnego miejsca.

Ledwie zamknęłam oczy, poprzez moje swobodnie błądzące myśli przedarł się jakiś szept. Na początku wydawało mi się, że wydobywa się spod poduszki. Jeden głos, drugi, cisza. Odwróciłam się na plecy i leżałam bez ruchu, nasłuchując. Nic. Z zewnątrz dobiegł mnie stukot końskich kopyt zbliżający się do skrzyżowania, następnie oddalający się w kierunku Place d'Armes. Zamknęłam oczy. Znowu usłyszałam szept. Tym razem głos brzmiał natarczywie. Męski czy kobiecy? Mimo że bardzo się koncentrowałam, nie byłam w stanie wyłowić nawet jednego, pojedynczego słowa. Głos dobiegał spod podłogi. Po przerwie odezwał się inny i słyszałam go przez dłuższą

chwile. Usiadłam na łóżku. Pod podłogą czy za ścianą? Ten brzmiał, jakby należał do kobiety. Była zirytowana, natarczywa. Wyślizgnęłam się z łóżka i uklękłam na gołej podłodze. Ucichła; nikt nie odpowiedział. Minał jakiś czas, a ja słyszałam jedynie własny oddech. Kiedy w końcu postanowiłam wrócić do łóżka, głos, który jak sądziłam, należał do mężczyzny — odezwał się ponownie; był teraz przyciszony, łagodny, uspokajający. Musiał dochodzić przez ścianę. Mój dom od sąsiedniego, większego dzieliła wąska uliczka. A przecież byłam przekonana, że dźwięki dochodzą spod desek pod moimi kolanami. Z tej strony pod domem znajdowała się pusta przestrzeń, było tam jednak tak mało miejsca, że trzeba by pełzać na kolanach. I znowu szepty, szepty. Wreszcie ostatecznie udało mi się usłyszeć słowo „bać” oraz inne, kilkakrotnie powtórzone, które brzmiały jak „za nic” albo „na nic”. Opadłam na kolana, przyłożyłam ucho do podłogi. Głos ucichł.

Popadam w szaleństwo, stwierdziłam.

CZEŚĆ TRZECIA

BUNT

Miałam nadzieję, że mąż będzie tak pochłonięty instalowaniem nowego dachu, że pójdę prosto do swojego pokoju przebrać się po podróży i przez jakiś czas jeszcze oszczędzę sobie widoku jego twarzy. Tymczasem, ledwo skręciliśmy na podjazd, zobaczyłam, jak stoi przed domem i wymachuje laską, której najwyraźniej w ogóle nie potrzebował. Krzyczał coś do siedzącego na koniu pana Suttera. Tamten ruszył galopem, jakby go gonił sam diabeł, i minął nas bez słowa. Mąż czekał, aż podjedziemy.

Miał na sobie pogniecione białe ubranie, bez fularu, buty do konnej jazdy i wielki kapelusz, spod którego opadała na czoło grzywa rudej czupryny. Na jego widok poczułam się, jakby zatrzaśnięto mi drzwi przed nosem. Usłyszałam nawet trzask zamka, a może to tylko dziecko Sarah przełknęło głośno. Sarah karmiła je kawałkami ugniecionego w dłoni chleba kukurydzianego. A ono było nienasycone. Błysnęły dwa białe dolne zęby. Kiedy tak się przyglądałam, mlasnęło głośno i obdarzyło mnie absurdalnie radosnym uśmiechem. Pomyślałam, że niewiele radości czeka je po odstawieniu od piersi, a smętne oblicze Sarah mówiło mi, że i ona o tym myśli.

Woźnica pociągnął za lejce i kiedy konie poszły stępą, powóz przestał się kiwać. Byliśmy już tak blisko, że mój mąż zdjął kapelusz i zaczął nim wymachiwać.

— Chciałabym zawrócić — rzuciłam w przestrzeń.

Sarah wcisnęła dziecku ostatni kawałek chleba i wytarła palce o bok powozu. Zatrzymaliśmy się, woźnica zeskokczył z kozła i już po chwili staliśmy na ziemi naprzeciwko siebie. Scena powitalna. Oby jak najkrótsza, pomyślałam.

— Chwała Bogu, że dotarłaś bezpiecznie! — wykrzyknął mąż, biorąc mój sakwojaż. — Na śmierć się zamartwiałem.

Sarah ściągnęła z góry worek z bielizną pościelową swojej matki i prześlizgnąwszy się obok nas, weszła do domu. Ot, szczęście niewolnika, pomyślałam, na zawsze zwolniony z obowiązku powitań.

— Jak widać, jestem bezpieczna — rzuciłam do męża. — Ale też bardzo zmęczona. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę wprost do swojego pokoju i odpocznę tam do kolacji.

— Ależ oczywiście — odparł i ruszył za mną jak cień tanecznym a nerwowym krokiem do środka. — Muszę jednak poinformować cię, o czym właśnie doniósł mi pan Sutter. Pod Pass Manchac zorganizowała się grupa zbiegów. Chcą pójść w dół rzeki i zbierać po drodze innych. Zamierzają się połączyć z inną grupą pod Donaldsonville. Ludzie stamtąd już powołali milicję. Dziwię się, że żadne patrole nie ostrzegły cię po drodze. Pan Sutter powiedział, że jakiś niewolnik z Overton poinformował wczoraj nadzorcę o tym spisku. Zaplanowali bunt na dzisiejszą noc.

— A ten informator dzisiaj jest już wolnym człowiekiem — rzuciłam ostro. — Czy nikomu nie przychodzi do głowy, że te spiski istnieją wyłącznie w głowach tych niezadowolonych, którzy zorientowali się, że wystarczy śmiertelnie nas przerazić, żeby zyskać wolność!

To go uciszyło na chwilę, i wreszcie znalazłam się na schodach. Bez dalszych komentarzy udałam się do swojego pokoju, gdzie Sarah rozpakowywała moje rzeczy, a dziecko spało w tej swojej skrzynce.

— Zostaw to — rzuciłam. — Idź i powiedz Delphine, żeby zaparzyła mi ziołową herbatę, głowa mi dosłownie pęka.

Kiedy wyszła, opadłam na bujany fotel. Zaczęłam się zastanawiać nad tą uwagą o powołaniu milicji. Rzeczywiście, nie widzieliśmy żadnych patroli, żadnego też powozu. Widzieliśmy jednego czarnego na mule i drugiego z kozą na powrozie. Epidemia w mieście wygasła, pogoda była piękna, a mimo to mila za milą droga wzdłuż rzeki była pusta i cicha. Czyżby ludzie tak się zlekli tych pogłosek, że woleli się nie ruszać?

Jeśli rzeczywiście na północ od nas zawiązano spisek i buntownicy zamierzali połączyć się z kohortami w Donaldsonville, to będą musieli przekroczyć rzekę. Jak chcą to zrobić? Największy jej odcinek oraz najpewniejszy prom jest tuż na południe od naszej posiadłości. Czyżby planowali przejąć ten prom?

Weszła Sarah z tacą i postawiła ją na stoliku z boku. Patrzyłam na jej plecy, kiedy nalewała herbatę i wsypywała cukier. Przyszło mi do głowy, że wie o tej sprawie więcej niż ja, że ona i Delphine prawdopodobnie znają imiona informatora i przywódcy zbiegów. Kiedy przyniosła mi filiżankę, przyjrzałam się bacznie jej spuszczonej oczom, pozbawionym wyrazu ustom. Doszłam do wniosku, że się dąsa.

— Sądzę, że na dzisiejszą noc zamknie nas w domu — oznajmiłam, biorąc do rąk filiżankę i nie spuszcżając wzroku z jej twarzy.

Rzuciła mi nagłe, przenikliwe spojrzenie, po czym od-

wróciła głowę. Piłam herbatę. Jątrzące uczucie niepokoju przedarło się przez ściskający moją głowę ból. W oczach Sarah wyczytałam to samo pytanie, które powstało w mojej głowie: Jak dużo wiesz?

Co jedliśmy tamtego wieczoru? Od tego należałoby zacząć. Pamiętam, że była zupa, w której pływały strączki okry, ale jaka? To był ostatni przyjemny moment; Sarah unosi pokrywkę od wazy i ta smakowita woń wypełnia jadalnię. Ines, kucharka mojej ciotki, często gotowała taką zupę w mieście, jednak, według mnie, nikt nie robił lepszej niż Delphine. Czy była z kureczaka? Po niej podano następne danie i jeszcze jedno, ale jakie?

Mąż monotonnym głosem opowiadał o uprawach, jakby uważał, że w obecności służby nie należy rozmawiać o groźbie buntu, choć była tam jedynie Sarah. Zapewne wyobraził sobie, jak Sarah powtarza wszystko Delphine albo Rose, a one dzielą się tymi wiadomościami z jakimś robotnikiem, który oczywiście opowiada o wszystkim w kwaterach. Nie miało to najmniejszego znaczenia, bo każdy czarny w promieniu pięćdziesięciu mil dawno już o tym spisku słyszał.

Wypiłam sporo wina do kolacji. Sarah zapaliła lampy i podała kawę. Pokój wydawał mi się zadymiony, duszny. Kiedy Sarah wyszła, mąż podniósł się i zamknął okiennice, a ja poczułam się, jakbym znalazła się w więzieniu.

— Mam ochotę na kieliszek porto — odezwałam się.

Chwalił się kiedyś, że ma u siebie butelkę tego wina, wyjątkowo dobrej jakości. Poszłam za nim do gabinetu.

— Dołączysz do patrolu? — spytałam, kiedy nalał mi parę kropli porto.

— Nie od razu — odparł. — Oni wyruszą z okolic Pass i będą się posuwać w dół rzeki, w naszym kierunku. — Wyciągnął do mnie rękę z kieliszkiem.

— Jeśli ci to nie przeszkadza, wolałabym odrobinę więcej — powiedziałam.

Zdziwił się, po chwili jednak zrozumiał.

— Wiem, że te wszystkie spiski wyprowadzają cię z równowagi — oznajmił, dolewając do kieliszka.

— Wręcz przeciwnie. Mam przynajmniej o czym myśleć, poza szyciem — stwierdziłam, ale on zignorował moją uwagę.

— Prawdę mówiąc, niechętnie myślę o wyjeździe. Nie mam nikogo zaufanego, kto mógłby pilnować domu. Jeśli tamten informator nie kłamał, to zmowa objęła wszystkie kwatery od Pointe Coupee aż do miasta, po obu stronach rzeki. — Otworzył szafkę i wyjął dwa pistolety.

— Skoro powołano milicję, to przecież tamci są skazani na niepowodzenie — zauważyłam. — Co chcą osiągnąć?

— Chcą po prostu wymordować tylu spośród nas, ilu się tylko da — odparł. — Dalej ich plany nie sięgają.

Popijałam porto, myśląc o nich, jak zbierają się wieczorami wokół ognisk, jak pod wpływem szalonej przemowy jakiegoś kaznodziei rozpalają się ich prymitywne namiętności, jak wymyślają najskuteczniejsze sposoby wybicia nas wszystkich. I nie byli to tylko robotnicy polowi. W Nowym Orleanie słyszałam kiedyś o pewnej Amerykance, która złapała pokojówkę na tym, jak próbowała otruć wszystkich domowników, dosypując arszeniku do cukru. Co by zyskała, uśmiercając swoją panią, przecież znów by ją sprzedano, może jakiejś surowszej pani? To mnie zadziwiało.

— Pewnie to kwestia liczb — oznajmiłam.

Maż, zaabsorbowany nabijaniem jednego z pistoletów prochem, rzucił mi pytające spojrzenie.

— Bo jest ich o tyle więcej od nas — wyjaśniłam. — Nie rozumieją, dlaczego nie mogą robić tego, co chcą.

— Bo są diabelnie prymitywnymi zwierzętami — oświadczył mój małżonek.

Uniosłam brwi.

— Być może masz rację — zgodziłam się.

Odłożył pistolet i całą uwagę skupił na mnie.

— Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać, Manon. Wysłuchasz mnie?

Moja scheda, pomyślałam. Zaraz się dowiem, jak zamierza roztrwonić pieniądze mojego ojca.

— Zamieniam się w słuch — powiedziałam.

Unióśł nogę i przysiadł na krawędzi biurka.

— Kiedy wyjechałaś, wiele o tobie myślałem. Więcej, niż kiedy jesteś tutaj.

— „O nieobecnych myślimy...” — darowałam sobie już to „życzliwiej”.

— Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że wiem, że gdyby to od ciebie zależało, nigdy byś tutaj nie wróciła.

To szczere stwierdzenie prostej prawdy zaskoczyło mnie. Postawiłam kieliszek na stoliku i wciągnęłam głęboko powietrze. Okazja na uczciwą wymianę zdań była w naszym przypadku czymś tak rzadkim, że postanowiłam wykorzystać ją do próby wprowadzenia w życie pewnego zamysłu, jaki przyszedł mi do głowy podczas długiej podróży powrotnej.

— Tak — przyznałam. — Gdyby nie kwestia obowiązku, nigdy bym tu nie wróciła.

Zmrużył oczy, zupełnie jakby fakt, że przyznaję mu rację, zabolał go, choć przecież nie mógł być zaskoczony, skoro sam na to wpadł.

— Czy nie istnieje jakiś sposób na zasypanie tej przepaści pomiędzy nami, żebyśmy mogli żyć jak mąż i żona? — spytał błagalnym tonem.

Najwyraźniej wyobrażał sobie, że jeśli powie coś odpowiedniego, zmienię zdanie i zaproszę go do mojej sypialni. Sama myśl o takiej możliwości była dla mnie odpychająca.

— Nie — odparłam.

Przyglądał mi się bacznie przez chwilę; najwyraźniej zdumiała go moja oziębłość.

— Tak po prostu? — spytał.

— Tak. Skoro jednak podniosłeś sprawę owej „przepaści”, jak ją zwiesz, mam pewną propozycję.

— Chętnie wysłucham — oświadczył.

— Proponuję zatem, żebyśmy spędzali więcej czasu z dala od siebie. Teraz, kiedy mam dom matki, mogłabym sezon towarzyski spędzać w mieście. Będę potrzebowała kucharki, skoro Peek już odeszła, wzięłabym też Sarah, więc mógłbyś, co tak często radziła matka, kupić sobie stosownego lokaja.

— Sądziłem, że ból po śmierci matki zmiękczy twoje serce — nie krył rozczarowania. — Widzę, że jest wręcz przeciwnie.

— Zostałam osierocona — mówiłam dalej. — Kto stanie w obronie moich interesów, jeśli ja sama nie będę ich bronić?

— Nigdy nie przystanę na twoją propozycję — oznajmił.

Spodziewałam się takiej reakcji, więcej, nawet uwzględniłam ją w swoich planach i dlatego jak prawdziwy hazardzista zatrzymałam kartę atutową na koniec.

— A gdybym zostawiła tutaj Sarah? — spytałam. — Co wtedy?

Uniósł dłoń ku twarzy i zaczął targać wąsa, wbijając jednocześnie we mnie powątpiewający wzrok. Coś mu świtało. Mógł za jednym zamachem mnie się pozbyć, a Sarah zachować dla siebie. Rozważał to z takim samym wyrazem twarzy, z jakim studiował menu przy tych rzadkich okazjach, kiedy jedliśmy kolację w restauracji; ewentualność niewłaściwego wyboru dręczyła go boleśnie.

— Jesteś moją żoną — oznajmił w końcu.

— To mój pech — zauważyłam.

Wyprostował się, całą uwagę ponownie skupiając na pistoletach.

— Nie stać nas na utrzymywanie domu twojej matki — oświadczył. — Zamierzam polecić mojemu adwokatowi, żeby poszukał kupca.

Stanowczość mnie opuściła i łzy bezsilności wypełniły moje oczy.

— Nie — zaproponowałam. — Nie zgadzam się.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, obracając pistolet w dłoniach.

— Cóż — powiedział. — Nie płacz, Manon. Wrócimy do tej sprawy. Mamy mnóstwo czasu.

— To mój dom — zaprotestowałam.

Nawet nie zareagował na ten argument, tym bardziej uświadamiając mi jego daremność. Rękawem wytarłam łzy.

— Uważam, że teraz przede wszystkim powinniśmy myśleć o tym, jak zapewnić sobie bezpieczeństwo dzisiejszej nocy — powiedział. — Ty i Sarah nie będziecie pod żadnym pozorem opuszczały twojego pokoju, ale nie zamkajcie drzwi na klucz. Spędzę tę noc na sofie na podeście. Chcę być blisko, gdybyście potrzebowały pomocy.

Ten pomysł wydawał mi się idiotyczny, ale tak boleśnie odczuwałam porażkę, że nawet nie chciało mi się

protestować. Dopięłam porto i wstałam; wcale się nie zdziwiłam, że zakreśliło mi się w głowie. Mąż znalazł się przy mnie, chciał ująć mnie pod ramię, jednak cofnęłam je gwałtownie. Postąpił kilka kroków za mną, po czym zrezygnował.

— Mam tu jeszcze coś do zrobienia — oznajmił, jakby mnie to cokolwiek mogło obchodzić. — Sprawdzę, czy kuchnia jest zamknięta, i przyjdę na górę.

Powlokłam się po schodach. W moim pokoju Sarah rozkładała właśnie szal matki na swoim materacu. Dziecko leżało na brzuchu przy jej stopach; bezskutecznie próbowało raczkować. Przynajmniej ono wkrótce stąd zniknie, pomyślałam. Podeszłam do okna i spojrzałam w ciemność. Niebo było czyste, powietrze chłodne. Z północy wiał lekki, niosący wilgoć wiatr, więc mocniej owinęłam się szalem. Powinnam zamknąć okno, zanim pójdę spać, pomyślałam, albo wziąć dodatkowy koc. Opierając się na łokciach i spoglądając w gwiazdy, przez kilka chwil rozważałam ten banalny problem. Na niebie widniała niepełna tarcza księżyca. Jakże miło byłoby przespacerować się pod drzewami; ale to oczywiście było niemożliwe.

— Nie widzę tu żadnych oznak buntu — powiedziałam na głos, żeby się trochę podnieść na duchu.

Zerknęłam do tyłu, na Sarah, która klęczała i patrzyła na mnie ze ściągniętymi brwiami, jakbym odezwała się w języku, którego nie rozumiała. Odwróciłam się i spojrzałam ponownie w głąb nocy, ganiąc się w duchu za tę niemądrą uwagę. Prawda zaś była taka, że w tym momencie pragnęłam tylko jednego: opowiedzieć o swoim nieszczęściu komuś, kto mnie kocha, ale przecież nikt taki nie istniał. On sprzeda mój dom, a ja już do śmierci pozostanę uwięziona tutaj. Przyjrzałam się korzeniom drze-

wa, przypomniawszy sobie tamtą noc, kiedy zauważyłam mężczyznę odwzajemniającego moje spojrzenie. Nie powiedziałam o tym nikomu, częściowo w nadziei, że może w ten sposób sprowadzę jakieś kłopoty na męża, częściowo z obawy, żeby nie stał się jeszcze bardziej histerycznie czujny. Moje życie to małeńki krąg, pomyślałam, od nadziei do obawy i z powrotem.

Usłyszałam krzyk nocnego ptaka, po chwili za kuchnią odezwał się drugi. Sączyło się z niej słabe światło. Delphine najwyraźniej nie spała, zamknięta tam razem z Walterem i Rose. On na pewno spuści psy, nim przyjdzie na górę. Kwatery obowiązywała ścisła godzina policyjna: żadnemu mężczyźnie, kobiecie ani dziecku nie wolno się pokazać na dworze przed świtem. Przez całą noc pan będzie patrolował swoją cytadelę, mierząc z pistoletów do owadów, powiewów wiatru, do myszy, a rankiem, jak zwykle, zasiądziemy do śniadania.

Koc, zdecydowałam. Było chłodno, moskity dadzą nam spokój. Zostawię otwarte okno. Odwróciłam się, żeby kazać Sarah wyjąć koc z szafy. Zobaczyłam, że spowija dziecko ciasno w szal. Wydało mi się to dziwne. Owinęła jego głowę fałdą szala, tak że wyglądało jak jedno z tych indiańskich dzieci, które widywałam w mieście na rynku, przymocowane rzemiennym paskiem do pleców matki. Nosidełko. Tak to nazywano. Uradowałam mnie widok niebieskiej butelki z tynkturą nasenną i zrobiłam kilka kroków w stronę stolika. Kątem oka zauważyłam jakiś ruch przy drzwiach i odwróciłam się, żeby zobaczyć, co to takiego.

Ujrzałam fragment czarnej twarzy i wpatrzona we mnie oko. W tym samym momencie zniknęło, wprawiając mnie w zwątpienie. Zaczęłam rozpaczliwie szukać w myślach

jakiegoś rozsądnego wyjaśnienia: może mąż znalazł jakiegoś godnego zaufania strażnika i wpuścił go do domu albo może był to posłaniec przynoszący ważne wieści z miasta. Ale reakcja mojego ciała była jednoznaczna. Krew uderzyła mi falą do głowy, nogi ugięły się pode mną, wszystko było już oczywiste i wyraźne jak na dłoni. To, czego się tak bardzo obawialiśmy, stało się rzeczywistością i nie było już ucieczki. Osunęłam się na łóżko, otworzyłam usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Sarah podniosła się, przyciskając do siebie tobołek z dzieckiem. Podeszła do okna. Kiedy ponownie spojrzałam na drzwi, to oko znów tam było; obserwowało mnie.

— Sarah? — zawołałam cicho, obracając się powoli, ostrożnie do okna.

Wychylała się na zewnątrz, przyciskając dziecko do piersi, patrząc raz w jedną, raz w drugą stronę. Bezszelestnie wystawiła tobołek za parapet i wypuściła z rąk. Nasłuchiwałam odgłosu upadku, krzyku, wciąż jednak panowała cisza.

Co to oznaczało? Odwróciła się od okna; jej szeroko rozwarłe oczy patrzyły obok mnie na tamtą zjawę w drzwiach. Ona też ją widziała. Nie ulżyło mi to odkrycie. Odwróciłam się z powrotem, nadal trzymając się kurczowo słupka łóżka, chociaż już czułam, że wracają mi siły. Ta twarz była tam, teraz już z fragmentem nosa i policzka. Jak długo zamierzał nas szpiegować w ten absurdalny sposób?

— Co tu robisz? — spytałam. Zdziwiło mnie, jak spokojnie to powiedziałam.

W odpowiedzi stanął śmiało w drzwiach. Był wysokim mężczyzną, o bardzo czarnej skórze, ubranym w luźną, bawełnianą koszulę i spodnie z grubej tkaniny. Stopy miał bose. W jednej ręce trzymał maczetę, w drugiej rzeźnicki

nóż. Stał na rozstawionych nogach, zgarbiony i ze wzrokiem dziwnie na niczym nie skoncentrowanym, jakby stał się do kontroli. Chyba nie widziałam go nigdy wcześniej. Był robotnikiem polowym, zbiegiem, nie należało oczekiwać, że można z nim rozsądnie rozmawiać. Zresztą żaden przekonywający argument nie przychodził mi do głowy. Gdzie też podziewał się mój mąż ze swoimi pistoletami? Jego obsesja się wreszcie zmaterializowała, a jego samego nie było w pobliżu. Przyszło mi na myśl, że może już nie żyje.

— On nie sam — odezwała się Sarah.

— Nie, na pewno nie jest sam — odparłam. — Chodź i stań przy mnie.

Podeszła do mojego boku i stałyśmy tak obie, a w powietrzu wyczuwało się nieuchronność morderstwa. Usłyszałyśmy strzał, krzyk, potem następny strzał. Intruz zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Zapanowała całkowita cisza; jedynie wiatr szeleścił firanką. Raptownie dobiegło mnie drapanie, głośne i naglące, jakby tamten gryzoń nie mógł znieść ciszy. Słyszałam obok siebie płytki oddech Sarah, a w uszach własny szaleńczy puls. Czarny wychylił się na korytarz i popatrzył w stronę podestu.

— Sprowadź je na dół — dobiegł głos z dołu.

Mężczyzna cofnął się i maczetą pokazał, że mamy wyjść na korytarz.

Moją pierwszą myślą było rzucić się do ucieczki; dokąd jednak miałam uciekać? Mój mąż bardzo starannie zamknął nas w domu, najwyraźniej razem z naszymi mordercami. Sarah wzięła lampę i poszła przodem na podest. Intruz szedł tuż za nami, jego cień skakał po ścianie przede mną, tak że czułam się osaczona ze wszystkich stron.

— Czekajcie — rzucił krótko, gdy znaleźliśmy się na podście.

Zatrzymałam się. Sarah odwróciła się i obie patrzyłyśmy, jak ogląda dokładnie lunetkę. Usłyszałam czyjś kaszel i spojrzałam w dół. Miejsce u stóp schodów zalane było światłem z jadalni. Stał tam drugi mężczyzna, niższy, jeszcze czarniejszy; trzymał pistolet i uśmiechał się do mnie.

— Zejdźcie, panie — powiedział. — Powoli.

Oparłam dłoń na poręczy i posuwałam się w dół, zatrzymując się na każdym stopniu. Sarah szła za mną, tak trzymając lampę, że znajdowałam się w kręgu światła. Głowa pękała mi od pytań. Gdzie jest mój mąż? Co się stało z dzieckiem Sarah? Czy Delphine jest bezpieczna w kuchni? Ilu było tych mężczyzn? Jak się dostali do środka, a przede wszystkim, czy mogę uciec? Zobaczyłam na końcu hallu otwarte drzwi frontowe i stojącego tyłem trzeciego mężczyznę. Trzymał na ramieniu strzelbę i spoglądał w ciemność. Ten, który się odezwał i którego wzięłam za ich przywódcę, cofnął się o krok, żebym mogła przejść.

— Wchodźcie tam — powiedział, wskazując drzwi jadalni.

Zrobiłam, jak sobie życzył, i przeraziłam się: było ich tam jeszcze czterech. Jeden, bez koszuli, siedział rozwalony w stojącym z boku fotelu, inny klęczał przed nim, owijając mu płótnem krwawiące ramię. Pootwierali wszystkie okiennice i okna. Kolejny mężczyzna ścisnął w dłoni krótki nóż i oparty o futrynę, wyglądał na zewnątrz, podczas gdy ostatni, uzbrojony w szablę, stał z drugiej strony drzwi i patrzył do środka. Sarah minęła mnie i postawiła lampę na kredensie. Na stole stało jeszcze kilka lamp, walały się resztki szynki i pół bochenka chleba; nie za-

wracali sobie głowy talerzami. Kroili te. szynkę własnymi nożami, pozostawiając głębokie rysy w drewnie. Zniszczyli stół, pomyślałam. I wpadłam we wściekłość. A wściekłość dodała mi odwagi. Zwróciłam się do ich przywódcy, który tarasował drzwi.

— Gdzie jest mój mąż?

Przywódca wszedł do pokoju, wyciągnął krzesło, usiadł i rzucił mi ponury uśmiezek.

— To właśnie chcę wiedzieć — oznajmił. — Podziurkował tu tego mojego chłopaka — wskazał na rękę rannego — i dał dyla frontowymi drzwiami.

Zatem uciekł.

— Wobec tego zaalarmuje patrol — powiedziałam.

Ranny mężczyzna roześmiał się.

— Chyba nie — rzucił przywódca.

— Dostał w zadek — wyjaśnił ranny.

— Myślę sobie, twój małżonek waruje blisko, paniusiu — powiedział przywódca. — On cwany i nie chce zostawić swojej kobiety. Myślę, przyjdzie prosto do nas.

— Powinniście uciekać, póki to jeszcze możliwe — radziłam.

W odpowiedzi przywódca obejrzał swój pistolet, obracając go w dłoniach. Był to pistolet mojego męża, i ten tutaj obchodził się z nim podobnie jak mój mąż, traktował go jako wsparcie, kiedy się nad czymś głowił. Spojrzałam na Sarah, która stała plecami do kredensu, jakby czekała, że zaraz każą jej podać kawę. Z zewnątrz dobiegł krzyk. Mężczyzna z szablą przebiegł przez portyk i rzucił się w azalie.

— To będzie on — oznajmił przywódca.

Krzyki, odgłos szamotaniny; między kolumny cofał się jakiś mężczyzna, kucnął, a potem rzucił się do przodu i padł jak długi na klinkier.

— Mam go — zawołał ktoś, a ktoś inny roześmiał się.

— A co to takiego? — spytał ten pierwszy.

Przywódca wstał i podszedł do drzwi, a tymczasem wartownik wciągnął do środka nagiego, brudnego, wijącego się i wrzeszczącego Waltera.

— Ostrożnie — ostrzegł. — Gryzie.

— Puść go — rozkazał przywódca.

Ledwie Walter dotknął stopami ziemi, spróbował wymknąć się na zewnątrz, ale kopniak wymierzony mu przez wartownika sprawił, że ruszył biegiem wokół stołu.

— To twój, paniusiu? — spytał mnie przywódca.

— On mulacia małpka — zauważył ranny mężczyzna.

Walter dostrzegł tymczasem szynkę i próbował wspiąć się na stół. Przywódca zbliżył się do niego, odłamał kawałek chleba i podał mu, a on pokręcił gwałtownie głową, wydając przy tym wysoki pisk i wyciągając ręce do szynki.

— Nie chce chleba — zauważył ranny mężczyzna.

— Jak go zwać? — spytał przywódca.

— Walter — odpowiedziałam.

— Każ mu być cicho — rozkazał, ale wzruszyłam ramionami.

— Nie słyszy — powiedziała Sarah.

Przywódca przyjrzał jej się uważnie, doszedł do oczywistego wniosku i roześmiał się.

— Panna Mulatka sprawiła sobie małą, rudą małpkę — sztydził.

Podniósł pistolet i z głuchym plaśnięciem uderzył kolbą Waltera w głowę. Dzieciak osunął się na dywan, wierzgnął nogami, jęknął i znieruchomiał.

Zapadła cisza. Czułam lekkość dłoni i dziwną suchość w ustach. Zerknęłam na Sarah, która zakryła dłonią usta i zamknęła oczy, a potem na rannego mężczyznę. Jego

towarzysz właśnie skończył go opatrywać. Przywódca podszedł do rannego i poklepał go po głowie.

— No i jak? — spytał.

Mężczyzna spojrzął mu w twarz z niepewnym uśmiechem, podniósł rękę kilka cali do góry i skrzywił się.

— Nieźle — odparł.

— Gdzie ten diabeł, co podziurkował mojego Kruka? — niecierpliwiał się przywódca, podchodząc do tamtych dwóch przy drzwiach.

Walter poruszył ręką, otworzył oczy, ale z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Zatem żyje.

Przywódca stanął pomiędzy swoimi ludźmi i patrzył na zewnątrz, w ciemność nocy. Był schludnie ubrany; miał pałkowate nogi i dużą głowę, był też o dwa odcienie ciemniejszy i o pół stopy niższy od swoich towarzyszy. Zmierzał prostą drogą na szubienicę i dobrze o tym wiedział. Miała nadzieję, że dożyje tego dnia.

Usłyszeliśmy nie dający się z niczym pomylić tętent kopyt. Koń zbliżał się szybko, galopem, po trawie.

— Do diabła — zaklął przywódca i wymachując pistoletem, wybiegł przed dom.

Jeden z jego ludzi ruszył za nim; drugi odwrócił się do nas, wymachując złowrogo nożem.

— Stawać tam — warknął, machając ręką w stronę stołu.

Zrobiłyśmy z Sarah, co kazał, i stałyśmy nieruchomo plecami do stołu. Gdzieś, przed domem, padł strzał. Za oknami przebiegł mężczyzna, który przedtem pilnował frontowych drzwi. Poczulałam, że coś mnie ciągnie za spódnicę, i zerknąwszy w dół, zobaczyłam Waltera. Bezgłośnie jak ryba otwierał i zamykał usta, a na dywan ściekała strużka śliny.

Na zewnątrz zapalono pochodnię i dojrzałam bieżną-

cego ku domowi konia; głową miał uniesioną wysoko, walczyl z krępującym go wędzidłem. Byłam pewna, że wpadnie na kolumny portyku, ale w ostatniej chwili skręcił gwałtownie i runął prosto w kępę azalii. Był to gniady wałach mojego męża, bez jeźdźca, z cugłami zaplątanymi przy siodle. Podniósł się szybko na nogi, wydostał z krzewów i stał, drżąc, na podjeździe. Za nim zamigotało światło.

Staliśmy wszyscy jak skamieniali, usiłując się zorientować w scenie rozgrywającej się przed naszymi oczami. W świetle pochodni zbliżało się dwóch mężczyzn. Pierwszy, z pierśią wypiętą do przodu i z rękoma na biodrach, szedł przywódca. Za nim, jedną ręką trzymając wysoko uniesioną pochodnię, a drugą pewnie mierząc w głowę swojego jeńca, podążał mój mąż.

Minęli konia, który zaraz powędrował gdzieś w ciemność, i podjazdem zbliżali się do domu. Kiedy weszli do pokoju, mąż pchnął pochodnię w kierunku strażnika, a ten cofnął się nerwowo. Cała uwaga mężczyzn skupiona była na pistolecie, a ja nie mogłam się nadziwić zmianie, jaka zaszła w wyglądzie mojego męża. Od stóp do głów umazany był krwią wymieszaną z błotem. Z cięcia na szyi krew spływała mu na pierś; nasiąkała nią podarta niemal na kawałki koszula. Włosy miał potargane, po jednej stronie sterczały do góry, po drugiej, zlepione błotem, przylegały ciasno do głowy. Oczy płonęły mu podnieceniem.

— Tylko spróbuj drgnąć — pogroził, przyciskając lufę pistoletu do skroni jeńca.

— O Boże — jęknął ranny i wychylił się do przodu z fotela.

— Róbcie, co każe — nakazał przywódca.

— Właśnie — rzucił mój mąż. — Manon, chodź tu i stań za mną.

Ruszyłam się z miejsca. Chce mnie ocalić, pomyślałam i poczułam zakłopotanie. Widziałam go teraz od tyłu; był zakrwawiony poniżej pasa. Wszyscy milczeli, oprócz Waltera, który zajęczał głośno, chwycił się za głowę i usiadł.

— A teraz wyjdziemy tymi drzwiami — oznajmił mój mąż. — Tylko nas troje.

Obejrzałam się na Sarah, która z oczyma utkwionymi w rannego czarnego odsuwała się powoli od stołu. Czy mąż miał na myśli Sarah? Ależ nie, mówił o przywódcy; to właśnie było nas troje. Mąż wcisnął mu lufę pistoletu w ucho i popychał ku drzwiom.

Znaleźliśmy się na podjeździe. Koń stał kawałek dalej, na trawniku; skubał spokojnie trawę. Kiedy mój wzrok przywykł do ciemności, podciągnęłam spódnicę i ruszyłam do przodu. Jedna myśl tylko zaprzętała mi głowę: dotrzeć do tego konia. Jak przez mgłę docierały do mnie słowa przywódcy, kiedy mówił, że mają liczebną przewagę i że nie jest ważne, czy on sam zginie czy nie, bo i tak mój mąż jest już martwy.

— Ja jestem. Ty jesteś — odparł mój mąż. — Rzecz jedynie w tym, który z nas pierwszy.

— Racja — przyznał przywódca. — Racja.

Doskonale, pomyślałam sobie. Ci dwaj się zgadzają.

Pochodnia przygasała z każdą sekundą. Zauważyłam, że ktoś w jadalni skrada się do otwartych drzwi. Gdzie był ten ze strzelbą, który wybiegł w noc, kiedy usłyszeliśmy tętent końskich kopyt? Przeszukałam wzrokiem krzaki. Im bardziej oddalaliśmy się od domu, tym było ciemniej. Jeśli uda mi się dosięgnąć konia, to w którą stronę mam go skierować? Od strony domu dobiegały głosy, pod-

niesione, przejęte, a potem trzask, jakby ktoś upuścił tacę z kieliszkami. Słysząc było zbliżający się szybki tupot. Mąż się zatrzymał, obejrzał, nie odrywając pistoletu od ucha przywódcy; ja również spojrzałam za siebie. Jakaś niesamowita, mglista postać pędziła po trawniku, jej stopy ledwie dotykały ziemi.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko, mimo to miałam uczucie, że czas otworzył się jak księga i każde nowe wrażenie musi się dopełnić, nawet zapaść w pamięć, nim pojawi się następne. Walter, bo był to on, gwałtownie jak zawsze rzucił się, by objąć mojego męża za nogi. Mąż potknął się i zaklął; przywódca wykorzystał to, że mąż na chwilę stracił równowagę, i wytracił mu pistolet z dłoni. Opadłam na kolana, usiłując dosięgnąć broni. Czarny kopnął mnie w twarz z taką siłą, że padłam jak długa na ziemię. Nagle pojawiły się inne, biegnące w różne strony postaci. Zjawił się tamten strażnik, wymachując nożem, i pognał za moim mężem, który strząsnąwszy Waltera z nóg, zaczął uciekać. Uniosłam się na czworaki. Z jadalni wypadła Sarah; jej włosy i sukienka powiewały, kiedy pędziła wzdłuż domu. Mąż zniknął w czarnej kępie krwawnicy, jego prześladowca pogonił za nim. Wstałam i zrobiłam kilka kroków w stronę konia. Przywódca wycelował we mnie pistolet.

— Ani kroku! — krzyknął.

Jakaś inna postać wybiegła zza domu, Sarah krzyknęła i tych dwoje pobiegło ku sobie. Sarah kluczyła, niemalże nie zwalniając biegu, i coraz bardziej zbliżała się do konia.

— Gdzie ten człowiek? — rzucił do mnie niecierpliwie przywódca.

Tamten ogromny mężczyzna z maczetą wytoczył się ciężko dosłownie znikąd i zaczął doganiać Sarah. Żeby

mu umknąć, skręciła w moją stronę. Poczułam, że mam mokrą twarz. Podniosłam dłoń do policzka i namacałam ranę. To pewnie od jego paznokcia, pomyślałam. Krew zalewała mi usta; przewracając się, przegryzłam sobie wargę. Tymczasem Sarah zbliżyła się, a jej prześladowca stanął, żeby zapalić pochodnię.

Światło odkryło wiele szczegółów. Walter zderzył się z Sarah i uczepił się jej spódnicy. Widziałam jej rozwścieczoną twarz i desperację, z jaką usiłowała się od niego uwolnić.

— Zostaw! — krzyczała, kopiąc go. Puścił ją w końcu, zawodząc żałościwie.

Tuż poza zasięgiem światła coś się poruszało. Sarah odwróciła się, gestem wskazała ciemność.

— On tam! — krzyknęła do strażnika, który był już prawie przy niej.

Przywódca odsunął się ode mnie, zasłaniając mi na moment widok. W następnej zaś chwili ujrzałam żywy obraz wprost z piekła.

Mój mąż usiłował się podnieść z kłeczek. Tamten wielki mężczyzna trzymał go za włosy. Sarah stała obok niego, mocno przyciskając dziecko do ramienia, wpatrywała się w maczetę, którą tamten uniósł wysoko. W następnym momencie ostrze opadło; rozległ się odrażający dźwięk stali przecinającej kość i głowa mojego męża opadła na pierś pod dziwaczным, nieprawdopodobnym kątem. Przywódca pochwalił kamrata, który cofnął się o krok, żeby móc lepiej podziwiać swoją robotę. Przez chwilę mój mąż tkwił w bezruchu, jakby mógł jeszcze wstać, po czym jego ciało osunęło się bokiem na trawę. Sarah biegła prosto na mnie. W osłupieniu nie zauważyłam, że stoję pomiędzy nią a koniem, ale kiedy była już blisko, zdałam sobie z te-

go sprawę i chwyciłam ją za łokieć. Odwróciła się ku mnie z wściekłością, sięgając wolną ręką do mojej twarzy, jej ostre paznokcie wbiły się w dopiero co rozorany policzek.

— Tobie nie zrobią krzywdy — powiedziałam. — Pozwól mi uciec. Zabiją mnie, jeśli mi nie pozwolisz.

Kopnęła mnie, odrzucając na bok, ale udało mi się chwycić ją za ramię. Obróciła się gwałtownie, rozluźniając mój chwyt, i wbiła mi zęby w rękę. Krzyknęłam, puściłam ją, a ona popędziła w stronę konia. Ruszyłam za nią, w pewnym momencie prawie już ją dogoniłam. Słyszałam za sobą śmiech mężczyzn. Sarah była coraz dalej, wskoczyła na siodło, przerażając wierzchowca tak, że stanął dęba, a potem zrobił kilka kroków w lewo i w prawo. Jakimś cudem, przyciskając dziecko do brzucha, uchwyciła wodze, dźgnęła piętami boki konia i ruszyła ostro naprzód, a jej spódnica wydeła się do tyłu.

Dźwięk końskich kopyt rwących trawę, widok jej postaci pochylonej nisko nad karkiem zwierzęcia wprawiły mnie w zdumienie. Zadawałam sobie absurdalne pytania, zapominając o zagrożeniu. Gdzie ona nauczyła się tak jeździć konno? Dokąd pojedzie? Czy uda się po pomoc? I wtedy tupot czyichś nóg przywrócił mi resztki rozsądku. Jedno wiedziałam, muszę biec, nie ustawać w biegu. Słyszałam krzyk przywódcy, strzał z pistoletu, który nie wydał mi się głośny, raczej odległy, a przecież jednocześnie poczułam palący, oszałamiający ból w barku i zrozumiałam, że trafiła mnie kula.

Biegłam dalej. Żadnej kryjówki. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem, w którą stronę się obrócić. Dom znajdował się gdzieś z tyłu, za mną, przejęty przez morderców. Gdybym mogła dotrzeć do kwater, na pewno ktoś by mnie ochronił. Było zupełnie ciemno, potykałam się o korze-

nie, pokrzywy smagały moje stopy. Gdzieś po drodze zgubiłam swoje lekkie pantofelki. Czułam, jak teren stopniowo się obniża, trawa się przerzedza, ziemia staje się wilgotna i chłodna. W końcu pojawiły się gałęzie, krzewy, miejsca, w których można było szukać schronienia. Słyszałam ich za sobą, wciąż mnie gonili, zatem posuwałam się dalej, po omacku, chwytając się gałązek i stopami odnajdując kawałki suchej ziemi. Spódniczka zaczepiała o krzaki jeżyn. Zatrzymałam się na chwilę, żeby podciągnąć ją pomiędzy nogami i związać w węzeł nad kolanami. Wokół mojej głowy wirowały owady; nagle w dłoni poczułam coś wijącego się i skórzastego. Odskoczyłam, straciłam równowagę i siadłam ciężko na korzeniu drzewa. Słyszałam męskie głosy, niezbyt blisko, ale i nie dość daleko. Musisz ruszać dalej, powiedziałam sobie i wstałam. Coś przemknęło obok; nad głową śmignął mi nietoperz. Z wyciągniętymi rękoma postąpiłam kilka kroków do przodu. Stanęłam w wodzie do kostek. Nie tędy, pomyślałam i zmieniłam kierunek, ale po następnych kilku krokach lodowata woda sięgnęła moich kolan. Nie tędy, powtórzyłam, skręcając raz jeszcze. Wreszcie woda stała się płytsza, za to ugrzęzłam w błocie po łydki. Brnęłam wytrwale. Pulsujący ból w barku stał się nie do zniesienia, przy każdym kroku wydawałam jęk. Owady wpadały mi do ust i do oczu, bzyząc coraz głośniejsze, aż nie słyszałam już niczego innego. Zjedzą mnie żywcem, pomyślałam.

Skonam tu, w tym miejscu. Potem niespodziewanie pojawił się w mojej głowie pomysł: wykorzystam sposób czarnych, który kiedyś wydawał mi się obrzydliwy. Pochyliłam się i nabrałam w dłonie chłodnego błota, po czym rozsmarowałam je po twarzy, ramionach, włosach. Nakładaj grubo, powiedziałam sobie, przykucając, żeby chy-

cić następną garść. Bzyczenie ucichło. Po omacku ruszyłam dalej. Wyszłam z błota na miękką ziemię, a potem moje stopy natrafiły na połać porośniętą chłodnymi paprociami, czułam, jakbym stąpała po dywanie. Zatrzymałam się i nasłuchiwałam. Słyszałam różnorakie dźwięki, żadne z nich jednak nie były ludzkimi głosami. Niewiele życia im pozostało, nie będą więc go marnować na przeszukiwanie moczarów, żeby schwytać jedną raną kobietę, pomyślałam. Zalała mnie fala ogromnej słabości. Nogi miałam jak z ołowiu; nie mogłam podnieść głowy. Jeszcze kawałek, powtarzałam. Przed sobą widziałam bowiem zarys pnia wielkiego dębu, szerokiego jak chata. Zataczając się, ruszyłam do niego, potykałam się o płataninę biegnących we wszystkich kierunkach korzeni, które tu i ówdzie tworzyły wyścielone mchem zagłębienia. Usiadłam w jednym z nich, blisko pnia. Miejsce to było wprost idealne do odpoczynku. Kiedy poruszyłam ramieniem, przeszywający ból wyrwał mi z ust okrzyk. Od ramienia do pasa suknia była przyklejona do pleców. Ile mogłam stracić krwi? — zastanawiałam się. Coś kotłowało się między gałęziami nade mną i w krzakach obok. Nie mogłam sobie przypomnieć, co robię nocą w lesie. Bolała mnie głowa. Otwierałam i zamykałam usta. Zdawało mi się, że mam złamaną szczękę. Widziałam twarz Sarah, kiedy się ze mną szarpała, jej wargi odsłaniające zęby jak u warczącego psa. „Zabiją mnie”, powiedziałam. Ona jednak nie słuchała albo nie usłyszała. Nie, pomyślałam. Dobrze słyszała. Miała nadzieję, że to zrobią.

— A ja ciągle żyję — stwierdziłam z satysfakcją. Potem wydało mi się, że ta otaczająca mnie ciemność jest również we mnie, zrezygnowałam więc z dalszych prób, żeby cokolwiek przez nią dojrzeć.

Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam przed sobą czarną rękę. Światło wokół było łagodne, różowawe, a gdzieś za plecami słyszałam świszczący dźwięk; przypominał głos uszkodzonych miechów. Kiedy poruszyłam palcami, zorientowałam się, że to moja ręka. Błoto na dłoni wyschło i popękało, ukazując bladą skórę. Usta miałam podobnie wysuszone, głowę opasywał ból, promieniujący w dół i w bok, ku barkowi, gdzie palił żywym ogniem. Spróbowałam usiąść, bez powodzenia. Zamrugałam, spoglądając w płataninę gałązek i liści nad twarzą. Pewnie właśnie świta, pomyślałam. Spróbowałam odwrócić się na bok, ulżyć temu płonącemu barkowi. Tym razem się udało. Uniosłam się na zdrowym ramieniu. Już wiedziałam, gdzie jestem; pamiętałam, jak się tutaj znalazłam. Czym był ten świst za moimi plecami? Ostrożnie odwróciłam głowę. Ruch ten przypomniał mi, że mam rozdarty policzek i wybitą szczękę, która teraz pulsuje boleśnie w rytmie rozszalałego serca. Spojrzałam w dół i zobaczyłam poobijane, nagie ciało, zwinięte w zagłębieniu między dwoma korzeniami: ramiona i nogi podciągnięte, głowa opuchnięta, zakrwawiona, posiniaczona. Pograżony w błogim śnie, jakby ten mech był puchowym łóżem, pochrapywał spokojnie przez uchylone usta. Walter.

Chciałam zatkać sobie uszy, kiedy sójki w pobliskim krzewie podniosły przeraźliwy jazgot, ale moje prawe ramię nie reagowało na polecenia. Tuż obok płynął wąski strumyczek. Woda zaiskrzyła, kiedy światło słońca spłynęło w dół z górnych gałązek krzewów, a wokół mnie jasne promienie wbiły się pomiędzy drzewa. Chwyciłam gałąź wiszącą nisko nade mną i podciągnęłam się. Stałam niepewnie, cała byłam żywym bólem, ale stałam.

— Walter, obudź się — zaskrzeczałam jak tamte sójki. Ale

przecież mój śpiący towarzysz nie usłyszałby nawet wystrzału rewolweru przy uchu. Jak mnie odnalazł? Czy orientuje się w tej okolicy? Oderwałam grudkę błota z ręki i rzuciłam w niego. Trafiłam w nogę. Otworzył oczy, zakasłał, a potem się rozpłakał. Żadnego z niego pożytku, pomyślałam.

Strumyczek płynął prawdopodobnie do rzeki. Powinam więc iść w odwrotnym kierunku. Zrobiłam krok, potem drugi; za każdym razem przekonana, że nie starczy mi sił na następny. Walter siedział wśród korzeni i bełkotał bez sensu.

— Cicho — powiedziałam, wysilając wzrok, żeby objąć nim jakiś szerszy krąg rozświetlonego terenu.

Tuż obok przebiegł kameleon, inny tkwił na korzeniu przede mną i zerkał na mnie to jednym, to drugim okiem. Świat idiotów i monstrów, pomyślałam i ruszyłam w dalszą drogę, ku przeżyciu.

Powietrze przesycone było wilgocią i chłód przenikał mnie do szpiku kości. Wydawało mi się, że za krzakami jeżyn widzę małą polanę, ale nie miałam pojęcia, jak się tam dostać, ponieważ cierniste krzaki ciągnęły się na ogromnej przestrzeni. Walter pozbierał się i powędrował w przeciwnym kierunku, gdzie jak mi się zdawało, płynęła rzeka. Czy powinnam pójść za nim? Kiedy zniknął za najbliższym drzewem, usłyszałam, że biegnie z tupotem. Powoli, z wysiłkiem, podążyłam jego śladem, obchodząc płataninę połamanych gałęzi i pnączy i gruby pień drzewa lauowego. Stałam na trawniku i przed sobą miałam boczną ścianę domu. Walter biegł po trawie, w stronę czegoś, co wyglądało jak stos ubrań. Słońce wyrzało sponad dachu, zalewając otoczenie ożywczym blaskiem zupełnie niestosownym do tego, co tam widniało. Powietrze było przejrzyste, rześkie i spokojne. Widziałam roje much uno-

szących się nad skurczonym ciałem mojego męża. Walter właśnie tam dotarł. Nachylił się i próbował unieść mu głowę, cały czas przeraźliwie krzycząc.

Nie rób tego, myślałam, nie ruszaj go. Drzwi frontowe domu i wszystkie okna jadalni były otwarte na oścież, nigdzie żywej duszy. Zatem robotnicy wstali jak co rano i poszli w pole w błogiej nieświadomości, że ich pan leży na trawniku z niemal odciętą głową. Pan Sutter nie ruszył do boju; goniąc buntowników, ten osławiony patrol ominął nasz dom. Czy to możliwe?

Powlokłam się na podjazd, zatrzymując się co kilka kroków dla złapania tchu. Myślałam, że umrę z pragnienia, zanim dotrę do drzwi. Żeby tylko Delphine tu była, pomyślałam. Weszłam do hallu i zajrzałam do jadalni. Przedstawiała żałosny widok: krzesła powywracane, wszędzie potłuczone szkło, resztki szynki na dywanie przy drzwiach. Poszłam korytarzem do tylnego wyjścia i przeciąwszy podwórko, dotarłam wreszcie do drzwi kuchni. Zamknięte. Nacisnęłam klamkę; zaryglowane. Oparłam się o nie.

— Delphine! — zawołałam. — Jesteś tam? Wpuść mnie.

Przy wąskim okienku odsunęła się firanka, wyjrzała Rose, wydała okrzyk i zniknęła.

— Wpuść mnie — powtórzyłam. — Nie jestem duchem. Ale stanę się nim, jeśli natychmiast nie otworzysz drzwi.

Znów ruch firanki. Tym razem to była Delphine.

— To pani, pszepani? — spytała niepewnie.

— To ja — odparłam. — Nie zabili mnie.

Odciągnęła rygiel i drzwi wreszcie się otworzyły.

— Boże, pszepani! — wykrzyknęła Delphine, wprowadzając mnie do kuchni. — Co z panią było?

— Uciekłam — wyjaśniłam. — Schowałam się w lesie. Ale mnie postrzelili.

Wskazałam na bark. Zobaczyłam swoje ubłocone ramię, rozdarty i zakrwawiony rękaw i przypomniało mi się, że przecież sama wymazałam się błotem.

— Daj mi wody — wychrypiałam, opadając na stojące przy stole krzesło. — Umieram z pragnienia.

Pod płytą kuchni buzował ogień, w garnkach coś się gotowało, czułam smakowitą woń chleba i mięsa. Delphine postawiła przede mną szklanekę z wodą; wypłam ją jednym haustem.

— Jeszcze — powiedziałam, wyciągając ku niej szklanekę.

Rose przyniosła dzbanek i ponownie napełniła szklanekę. Delphine wzięła czajnik i nalała gorącej wody do miski, postawiła ją na stole i dołała trochę zimnej wody z dzbanka. Wzięła myjkę, zanurzyła ją w wodzie i wykręciła.

— Nie wiem, co zacząć — oznajmiła.

Zabrałam jej szmatkę i wytarłam sobie twarz. Wzdrygnęłam się, kiedy natrafiłam na rozcięcie w policzku.

— Okropnie rozciachane — zauważyła Rose.

— Tu wbite kawałki materiału — powiedziała Delphine, rozpinając mi suknię z tyłu. — Będzie boleć wyciąganie.

— Nie mogę podnieść ręki — powiedziałam.

Od strony domu dobiegło nas głośne zawrozczenie, a po chwili na podwórze wszedł niepewnym krokiem Walter. Przyciskał dłonie do twarzy; płakał. Ciemna krew splamiła jego ręce i nagi tors. Zatrzymał się, potoczył po nas wzrokiem i wyciągnął ramiona, strumienie łez mieszały się z krwią i spływały po policzku. Czoło miał tak opuchnięte, że jednego oka nie było w ogóle widać.

— Bidactwo — odezwała się Rose, wychodząc do chłopca. — Co one ci zrobili? — Wzięła go na ręce, a on ukrył twarz na jej ramieniu.

— Płacze, bo jego ojciec leży martwy na trawniku — oświadczyłam.

Nastąpiła krótka chwila milczenia; zauważyły, że nazwałam swojego męża ojcem Waltera. Delphine wzięła ode mnie myjkę i wypłukała ją w miednicy.

— Pan ubity — wyszeptła.

— Rose, idź poszukać pana Suttera — powiedziałam. — Każ mu natychmiast przyjść tutaj.

Rose postawiła dzieciaka na podłodze, dała mu kawałek chleba i wyszła; rozglądała się nerwowo po podwórku, nawet podskoczyła na widok kur. Walter usiadł u moich stóp, gryzł kromkę chleba, którą trzymał w jednej dłoni, a drugą wydłubywał wyschnięte błoto spomiędzy moich palców.

— Przestań — rzuciłam ostro, wsuwając nogi pod krzesło.

Pan Sutter również nie żył. Okazało się, że najpierw zatrzymali się przy jego domu, wślizgnęli się przez okno i poderżnęli mu gardło. Kiedy Rose tam dotarła, zastała drzwi otwarte na oścież i Cato, poganiacza, stojącego na ganku.

— Nie wchodź — ostrzegł ją. — Powiedz pani, Sutter zarżnięty w łóżku.

— Wyślij kogoś po lekarza — poleciłam jej, wysłuchawszy tych wieści, więc ruszyła do kwater.

Delphine napełniała wannę ciepłą wodą.

— Najlepiej, jak obetnę z pani suknię nożyczkami — oznajmiła.

— Po prostu ją jakoś ściągnij — powiedziałam znużona. — Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Ona tymczasem rozplątała zasupłaną przeze mnie spód-

nicę i właśnie cięła ją od przodu, kiedy usłyszałyśmy szybkie i ciężkie kroki przemierzające dom.

— Zarygluj drzwi — rzuciłam.

Zanim jednak Delphine zdołała podnieść się z kolan, dotarł do nas niski męski głos.

— Halo. Jest tam ktoś?

Chwała Opatrzności, pomyślałam. Żyją jeszcze jacyś biali mężczyźni.

— Tutaj! — zawołałam. — W kuchni.

Gęsiego wychodzili z domu i szli przez podwórze. Było ich czterech, wszyscy ubrani w kurtki przypominające krojem wojskowe, w wysokie buty, uzbrojeni w szable i pistolety. Gdzie się podziwiali, kiedy ich potrzebowałam? Wyrzeczyli oczy, kiedy mnie zobaczyli, taką oblepioną błotem, z twarzą opuchniętą i krwawiącą, i ręką spoczywającą bezwładnie na kolanach. Rozpoznałam jednego z nich, znajomego męża, prawnika o nazwisku O'Malley.

— Pani Gaudet — odezwał się poważnym tonem. — Mam smutny obowiązek poinformować panią, że pani małżonek został zamordowany.

Nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy płakać. Zupełnie jakbym właśnie wróciła z jakiejś obcej krainy, gdzie szaleństwo stanowiło regułę, i stwierdziła, że jedyne, co się tutaj zmieniło, to moje własne pojmowanie rzeczywistości. Zerknęłam na Delphine. Wyglądała na przerażoną i jednocześnie starała się przybrać służalczą minę. Martwi się tym, co ją teraz czeka, pomyślałam. Jak my wszyscy. Nieustannie. Pan O'Malley czekał na moją reakcję. Trapił się, że może dostanę ataku szału i on będzie musiał coś z tym zrobić.

— Wiem — oświadczyłam spokojnym głosem, ku jego widocznej uldze. — Byłam przy tym.

Minęło wiele godzin, nim udało mi się utkać z nitek poszczególnych relacji jedną wiarygodną materię. Nie zależało mi szczególnie na tym, ale było to jak szycie, które przecież zawsze wykorzystywałam, żeby oderwać myśli od dręczących mnie spraw. Najpierw Delphine sprawiła mi ból, wyskubując kawałki tkaniny z rany na ramieniu i przemywając ją alkoholem. Kiedy w końcu przyjechał doktor Landry, pochwalił umiejętności Delphine jako pielęgniarki, zachwycił się też moją wytrzymałością, którą natychmiast wystawił na jeszcze cięższą próbę. Znieczulające działanie koniaku, który pospiesznie w siebie wcześniej wlałam, zdążyło już minać, gdy lekarz wydłubał wreszcie trzy kawałki ołowiu i oświadczył, że zostały jeszcze tylko dwa.

— Nie wytrzymam już ani sekundy! — wykrzyknęłam. — Nie ma pan czegoś mocniejszego od koniaku?

W odpowiedzi nalał mi następny kieliszek.

— Widywałem żołnierzy, którzy nie byli w stanie znieść tego co pani — oznajmił, ale ten komplement nie zrobił na mnie wrażenia.

Po jakimś czasie, który wydał mi się godziną, wyciągnął pęsetą następny kawałek ołowiu i wrzucił go z westchnieniem do miednicy.

— Obawiam się, że ostatni muszę zostawić — oświadczył. — Utkwił zbyt głęboko w mięśniu.

Podniosłam zdrową rękę, żeby otrzeć pot z czoła.

— To pierwsza dobra wiadomość od bardzo długiego czasu — rzuciłam.

Na co on przekazał mi tę złą, mianowicie, że już nigdy nie odzyskam pełni władzy w ręce. Odłupany został fragment kości i przecięte ścięgno u samej góry.

— Dłoni będzie mogła pani używać — powiedziała. —

Z czasem, być może, będzie pani mogła unieść też nieco całą rękę.

Podczas gdy mnie świat cały wirował w głowie od tej diagnozy, on wyciągnął igłę z nitką i zajął się moją twarzą.

O'Malley i jego ludzie zaprowadzali porządek w domu. Zabrali ciało mojego męża i przenieśli je do lodowni. Zanieśli tam też ciało pana Suttera, zawinięte w koc, tak żeby żaden z robotników go nie zobaczył. Powszechnie wiadomo, że widok martwego nadzorcy bardzo wzburza czarnych. Dwóch członków patrolu zostało na noc w domu, na parterze; krążyli po nim nieustannie, mimo że nie istniało najmniejsze niebezpieczeństwo, by buntownicy wrócili. Po zdemolowaniu domu i zabraniu wszystkiego, od sztuców do podnóżków, zupełnie jakby zamierzali założyć własną plantację, ruszyli w stronę rzeki akurat w takim momencie, że natknęli się na patrol.

Ścigano ich zażarcie i długo, głównie na terenach podmokłych, gdzie błoto i ciemności niezwykle utrudniały sytuację. Jednego z członków patrolu postrzelono w nogę, innego dźgnięto w oko. Czterech czarnych, włącznie z przywódcą, zastrzelono, pozostałych trzech pochwycono, związano i skazano na powieszenie. Patrol przez pół nocy uganiał się za buntownikami, następnie konwojował pojmanych w dół rzeki, gdzie spotkał się z patrolem podążającym na północ. W Donaldsonville toczyła się bitwa i wzywano tam wszystkich mężczyzn będących pod bronią. Dopiero rankiem panu O'Malleyowi przypomniało się, że widział wcześniej moje srebra pobłyskujące w błocie, i wtedy wpadł na pomysł, żeby sprawdzić plantację Gaudetów.

Kiedy było już po wszystkim, okazało się, że pojmano pięćdziesięciu czarnych; w kilka dni rozstrzelano ich lub

powieszono. Straty wśród plantatorów nie były ciężkie. Dwunastu rannych i dwóch zamordowanych: mój mąż oraz nadzorca jego ludzi, pan Sutter.

Następnego ranka przyjechała z miasta moja ciotka; a za nią pojawił się wóz ciągnięty przez muły z dwiema trumnami, wysłanymi z Chatterly przez mojego szwagra, Charlesa Gaudeta. On sam i jego syn Edmund dotarli tu po południu. Odmówiłam widzenia się z kimkolwiek, ponieważ czułam się zbyt słaba, by opuścić łóżko, a całą organizacją zajęła się ciotka, ku zadowoleniu wszystkich. Ciotka przywiozła swoją pokojówkę, niezwykle sprawną pielęgniarkę, która aplikowała mi różne medykamenty, poiła herbatą, karmiła zupką i słodkim kremem. Chociaż czułam ból w szczękach, miałem prawdziwie wilczy apetyt. Cały dzień słyszałam dźwięk otwieranych i zamykanych frontowych drzwi, szmer rozmów, najpierw przyciszonych, a potem coraz głośniejszych. Kiedy ciotka poprosiła przybyłych do zimnego bufetu, wszystkich ożywiło wino i rozmowy od czasu do czasu przerywały wybuchy śmiechu. Ciotka zaglądała do mnie co godzinę, żeby zrelacjonować przebieg spraw dotyczących pogrzebu. Zjawili się wszyscy plantatorzy mieszkający w promieniu wielu mil na terenach nadrzecznych, bo nawet ci, którzy nie lubili mojego męża albo prawie go nie znali, uważali, że muszą się stawić przy jego grobie. Po południu poszli na cmentarz, gdzie odbyła się krótka ceremonia pogrzebowa, po której wrócili do domu, do potraw i wina. Wszystko to docierało do mnie poprzez zasłonę bólu. Przed zmrokiem zaczęli się powoli rozchodzić, a ja zapadłam w niespokojny sen. Kiedy się obudziłam, był ranek i ciotka siedziała przy moim łóżku z kopertą na kolanach.

— Jak się czujesz, moja droga? — spytała.

Na jedną krótką, miłą chwilę moją głowę rozjaśniła myśl, że oto mój mąż nie żyje i już go pochowano, ale natychmiast przeszył mnie ból tak obezwładniający, że nie czułam nic oprócz niego.

— Fatalnie — wyznałam.

— Co ci podać? — Wskazała stolik z lekarstwami.

— Odrobinę wody.

Nalała szklankę wody i przybliżyła ją do moich warg.

— Czy to list do mnie? — spytałam po kilku łykach.

— To od Joela Bordena. Uprosił mnie, bym ci go przyniosła.

— Pokaż — powiedziałam.

Ciotka podała mi list i zaczęłam niezdarnie rozrywać kopertę. Wytrząsnęłam z niej pojedynczą kartkę papieru i przeczytałam:

Najdroższa Manon,

Spadł na Ciebie taki ogrom nieszczęść, że aż trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Najpierw Twoja szanowna Matka, a teraz kolejna nieopisana strata. Jeśli mógłbym być Ci w czymkolwiek pomocny, dysponuj, proszę, moją osobą. Pozostaję z nadzieją, że ten list od oddanego przyjaciela z wyrazami współczucia i przywiązania będzie dla Ciebie choć drobną pociechą,

Joel

— Jakież to miłe — powiedziałam. I w tym momencie przeszywający ból w twarzy przypomniał mi o ranach. Położyłam dłoń na zabandażowanym policzku. — Jak będę wyglądała, kiedy twarz mi się zagoi?

— Doktor Landry to znakomity chirurg — zapewniała mnie ciotka. — Założył dwadzieścia siedem szwów na czole mojej Ines i blizny ledwo widać.

— Ale usta — zaprotestowałam, macając palcami sterujące nici szwów, które biegły od wewnętrznej strony wargi aż do podbródka.

Ciotka milczała. Być może uważała, że gadam głupstwa, choć wątpię, by jakakolwiek kobieta mogła przyjąć ze spokojem ewentualność oszpececia. Złożyłam list i wsunęłam go z powrotem do koperty. Lewą ręką musiałam ustawić prawą w jakiejś użytecznej pozycji. Co będzie wyglądać gorzej, zastanawiałam się, moja twarz czy wisząca bezwładnie u boku ręka?

— Manon — spytała ciotka — gdzie jest Sarah?

— Nie wróciła?

— Nikt jej nie widział.

— Delphine musi coś wiedzieć.

— Nie wie.

Spojrzałam na swoją dłoń. Tuż powyżej kciuka widniały trzy siniaki.

— Ugryzła mnie — powiedziałam.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęła ciotka.

— Zabrała konia mojego męża i odjechała. Błagałam, żeby pozwoliła mi uciec, ale nic z tego.

— Zatem zbiegła — doszła do wniosku ciotka.

— Ale dokąd? — zawołałam.

— Nie mogła dotrzeć daleko. Prawdopodobnie ukrywa się w mieście. Zdziwiłabym się, gdyby pan Roget nie wiedział czegoś na temat miejsca jej pobytu. Bezzwłocznie napiszę w tej sprawie do twojego wuja.

Mój mąż nie żyje, myślałam. Dlaczego miałyby uciekać teraz, kiedy z jego strony nic jej nie grozi? To nie miało sensu.

— Ma ze sobą dziecko — powiedziałam.

— Tym łatwiej będzie ją odnaleźć.

Znów zobaczyłam jej twarz, wargi wściekle obnażające zęby, oczy szalone i błyszczące w świetle pochodni, kiedy wskazywała mojemu męża oprawcom i czekała, aż ostrze opadnie na jego kark.

— Tak — zgodziłam się. — Znajdziemy ją.

Posłałam po Delphine, żeby wypytać ją o Sarah i dowiedzieć się, co wie o tamtej nocy. Powiedziała, że po kolacji wyszła na podwórze, żeby wylać pomyje, i kiedy wracała, zobaczyła trzech zbiegów w kuchni. Zatem byli już w domu, kiedy rozmawiałam z mężem w jego gabinecie. Delphine wyślizgnęła się z podwórza i przekradła wzdłuż tylnej ściany domu pod moje okno i rzucała w nie kamykami tak długo, aż wyjrzała z niego Sarah.

— Mówię jej, co widziałam — powiedziała Delphine — a ona, żeby czekać, to poda mi swoją Nell, no to schowałam się pod ścianą. Owinęła dziecko i podała.

— Ale przecież ja wtedy wyjrzałam — przypomniałam sobie. — Nikogo nie widziałam.

— Ja panią widziałam, pszepani — wyznała Delphine. — Ale byłam w strachu się odezwać i myślałam, Sarah pewnikiem pani powiedziała, no to stałam, aż spuściła Nell. Potem biegłam na drugą stronę domu i wtedy hukło. Chowałam się w krzakach, aż wszystkie wybiegliście na trawnik.

— I oddałaś dziecko Sarah.

— Tak, pszepani — potwierdziła. — Zawołała na mnie, a potem biegłam do kuchni i zaryglowali my się tam razem z Rose, aż pani przyszła.

— Gdzie według ciebie Sarah mogła się udać? — spytałam, choć nie oczekiwałam uczciwej odpowiedzi.

— Nie mam w ogóle pojęcia, pszepani. — Delphine zwiściła głowę.

— Nieważne. Daleko nie zajedzie — oznajmiłam z przekonaniem. — Jeśli nie wróci w ciągu tygodnia, dam ogłoszenie w gazetach, a to sprowadzi łowców niewolników jak muchy do cukru.

Delphine milczała. Byłam pewna, że ta ostatnia informacja dotrze do uszu Sarah.

— Przyślij tu Rose — poleciłam. — Będzie usługiwać na piętrze, dopóki Sarah nie wróci.

Mój ojciec nigdy nie zatrzymał schwytanego zbiega, ale też nigdy nie pozwolił, by któryś zniknął na dłużej. Nawet jeśli zabrało to pół roku i kosztowało tyle, ile ten człowiek był wart, godził się na tę stratę, by pokazać innym, jak taki grymaśnik wraca w łańcuchach i jest bez zwłoki sprzedawany na targu. Pilnował, by wszyscy nasi czarni dowiedzieli się o zastrzeżeniu do umowy, informującym kupującego, że człowiek ten ma mniejszą wartość, ponieważ raz już zbiegł i nie można mu ufać. Dzięki takiej polityce niewiele było ucieczek z naszej farmy. Ojciec ubolewał z powodu niedbalstwa swoich sąsiadów, którzy pozwalali robotnikowi zniknąć na dwa czy trzy dni, zawsze kiedy były pilne roboty polowe. Potem taki wracał, dostawał baty i dołączał do współtowarzyszy, których rządził opowieściami o własnym sprycie przy unikaniu zasadzek. Ojciec pokładał się ze śmiechu, relacjonując nam sposób postępowania pana Hamptona z gminy Lafourche, który wyznaczył konkretną liczbę batów za każdy dzień

nieobecności niewolnika: piętnaście za jeden dzień, trzydzieści za dwa itd. Ojciec nazywał taką procedurę „trzydniową przepustką”; okazało się bowiem, że większość uciekinierów wracała trzeciego dnia przed północą, co pan Hampton podawał jako dowód skuteczności swojego systemu.

Do służby ojciec miał zupełnie inne podejście. Pamiętam tylko jeden przypadek takiej ucieczki z naszego domu. Zdarzyło się to bezpośrednio po tamtym groźnym buncie w dole rzeki, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Nam nie groziło wtedy żadne niebezpieczeństwo, ale wkrótce potem ojciec udał się do miasta i po powrocie opowiedział nam, jak spustoszona została cała tamta okolica. Pięćset niewolników dosłownie oszalało; pomaszerowali drogą wzdłuż rzeki ku Nowemu Orleanowi, bijąc w bębny i powiewając flagami. Zabili syna majora Andry'ego, a samego majora zranili, podpalali cukrownie i stodoły, plądrowali największe domy. Całe rodziny plantatorów wozami i wózkami, czym tylko się dało, uciekały przed buntownikami w stronę miasta.

Rozgromienie czarnych zajęło prawie dziesięć dni. Gubernator powołał milicję i wezwał wszystkie patrole, jakie znajdowały się w promieniu pięćdziesięciu mil. Kosztowało to stan tyle, że zawalił się kompletnie jego budżet i wszelkie należności spłacano w ratach. Ojciec opowiadał to matce, kiedy myślał, że śpię, a ja w rzeczywistości z zapartym tchem wysłuchiwałam z podestu ich rozmów. Głowy przywódców zawieszono na drzewach wzdłuż rzeki od Nowego Orleanu do plantacji majora Andry'ego i wielu plantatorów zabrało tam swoich czarnych, żeby sobie tę wystawę obejrzeni.

Wtedy właśnie zniknęła nasza pokojówka Celeste. Oj-

ciec pojechał do miasta, żeby się w tej sprawie rozpytać, i dowiedział się, że miała brata pośród tych buntowników. Był nawet jednym z przywódców. Ojciec wziął pokój w hotelu i spędził kilka następnych dni na sprawdzaniu każdej plotki, jaką zasłyszał. Ostatecznie znalazł Celeste; ukrywała się w kuchni restauracji, gdzie jej matka była kucharką. „Wystarczy tego pocieszania — oznajmił ojciec — najwyższy czas wracać do domu”. Nie opierała się; wróciła do domu i została z nami, zawsze użyteczna i zrównoważona, aż do śmierci ojca.

Wątpiłam, aby Sarah była taka łagodna po powrocie. A ja nie okazałam się ani łaskawa, ani wyrozumiała, jeśli wytropienie jej zajmie dłuższy czas i będzie dużo kosztować.

Jakże mogłam dokładnie pamiętać, co miała na sobie? Uciekałam, by ratować życie. Strój Sarah tamtego wieczoru nie miał w sobie nic szczególnego.

— Miała trzy sukienki — powiedziałam ciotce. — Wszystkie do siebie podobne. Czy to zresztą ważne?

— Cóż, byłoby to pomocne — oświadczyła cierpko, co mogło świadczyć o tym, że zaczynają ją już męczyć moje kłopoty, choć na pewno nie tak bardzo jak mnie. — Taką informację na ogół się umieszcza.

Zamknęłam oczy i starałam się przypomnieć sobie ten rękaw, za który chwyciłam, żeby ją zatrzymać, tę spódnice wydymającą się z tyłu siodła, kiedy odjeżdżała.

— To musiała być ta brązowa, z pól sukna — powiedziałam. — I zawinęła dziecko w szal, z wełny, w kolorze indygo; należał kiedyś do matki.

— No dobrze — powiedziała ciotka, nachylając się nad

kartką, na której pisała nasze ogłoszenie. — To będzie musiało wystarczyć.

Ciotka Lelia była przekonana, że Sarah przebywa w mieście, mimo że konia mojego męża znaleziono wędrującego bez celu po nadrzecznym wale, kilka mil na północ od nas.

— Prawdopodobnie dojechała do przystani w Bayou Sara, spędziła noc w ukryciu, a następnego ranka wsiadła na prom. Nie byłaby taka głupia, żeby jechać na południe, w całe to zamieszanie. Będzie potrzebowała pieniędzy, jeśli zamierza gdziekolwiek dotrzeć, i bez wątpienia poprosi o pomoc pana Rogeta.

— Możliwe, że wcześniej dostarczył jej pieniądze — zauważyłam. — Podczas choroby mojej matki miała przecież niejedną sposobność, żeby ułożyć z nim jakiś plan.

Ciotka jednak wciąż była przekonana, że Sarah nie opuści tych stron bez spotkania z panem Rogetem.

— Będzie próbowała udawać wolną — oznajmiła. — Przy jej karnacji może się to udać.

— Ujmujesz to w ogłoszeniu? — spytałam.

— Oczywiście — odparła.

Były takie chwile, kiedy myślałam, że to Sarah stała za przygotowaniem całego tego buntu, ona i pan Roget szepczący pod domem matki, choć było to bardzo mało prawdopodobne. Nie byłaby taka przerażona; nie pozbywałyby się dziecka z domu, kiedy to wszystko się zaczęło. Ona jedynie wykorzystała zamieszanie i śmierć mojego męża, której mu z całego serca życzyła. Była pewna, że mnie również zamordują i minie kilka dni, nim ktokolwiek w ogóle pomyśli, żeby jej szukać. „Policz niewolników po pogrzebie pana — mawia mój wuj. — Zawsze znajdzie się jeden taki, który pryśnie”.

— Sądzę, że wystarczy — oświadczyła ciotka, osuszając kartkę bibułą. — Mam ci przeczytać?

— Tak, proszę — odparłam.

— „Siedemdziesiąt pięć dolarów nagrody” — zaczęła.

— Czy to nie za dużo? — spytałam.

— Nie, nie sądzą. Słyszałam o nagrodach sięgających stu dolarów za służącego. Czasem trudno ich pochwycić.

— Czytaj dalej — poprosiłam.

— „Dziewczyna, Sarah, lat dwadzieścia siedem, z ośmiomiesięcznym dzieckiem o imieniu Nell, zbiegła 27 października z plantacji R. P. Gaudeta w gminie Ascension; wysoka, szczupła, delikatne rysy twarzy, jasna karnacja, mówi po angielsku i trochę po francusku, ubrana w brązową sukienkę z pól sukna, wełniany szal w kolorze indygo, prawdopodobnie bosa, blizna za lewym uchem...”

— Tego nie wiedziałam — zdziwiłam się.

— Wpadła na ogrodzenie, kiedy była mała — wyjaśniła ciotka. — Jest to wyszczególnione w akcie własności. „...Wymowna, pogodna” — czytała dalej.

— Tego bym nie powiedziała — zaprotestowałam. — Powiedziałybyśmy raczej, że posępna.

Ciotka obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem.

— Przecież będzie próbowała jakoś sobie radzić. „Prawdopodobnie dotrze do Nowego Orleanu, może uchodzić za wolną, pięćdziesiąt dolarów dodatkowo za dostarczenie dowodów przeciwko osobie, która by jej pomagała” — skończyła czytać.

— Czy to ostatnie nie zachęci pana Rogeta, żeby ją wysłać z miasta?

— I tak nie mieszkałaby u niego — odparła ciotka. — To nazbyt oczywiste.

— Może i racja — westchnęłam.

Byłam znużona i poirytowana. Bark palił mnie, jakby go przypiekano rozżarzonym żelazem, głowa bolała.

— Czy nie czas już na moje lekarstwo? — spytałam.

Ciotka odłożyła kartkę i podeszła do łóżka.

— Biedactwo — powiedziała. — Bardzo cię boli?

— Owszem.

Nalała mi pełną łyżkę nasennej tynktury.

— Weź to i odpocznij trochę — poradziła. — Zejdę na dół i porozmawiam z Charlesem. Sprowadził z Chatterly poganiacza, żeby pełnił tu rolę nadzorca, dopóki nie wydobrzejesz i nie zdecydujesz, co dalej robić.

Przełknęłam lekarstwo.

— Ja wiem, co chcę zrobić — oświadczyłam. — Chcę to wszystko sprzedać, wszystko i wszystkich.

— Porozmawiamy o tym, kiedy nabierzesz sił — powiedziała ciotka, uspokajając mnie łagodnie, jakbym była chorym dzieckiem.

Miałam dziwne wrażenie, że głowa opada mi do przodu jak kwiat na złamanej łodyżce.

— Boję się, że to nigdy nie nastąpi — wyznałam.

Doktor Landry przyjeżdżał regularnie, żeby zmieniać opatrunki i przy okazji przywieźć trochę wieści ze świata. Pewnego ranka usunął mi bandaż z policzka i wyjął ostatnie szwy z wargi.

— Zaczerwienienie zblednie — oświadczył, kiedy poprosiłam o lusterko. — Rozcięcie na policzku było takie nierówne, że z trudem dało się porządnie zeszyć.

Popatrzyłam na swoje odbicie.

— Naprawdę żałosne — oznajmiłam, naciskając palcem

opuchliznę, dzielącą na dwoje moją dolną wargę. W istocie wyglądało to lepiej, niż mogłam przypuszczać.

— Pięknej kobiecie blizna tylko dodaje urody — wygłosił swoją opinię. — Przypomina mężczyźnie o tym, co wycierpiała. Wszyscy jesteśmy pod ogromnym wrażeniem pani odwagi.

— Odwagi, żeby uciec i się schować?

— Wielu kobietom by jej nie stało.

Zastanawiałam się, czy to może być prawda. Dobrze pamiętałam, jaka byłam przerażona tamtej nocy, w kilku zaledwie momentach rozjaśniało mi się w głowie i wiedziałam, co robić. Jeśli to była odwaga, to jakież z niej pożytek? To Sarah, chociaż też była przerażona, odjechała bez uszczerbku, a mój mąż, któremu nawet ja nie mogłam odmówić odwagi, nie żył. Nie byłam aż taką hipokrytką, żeby niepokoić się uczuciem ponurej satysfakcji, jakiego doświadczałam za każdym razem, kiedy o tym myślałam. Nie żył. Nie będzie już czekał na żadne doniesienia. Uśmiechnęłam się blado do swojego odmienionego odbicia. Warto było zapłacić taką cenę, pomyślałam, oddając lustro doktorowi.

— Mąż uratował mi życie — oświadczyłam całkiem szczerze.

Pocziwy doktor położył dłoń na mojej dłoni i raz jeszcze wyraził głębokie współczucie z powodu tej bolesnej straty.

Później, przy jego pomocy, zeszłam pierwszy raz na dół. Ciotka zaprowadziła tam tymczasem porządek, ale ciągle widoczne były ślady rozboju. Pogruchotana lunetka leżała w kawałkach na dywanie, wierzch stołu w jadalni był pocięty, firanka zerwana, lustro doszczętnie strzaskane, tak że jedynie pojedyncze ułamki szkła tkwiły

w ramie. W gabinecie męża, tuż przy drzwiach, widniały dziury po kulach.

— Strzelił i chybił — powiedziałam doktorowi. — Potem jakimś cudem udało mu się stąd wydostać, tyle że drugi pistolet został tutaj.

— Brak mi słów — oświadczył.

Nogi uginały się pode mną, musiałam wesprzeć się mocno na jego ramieniu, a on podprowadził mnie do fotela, co przyjął z ulgą. Z hallu dobiegły nas odgłosy, trzaskanie drzwi, szybkie kroki na schodach. Oczywiście, pomyślałam. Nie uda mi się wykręcić kilkoma bliznami, bezwładną ręką. Mój mąż będzie się mścił na mnie każdego dnia przez resztę mojego życia. Doktor Landry wyjrzał za drzwi, zmarszczył brwi, kiedy usłyszał ciche skamlenie. Stanął z boku, pozwalając temu stworzeniu wejść do pokoju.

Delphine wykapała go i ubrała. Luźna, lniana koszula prawie cała wyłaziła na wierzch krótkich spodenek. Twarz miał nadal opuchniętą, sińce zaczynały nabierać żółtego koloru. Podszedł do mnie i zaczął mnie poklepywać po kolanie, bełkocząc bez sensu z przekonaniem i żarliwością prawnika przedstawiającego jakiś nieodparty argument. Spojrzałam ponad jego głowę na doktora, który zakrył dłonią brodę i kręcił powoli głowę.

— Prawowity dziedzic — zadrwiłam, a wówczas, zupełnie jakby pojął moje słowa, Walter odwrócił się do doktora i wydał okrzyk, który mógł wyrażać radość.

Nigdy nie darzyłam sympatią swojego szwagra, Charlesa. Jest arogantem, gburem i bufonem, jakim był też mój mąż, tyle że jeszcze gorszym, bo jemu się powiodło. Jest

najmłodszym z trzech braci i najzamożniejszym. Od śmierci męża ma zwyczaj przechadzać się po tej posiadłości, jakby do niego należała, przemawiać do mnie z troską w głosie, jakbym była ograniczona umysłowo i każde słowo trzeba mi było powtarzać dwukrotnie. Ledwie doszłam do stanu, w którym mogłam kogoś przyjąć, już tkwił u moich drzwi, żeby ochoczo dobrać się do ksiąg rachunkowych męża i sprawdzić, jakie ma szanse odzyskania pieniędzy, które tak nierozsądnie mu pożyczyl.

Rose nie radziła sobie z moją fryzurą; kazałam jej więc tylko wyszczotkować włosy i pozostawić opadające na ramiona. Wargę zamaskowałam różem, policzek pudrem, a łokieć ułożyłam na oparciu fotela w taki sposób, żeby bark przyjął swoją normalną pozycję. Powracałam do zdrowia, ale byłam chuda i blada; bladość podkreślała błękit moich oczu, tak sobie przynajmniej wmawiałam. Kiedy Charles wchodził do salonu, jego oczy zdradzały jedynie lekkie zaniepokojenie. Podszedł do mnie; wyciągnęłam rękę, a on pochylił się nad moją dłońią i musnął ją wargami.

— Najdroższa siostrzyczko — przywitał mnie. — Byłaś w moich modlitwach w każdej minucie.

— Tak często się modlisz? — zadrwiłam.

Cofnął się o krok, przypomniawszy sobie widocznie, że nigdy nie uległam jego urokowi.

— Maybelle przesyła ucałowania i wyrazy współczucia — spróbował inaczej.

W tym momencie zrobiło mi się go żal, jego żona bowiem jest tłusta jak świnia. Kiedy o niej pomyślałam, poczułam wyrzuty sumienia. Bo Maybelle okazała się jedyną z rodziny, która była uprzejma nie odwoływać się do Boga w liście kondolencyjnym po śmierci mojej matki. Natomiast przypomniła w nim życzliwość, jaką matka

jej okazała, gdy skierowała ją z chorym synkiem do specjalisty. Wszyscy inni uważali za konieczne zapewniać mnie, że śmierć matki stanowiła jakąś część bożego planu. Szczerze przyznam, że kiedy przeczytałam dziesięć listów wyrażających ten sam pogląd, miałam ochotę krzyknąć: przecież i tak zabije nas wszystkich, ale jeśli niewinne dziecko umiera w męczarniach, podczas gdy jakiś podły człowiek dożywa starości i wydaje ostatnie tchnienie bezboleśnie podczas snu, to czyż nam śmiertelnikom nie wolno zwać tego niesprawiedliwością?

— Przekaż, proszę, Maybelle moje najserdeczniejsze pozdrowienia — powiedziałam do Charlesa.

Podszedł do drugiego fotela i usiadł z ostrożnością człowieka, który cały dzień spędził w siodle.

— Twoja ciotka powiada, że czujesz się lepiej i możesz zacząć już myśleć o swoich sprawach.

— Owszem — przyznałam. — Wydaje mi się, że jest mnóstwo kwestii do rozwiązania.

— Nie ma potrzeby, żebyś się nimi przejmowała — oznajmił. — Mamy nadzieję, że przeniesiesz się do Chatterly i zamieszkaś z nami.

Ciotka najwyraźniej mu powiedziała, ile jest wart majątek matki, pomyślałam.

— To wielce uprzejme z waszej strony — odparłam. — Ja jednak pragnę zamieszkać blisko ciotki, by być jej pomocna. Tyle dla mnie zrobiła.

— Rozumiem — powiedział. — Dzieci będą rozczarowane.

Ta uwaga była szokująco bezsensowna, bo właściwie nie znałam ani bratanka, ani bratanic męża; oni sami zresztą nigdy nie wykazali najmniejszego zainteresowania moją osobą. Rozejrzałam się po pokoju, zatrzymując wzrok na różnych zakamarkach, które mogły zamieszkiwać duchy,

i rzeczywiście poczułam dziwny chłód, taki, jakiego doświadczałam, kiedy spoglądał na mnie mój małżonek.

— Nie zniosę, życia na wsi, Charles — oświadczyłam. — Ani przez chwilę nie czuję się bezpiecznie.

— Oczywiście — zgodził się. — Nie pomyślałam o tym.

— Chcę sprzedać to miejsce i wszystkich wraz z nim, oprócz Delphine.

— Jestem pewien, że znajdzie się kupiec — oświadczył. — Obawiam się jednak, że cena nie będzie zbyt wysoka.

— Mąż miał długi u połowy mieszkańców gminy — zauważyłam, radując się wyrazem zdumienia na twarzy mojego doradcy. — Tobie był winien pięć tysięcy dolarów, zgadza się? Z odsetkami prawie sześć.

— Nie wiem dokładnie, ile to wyniesie.

— Bankom był winien fortunę, pośrednikowi więcej, niż mógłby uzyskać za tegoroczne zbiory. Niemniej sądzę, że jeśli wszystko sprzedam, pomimo niskiej ceny, wystarczy na zapłacenie długów.

— Może powinienem zajrzeć do jego ksiąg — zaproponował niepewnie.

— Owszem, powinienś to zrobić — zgodziłam się. — Na wszelki wypadek weź szklaneczkę whiskey, żeby poradzić sobie ze wstrząsem, jaki cię czeka.

— Mój biedny brat — oświadczył, rozważając pewnie całe szaleństwo mojego męża, włącznie z posiadaniem małżonki, która wiedziała, ile jest wart.

— Na szczęście mam majątek matki — oznajmiłam. — Przeprowadzę się do jej domu w mieście. Dochód z jej inwestycji wystarczy na moje potrzeby, tak że nie będę musiała korzystać z dobroczynności krewnych mojego męża.

Zmarszczył brwi.

— Miło mi słyszeć, że będziesz niezależna — zaczął z powagą. — Sądzę, że żadne inne rozwiązanie nie przy-

niosłoby ci spokoju. Ale nie powinnaś mówić o świętym obowiązku, jaki mam względem wdowy po moim bracie, jako o dobroczynności. Gdybyś była bez grosza, poczytałbym utrzymywanie ciebie za swoją powinność i wielki honor.

Pierwszy raz ktoś nazwał mnie wdową. Podobało mi się brzmienie tego słowa. Wyobraziłam sobie swój los w domu tego człowieka, gdybym musiała polegać na jego honorze — owdowiała ciotka, ponuro pochylona nad swoim tamborkiem, wzywana jedynie po to, by zagrać na fortepianie, kiedy młodzi mają ochotę zatańczyć — i z całego serca dziękowałam mojej matce za jej finansowe wyczucie.

— Dziękuję ci, Charles — powiedziałam. — Czy mogę liczyć na to, że dopilnujesz sprzedaży?

— Dziś jeszcze porozmawiam ze swoim agentem. — Rozejrzał się po pokoju, szacując meble, okiem znawcy, jak podejrzewałam. — Będzie chciał przeprowadzić spis.

— Zabiorę tylko kilka drobiazgów — oświadczyłam. — Toaletkę i dywan z mojej sypialni. Delphine na pewno zechce zabrać jakieś garnki i sztućce.

— To oczywiste — zgodził się.

— Jeśli jest coś, co chciałbyś dla siebie albo co mogłaby chcieć Maybelle, proszę, nie krępuj się...

— Nie — odparł. — To nie byłoby właściwe, chyba że odjąłbym wartość przedmiotu od długu mojego biednego brata.

— Weź przynajmniej jego pistolety — zaproponowałam. — Chciałby, żeby zostały w rodzinie.

Przyjrzał mi się z niejakim rozrzewnieniem.

— To bardzo życzliwy gest z twojej strony — oznajmił. — Wezmę je z przyjemnością.

Ramię zaczęło mnie rwać i marzyłam o zakończeniu tej rozmowy, ale nie potrafiłam oprzeć się chęci wystawienia dobrej woli mojego szwagra na jeszcze jedną próbę.

— A czy nie byłbyś skłonny uwolnić mnie od Waltera? — zapytałam.

Policzki nabiegły mu krwią i zakasłał nerwowo. Z dużym trudem utrzymywałam szczery, zainteresowany wyraz twarzy.

— Manon... — zaczął, szukając właściwych słów. To był jedyny fragment majątku jego brata, z którym nie chciał mieć nic wspólnego.

Wyobraziłam sobie, jak Walter biegnie przez werandę, w Chatterly, żeby powitać gości ich dorocznego balu. „Mój mały bratanek”, wyjaśniałby Charles, gdy tymczasem Walter rozmazywałby błoto na żakiecie jakiegoś eleganckiego dżentelmena.

— Maybelle... — ciągnął Charles. — Nie czuje się ostatnio zbyt dobrze...

— Już dobrze, Charles — powiedziałam, litując się nad nim. — Nie masz żadnego obowiązku go brać. Zresztą Delphine jest jedyną osobą, która sobie z nim radzi i która, nie wiadomo dlaczego, jest do niego przywiązana.

— Zatem tak byłoby najlepiej... — wyjąkał.

— Najlepiej byłoby, gdyby to dziecko w ogóle się nie urodziło — oświadczyłam.

Szwagier pokiwał mądrze głową.

— Słyszałem, że matka zbiegła.

— Owszem — potwierdziłam. — Myślę jednak, że wkrótce ją odnajdziemy. Nie wstawiaj jej imienia do spisu inwentarza. Nie zamierzam jej sprzedawać.

Rzucił mi pytające spojrzenie. Nie mogłam już dłużej znieść tego bólu w barku. Zsunęłam łokieć z poręczy fotela i skrzywiłam się, kiedy bezwładna ręka opadła mi na kolana.

— Skoro ja muszę żyć z Walterem — oświadczyłam — to i ona będzie musiała.

CZEŚĆ CZWARTA
EN VILLE

Twój wuj jest zdania, że trzeba zatrudnić pana Leggetta — oznajmiła ciotka.

Siedziałyśmy w salonie przytulnego domu matki. Wystarczyły trzy tygodnie, żebym się tu zadomowiła. Ciotka chciała już wracać do miasta, a ponieważ było oczywiste, że bez niej nie spędzę ani jednej nocy w domu męża, towarzyszyłam jej, zostawiwszy Rose i Delphine, żeby spakowały moje rzeczy i potem ruszyły w drogę. Siedziałam oparta o poduszki na kanapie, ciotka zaś odwróciła fotelik stojący przy biurku matki przodem do mnie. Na zewnątrz było chłodno, a my miałyśmy ogień w kominku, zaciągnięte rolety, zapalone lampy.

— Jak mogła tak zniknąć bez śladu? — dziwiłam się.

— Wuj uważa, że nie ma jej już w mieście. Jego śledztwo przynosi zazwyczaj rezultaty w postaci jakichś tropów, natomiast w tym przypadku nie odkrył niczego.

— Zakładam, że przesłuchiowano w tej sprawie pana Rogeta.

— Wielokrotnie, choć to nie wuj go wypytywał. Nie rozmawiają ze sobą.

— Czy pan Leggett to osoba godna zaufania?

Ciotka prychnęła lekceważąco.

— Żaden z nich nie jest godzien zaufania — oświadczyła. — To najgorszy gatunek ludzi. Nieprzyzwoicie rozdmuchują koszta i nic na to nie można poradzić. Ale twój wuj

z dobrym skutkiem zatrudniał pana Leggetta w przeszłości. Wiem, że zażąda dwadzieścia pięć dolarów z góry na poczet przysługującej nagrody.

— A jeśli jej nie sprowadzi?

— Pieniądze przepadną — wyjaśniła. — Nie ma żadnej gwarancji, że ją znajdzie. Narzeka, że zmarnowaliśmy za dużo czasu. Jeśli ona kieruje się, jak podejrzewa twój wuj, na północ, to z pewnością jest już dość daleko. Pan Leggett sprowadzał zbiegów nawet z Bostonu, tyle że to trwa. Bo kiedy już ona znajdzie się w którymś z wolnych stanów, on nie będzie mógł zbyt liczyć na współpracę władz, choć oczywiście zawsze znajdują się tacy, którzy pomogą mu za pieniądze.

— Boston! — wykrzyknęłam.

— Rzeczywiście brzmi to nieprawdopodobnie — przyznała ciotka. — Pan Leggett chciałby wiedzieć, czy ona ma na Północy krewnych, którzy mogliby jej pomóc.

— Nic o tym nie wiem — odparłam. — Nigdy nie mówiła na ten temat. Wiesz, gdzie się urodziła?

— Chyba w Missisipi. Pochodzi z plantacji w pobliżu Natchez. Zakładam, że tam się właśnie urodziła.

— To może tam się udała.

— Nie sądzę — powiedziała ciotka. — Sprzedano ją po bankructwie, w ramach ugody z wierzycielami.

— Tam ją kupił wuj Emile?

— Nie. Kupił ją od plantatora trzciny cukrowej z gminy St. John. Tak naprawdę była zapłatą na pokrycie długu. Wiedział, że potrzebna mi gospodyni. Miała piętnaście czy szesnaście lat, była bystra i chętna, choć już wtedy miała zadatki na uparciucha.

— Owszem, jest uparta — oznajmiłam z zadumą.

— Nadal uważam, że pan Roget wie, gdzie ona jest.

Przypomniałam sobie ten jedyny raz, kiedy go widziałam, jak odwracał się od Sarah, uchylał przede mną kapelusza i oddalał się.

— Powiedziała mi, że ma brata — oświadczyłam. — Wtedy w to nie wierzyłam, ale może to i prawda. Powiedziała, że pan Roget przyniósł wiadomość od niego, że właśnie wynajęto go do pracy na przystani.

— Powiedziała, jak ten brat ma na imię?

— Clarence — odparłam. — Po co jednak miałyby mi to mówić, gdyby planowała ucieczkę z jego pomocą?

— Może wtedy jeszcze nie miała żadnego planu.

— Czy mogła dostać się na statek żeglugi przybrzeżnej?

— Jeśli była w przebraniu, miała pieniądze i udawała wolną? Uważam to za całkiem możliwe.

— Ale przecież jej język jest tak prymitywny. Na pewno ktoś by zauważył.

— Czasami najbardziej tępy czarny potrafi się wykazać wyjątkowym sprytem, kiedy mu to potrzebne. I pewnie nie musi się zbyt wiele odzywać.

Wyobraziłam sobie Sarah, ubraną w jakieś pożyczone stroje, włosy spięte pod eleganckim beretem, łokcie wsparte na relingu statku, podczas gdy woda pieni się w dole, a odległość pomiędzy nią i światem, który znała, nieustannie się powiększa.

— Masz rację — powiedziałam do ciotki. — Musimy poinformować pana Leggetta o tym bracie i kazać mu popytac na przystani.

Joel Borden przysłał kwiaty w dzień mojego przyjazdu i ponownie tydzień później, tym razem dołączając bilecik z pytaniem, czy może mi złożyć wizytę. Przyjrzałam się

swojej twarzy w lustrze. Opuchlizna i zaczerwienienie niemal zniknęły, a moja cera nabrała naturalnego koloru. Bark mi dokuczał, szczególnie teraz, kiedy się ochłodziło, rana wszakże się zasklepiła. Ochraniałam ją jedynie cieniutką warstwą bandaża, żeby materiał sukni jej nie podrażniał. Tak, zdecydowałam, przyjmę go. Wysłałam Rose z odpowiedzią, proponując godzinę czwartą po południu dnia następnego na nasze *tete-a-tete*.

Kiedy zbliżała się pora spotkania, poczułam ekscytujący zawrót głowy, co było zupełnie niestosowne u świeżo owdowiałej kobiety. Wysłałam Rose z Walterem nad rzekę z kategorycznym zakazem powrotu przez kilka najbliższych godzin. Rose uwielbiała przechadzać się po mieście z tym nieszczęsnym idiotą, którego prowadziła na specjalnej uprzęży zrobionej przez Delphine. Kazałam Delphine przysunąć fotel do samej kanapy i postawić dzbanek z kawą na stoliku w zasięgu mojej zdrowej ręki. Dzwonek odezwał się punktualnie o czwartej. Delphine wpuściła Joela, po czym pospiesznie wycofała się do kuchni, a on stanął w drzwiach salonu z uśmiechem na twarzy.

— Nareszcie — powiedział. — Starałem się być cierpliwy, czekając, aż wydobrzejesz na tyle, by móc przyjmować gości, ale nie było to dla mnie łatwe.

— Obawiam się, że zauważysz u mnie żałosne zmiany — oznajmiłam.

Zbliżył się, usiadł w fotelu obok i nachyliwszy się ku mnie, zajrzał mi w twarz.

— Po tym, co przeszłaś — zauważył — jakżebyś mogła się nie zmienić?

Nie było widać w jego baczym wzroku cienia odrazy, jedynie pełen fascynacji podziw, taki, jaki widywałam w oczach wuja, kiedy przychodził mnie odwiedzić. Uda-

ło mi się przetrwać coś, czego mniej lub bardziej wszyscy się obawiali.

— Twoja ciotka powiedziała, że ukrywałaś się przed prześladowcami całą noc w lesie, na domiar złego z raną postrzałąwą.

Ujęłam tę beużyteczną rękę w nadgarstku, uniosłam i pozwoliłam jej opaść na kolana.

— A oto rezultat - oświadczyłam.

— Droga moja — wyszeptął.

— Staram się o tym wszystkim nie myśleć.

— I słusznie. Musisz żyć dalej. — Wyprostował się w fotelu, rozejrzał po pokoju, spojrzął na kominek, obrazy, wazę z kwiatami na bocznym stoliku. — Musisz czerpać pocieszenie z powrotu do tego domu.

— Otóż to — zgodziłam się. — Pozwala mi to myśleć o szczęśliwszych dniach. — Odwróciłam się do dzbanka z kawą. — Napijesz się kawy? Czy wolałbyś może kieliszek sherry?

— Pozwól, że ja się tym zajmę — zaproponował, wstając. Naszykował filiżanki, talerzyki, fachowo nalewał kawę jednocześnie z mlekiem, nie przestając ani na chwilę mówić. — Odwiedzałem regularnie twoją ciotkę, żeby wiedzieć, jak przebiega twoja rekonwalescencja. Powiedziała mi, że twój szwagier zajmuje się sprzedażą plantacji i że jakiś Amerykanin złożył już ofertę jej kupna, ze wszystkim, co się tam znajduje.

— Pan Kenilworth — powiedziała. — Objawił się z Północy jak jakiś bóg; ma więcej pieniędzy niż rozsądku, ale to jego marzenie o zabawianiu się w plantatora pozbawi go i jednego, i drugiego.

— Biedny pan Kenilworth. — Joel zachichotał, podając mi filiżankę. — Wiesz, nigdy nie jestem pewien, co spr-

wia mi większą przyjemność, twoje poczucie humoru czy uroda.

— Nietrudno sprawić ci przyjemność — powiedziałam. — Być może równie łatwo jak panu Kenilworthowi.

— On mnie nie obchodzi — powiedział Joel — byłeś tylko mogła dzięki niemu się wzbogacić.

— Niestety, obawiam się, że tego nawet pan Kenilworth nie zdoła uczynić.

Joel usiadł i mieszał kawę z niepewną miną.

— Mąż tonął w długach — wyjaśniłam. — Oferta pana Kenilwortha ledwie te długie pokryje.

— Nie wiedziałem — oświadczył Joel, głosem tak poważnym, jakby ktoś doniósł mu właśnie o śmierci jego ulubionego psa. Podniósł wzrok, opuścił. Pierwszy raz byłam świadkiem, że zabrakło mu słów. Cały czas spodziewał się, że będę bogata, pomyślałam. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, świadomi rzeczywistości, na którą składały się jego potrzeby oraz moje zasoby.

— Na szczęście majątek matki jest zupełnie wystarczający. Nie jestem bogata, ale jestem niezależna.

— I nie masz już nic wspólnego z cukrem — dodał, wstając. — Przykro mi słyszeć, że twojemu mężowi się nie powiodło, ale przecież nie jemu jednemu się to przytrafiło.

— Czy sam nigdy nie myślisz, żeby to rzucić?

— Chyba powinienem — odparł. — Nienawidzę tego. W ogóle nie jeżdżę do Riviere. Ale ciągle mi radzą, że bym poczekał, bo w końcu zmieniają się warunki ekonomiczne albo pogoda, albo jakimś cudem wszyscy czarni będą zdrowi i zaczną solidnie pracować. Cóż innego zresztą miałbym robić? Do interesów się nie nadaję. Często żyję z zaliczek od pośrednika na poczet przyszłej sprzedaży. — Wypił łyk kawy i zatrzymał wzrok na portrecie

mojego ojca, którego nigdy nie poznał. — Wydaje się, jakbyśmy najszcześniejsze czasy mieli już za sobą — skonstatował.

Odstawiłam filiżankę na stolik i oparłam się na poduszkach, próbując w ten sposób złagodzić ból w barku.

— Nigdy bym cię nie posądzała o melancholię — zauważyłam. — Liczyłam, że mnie rozweselisz.

Joel otworzył szeroko oczy, zupełnie jakby patrzył na własne odbicie, a widział kogoś obcego.

— Miałaś pełne prawo tego oczekiwać — przyznał. — Wybacz mi.

— Wybaczam — odparłam.

I rzeczywiście wybaczyłam, choć musiałam się bardzo postarać. Wyglądało na to, że szczęście zawsze już będzie poza moim zasięgiem, że już zawsze będę stała przed witryną sklepową, na której wszystko mieni się i przyzywa, ale nie będę miała dość pieniędzy, by wejść do środka. Pieniądze, jedynie dzięki pieniądzom Joel mógłby być dla mnie kimś więcej niż życzliwym wielbicielem.

Joel robił, co mógł, żeby rozwiać ten poważny nastrój, jaki nas ogarnął.

— Mam dla ciebie wyśmienite ploteczki. — Twarz mu się rozjaśniła. — Pierre Legrand dostał wreszcie to, na co zasłużył. — I rozpoczął opowieść o tym, jak to żona człowieka, którego zresztą oboje nie znosiliśmy, odkryła, że nikczemnie próbuje uwieść jej własną bratanicę. Potem opowiedział zabawną historyjkę o pewnej dystyngowanej damie, która nie potrafiła znieść z godnością przegranej w bezika.

— Działasz jak balsam — oznajmiłam, kiedy przestałam się śmiać. — A ja płacę za leki. Czy mogę cię poczęstować szampanem?

— To właśnie zaleca lekarz! — wykrzyknął.

— Zadzwoń na Delphine — poprosiłam, a on wstał i pociągnął za sznur.

Przyszła po chwili, wycierając dłonie w fartuch, z głową nisko zwieszoną. Wydałam jej polecenia — kazałam też podać ostrygi, które Rose rano kupiła — a ona wyszła pospiesznie.

— Nie jest przyzwyczajona do usługiwania — wyjaśniałam. — Wstydzi się opuszczać kuchnię.

— Co się stało z Peek? — zapytał.

— Musiałam ją wydać. Posunęła się, a jej potrawy były niejadalne. Delphine to urodzona kucharka. Za kilka tygodni wydam małe przyjęcie i będziesz miał okazję spróbować jej duszonej wołowiny.

— Bardzo chętnie — zgodził się.

Wróciła Delphine, ściskając rozpaczliwie tacę, przekonana, że kieliszki nie mają prawa się na niej utrzymać. Joel wskazał jej biurko, odsunął na bok rozrzucone na blacie papiery.

— Doskonale — pochwalił, kiedy wycofywała się tyłem. Możesz już odejść, z przyjemnością sam obsłużę twoją panią.

Umknęła spiesźnie, rzuciwszy mi niepewne spojrzenie, machnęłam więc ręką, że może odejść. Joel walczył przez chwilę z korkiem, a potem usłyszałam to głośne „paf”, które zazwyczaj zwiastuje radość. Odwrócił się do mnie, przechylając butelkę tuż nad kryształowym wysokim kieliszkiem, w którym zapienił się złocisty płyn. Oczy mu błyszczały, na wargach błąkał się szelmowski uśmiech. Myślał o swoich przyjemnościach. Moja matka oferowała mu matczyną dobroć, bezgraniczny podziw i od czasu do czasu wystawną kolację. Mój majątek byłby bardziej nę-

cały. Podał mi kieliszek, napełnił drugi dla siebie i zaproponował toast.

— Za ten dom — oświadczył — który jest dla mnie najmilszym w świecie azylem.

Wkrótce butelka została opróżniona i ów azyl, przynajmniej na ten wieczór, nie był już potrzebny. Na pewno już wcześniej umówił się na kolację, a po niej zajmie się hazardem lub pójdzie potańczyć; miasto kusi tyłoma rozrywkami i mój gość zapragnął wydostać się z tego przytulnego saloniku. Przy drzwiach Joel ujął moje dłonie i złożył braterskie pocałunki na obu policzkach.

— Będę na kolacji u twojej ciotki w sobotę — oznajmił. — Przyjdiesz?

— Postaram się — odparłam, a on wyszedł na ulicę.

Zaryglowałam drzwi i oparłam się o ścianę; miałam lekką głowę i ciężkie serce, prawdą mówiąc, czułam się, jakby ogarnął mnie gęsty mrok. Wróciłam na kanapę i siedziałam, wpatrując się w płonący na kominku ogień.

Pożegnanie Joela w drzwiach przypomniało mi męża i jego wizyty sprzed lat, kiedy to byłam zbyt naiwna, by pojąć naturę układu, jaki wtedy zawierałam. Byłam młoda, ładna i nie miałam pieniędzy. Mój przyszły mąż pochodził z dobrej rodziny, miał wielkie oczekiwania i duży dom. Nie uważałam go za szczególnie atrakcyjnego, ale też nie czułam do niego odrazy i imponowało mi, że tak bardzo go pociągam. Nieustannie wbijał we mnie wzrok. Jeśli pozwoliłam mu dotknąć dłoni czy talii, czułam, jak walczy ze sobą, by mnie do siebie nie przyciągnąć. Matka to zauważyła, a ponieważ nie wydawała się tym zaniepokojona, uznałam, że wszystko jest w porządku.

„Zrobiłaś wrażenie na panu Gaudecie — oznajmiła. — Chyba nie musimy się zbytnio zamartwiać posagiem”.

Doszłam do wniosku, że jest we mnie coś, co dla mojego przyszłego męża jest ważniejsze od pieniędzy. Uważałam to wtedy za rzecz nadzwyczajną.

Swoją bezgraniczną głupotę poznałam w noc poślubną. Ponieważ dom matki był zbyt mały, po zakończeniu uroczystości ślubnych ułożono mnie na łożu w jednym z pokoi domu ciotki. Służącą odprawiono; wszedł mój mąż, rozpinając mankiety u koszuli. Nogą zatrzasał drzwi. Jedyną radą, jaką dała mi matka, było słowo „ulegnij”, tyle że ja miałam nie większe pojęcie o tym, czemu mam ulec, niż o tym, jak działa maszyna parowa. To bardzo stosowna metafora! Bo mąż sapał nade mną jak lokomotywa. Chwilami wydawało mi się, że próbuje wyrwać mi ręce i nogi ze stawów. Zerknęłam ponad jego ramieniem na zegar stojący na gzymsie kominka, chcąc koniecznie wiedzieć, jak długo to potrwa. Moje piersi, których oprócz służącej z myjką nikt wcześniej nie dotykał, teraz podane były torturom gwałtownego ugniatania i ssania; byłam pewna, że zobaczę sińce następnego dnia. Dlaczego mnie nie ostrzegłeś, wołałam w myślach do matki, a potem przyszło mi do głowy, że mój ojciec nigdy nie dopuściłby się czegoś takiego. Widziałam zaczerwioną twarz męża, jego wytrzeszczone oczy, rozognione namiętnością nabrzmiące wargi. Czy w moim małżeńskim łożu nie ma miejsca na choćby odrobinę zrozumienia dla mojej bezbronności, odrobinę czułości? Odpowiedź brzmiała: nie, nie ma. Potem milczał, nie krytykował, nie było cierpkich słów. Nie wyglądał na niezadowolonego. Był wyczerpany i po kilku chwilach spał już kamiennym snem. Dotknęłam wilgotnego prześcieradła; czubki palców były czerwone od krwi. Jestem mężatką, uprzytomniłam sobie, kiedy spojrzałam na jego twarz.

Usta miał otwarte, oddech lekki i spokojny jak u dziecka. To mój mąż, myślałam.

Zostaliśmy w mieście przez dwa tygodnie. Zarówno ciocia, jak i matka dawały mi do zrozumienia, że będą to najszczęśliwsze dni mojego małżeństwa. Nie myliły się. Nie czułam się nieszczęśliwa. Dostrzegałam pewną nowość w sposobie, w jaki pozdrawiali mnie przyjaciele, którzy najwyraźniej uważali, że świetnie mi się powiodło. Mój mąż nie zaczął się jeszcze staczać ku bankructwu, więc nie brakowało pieniędzy. Wydaliśmy w hotelu przyjęcie, które w gazetach opisano jako jedno z najbardziej wytwornych podczas tamtego sezonu.

Szaleństwo nocnych ataków mojego męża nie ustępowało, jednak to jego zachowanie ciekawiło mnie, a wkrótce odkryłam, że mam dość siły, by je przetrwać. Pozostałam w naiwnym przeświadczeniu, że owa intensywność jego zapamiętania wynika z jakiejś władzy, którą mam nad nim, co przecież musi działać na moją korzyść. W rezultacie nawet oczekiwałam momentu jego nasyceń, wręcz go pobudzałam i sama znajdowałam w tym niejaką przyjemność. Jednym słowem włączyłam się w wir tych zmagañ. Później, kiedy pojęłam, że moje poczucie, jakobym stanowiła dla niego jakąś szczególną wartość, było ułudą, ta moja gorliwość stała się dla mnie źródłem głębokiego upokorzenia.

Okazało się, że nasze rozmowy są jeszcze bardziej nieznośne niż chwile spędzone na tym, co miało być czuły mi małżeńskimi uściskami. Mąż potrafił rozmawiać o cukrze, znał się na winie oraz innych alkoholach, lubił polować na dziką zwierzynę; takie były jego zainteresowania. Sztuka ani muzyka nie znaczyły dla niego nic; nie był w stanie skoncentrować uwagi na jakimś obrazie na tyle

długo, żeby go w ogóle dostrzec. Kiedy grałam na fortepianie, po pięciu minutach zapadał w głęboki sen. Zauważyłam, że gdy odzywa się w towarzystwie, inni młodsi mężczyźni czekają uprzejmie, aż skończy, żeby natychmiast zmienić temat. Kiedy był świadkiem jakiejś błyskotliwej wymiany zdań, spoglądał z głupią miną od jednego mówiącego do drugiego. Rzadko się śmiał.

Czy ta jego tępota i gruboskórność były wystarczającym powodem, by go nienawidzić? Na pewno nie, ale zanim jeszcze wyjechaliśmy z miasta, zaczęłam odczuwać narastający lęk, że odtąd wszelkie przyjemności w moim życiu będą zależne wyłącznie od kaprysu męża. I mój lęk nie okazał się bezpodstawny. W mieście bowiem nie był on taki pewny siebie, natomiast we własnym domu okazał się tyranem. Pozbawiał każdą scenerię kolorów, każdą potrawę smaku, każdą wymianę uprzejmości ciepła. Nie tyle zniszczył moje życie, ile spowodował, że ziało pustką, a teraz, kiedy go już nie było, musiałam udawać, że zostało jeszcze we mnie coś żywego. Joel to wyczuł. Zbyt skwapliwie się śmiałam i nie był to śmiech szczerzy. Patrząc mi w oczy, musiał mieć wrażenie, jakby zaglądał w okna wypalonego domu. Bez wątpienia przypisywał to moim ciężkim doświadczeniom czasu buntu i nie podejrzewał, że tym, co obróciło moje serce w popiół, nie byli krwiożerczy czarni, ale moje małżeństwo.

Węgielki w kominku skurczyły się i chłód ogarnął moje stopy. Sceny z tamtej nocy, którą chciałam zapomnieć, migotały mi w głowie: koń skubiący trawę, silne uderzenie w twarz, płomień pochodni, Sarah wskazująca ręką w ciemność, przerażona twarz męża, kiedy morderca ciągnie go za włosy. Analizowałam wyraz jego twarzy, jakbym oglądała obraz, i odkryłam pewien szczegół, które-

go wcześniej nie dostrzegłam. Na chwilę zanim zadano śmiertelny cios, mój mąż wykrzyknął jedno słowo: „Sarah”.

Usłyszałam, jak otwiera się furtka, następnie odgłos kroków w przejściu obok domu: Rose i Walter wracali z wycieczki. Dźwięk plaskania dłońią o ścianę rozlegał się aż do chwili, gdy znaleźli się przy drzwiach do kuchni. Walter, pomyślałam. Przekleństwo mojego męża, do którego równie trudno się przyzwyczaić jak do okaleczonej ręki, i równie trudno się go pozbyć.

— Jak to możliwe, żeby jasna kobieta i ciemne dziecko zniknęli bez śladu? — narzekałam ciotce.

Siedziałyśmy w jej salonie. Na stoliku pomiędzy nami leżał mocno wygnieciony, szpetnie napisany list — raport pana Leggetta z jego wysiłków związanych z pochwycciem zbiegłej Sarah.

— Dotarł wybrzeżem aż do Savannah — oznajmiła ciotka — przepytując kapitanów i stewardów każdego statku.

— Znalazł jej brata?

— Niestety nie — odparła ciotka.

Nachyliłam się nad koślawymi bazgrołami, próbując odczytać jedno zdanie. „Kapitan Wash poszeg tylko iedne dziecko do shfytania”.

— Co to takiego? — wykrzyknęłam.

Ciotka przyjrzała się zdaniu.

— Pan Leggett ma szczególne podejście do ortografii i interpunkcji — stwierdziła.

— Przerażające.

— Tak. Masz racje - Sporo czasu mi zajęło, żeby znaleźć w tym choć trochę sensu. Twój wuj natomiast jest mistrzem w odcyfrowywaniu jego listów. W dwadzieścia minut po

tym, jak mu pokazałam to pismo, streścił mi jego zawartość.

— Jak więc pan Leggett mówi?

— Niestety niemal tak samo niezrozumiale. Ale z liczbami radzi sobie świetnie. Potrafi wystawić doskonałą fakturę.

— To mnie nie dziwi — oświadczyłam.

— Mnie też nie — zgodziła się ciotka. — Powiada on zatem, że ów kapitan Wash, prawdopodobnie Walsh, jak sądzi twój wuj, w ubiegłym miesiącu widział tylko jedno ciemne dziecko, dziewczynkę, z matką równie ciemną, która była służącą starszego, białego mężczyzny, udającego się do lekarza w Filadelfii.

— Cóż, to zupełnie bezużyteczna informacja.

— Podczas tego rejsu nie było wśród pasażerów żadnych wolnych kolorowych kobiet. Czy to możliwe, by rozdzieliła się z dzieckiem?

— Możliwe. Odstawiła je już od piersi.

Ciotka odwróciła kartkę i przebiegła wzrokiem tekst.

— Pan Leggett zdobył też informację o dwóch wolnych kobietach, siostrach, podróżujących wspólnie, wiek by się zgadzał, tyle że pochodzą one z St. Louis i są dobrze znane w tamtej okolicy.

— Może podróżuje jako służąca, a jakiś człowiek z Północy udaje jej pana.

— A może w ogóle nie płynie statkiem albo udało się jej jakoś wmieszać w tłum pasażerów, a może wciąż jest wśród nas, tyle że my jej nie widzimy — oświadczyła ciotka. — Możemy tylko zgadywać.

— To prawda. Czy mamy zwiększyć nagrodę?

— Tak uważam — odparła ciotka. — I dobrze by było umieścić nasze ogłoszenie w gazetach wychodzących w kilku większych miastach.

— Zróbmy tak — zdecydowałam.

— Jestem przekonana, że pan Leggett ją znajdzie — zapewniała mnie ciotka. — To człowiek nadzwyczajnie nieustępliwy.

— Ona też jest taka — zauważyłam.

Od ciotki udałam się do Faubourg Marigny, żeby zanieść pantofle do szewca. Dzielnica ta jest zamieszkała przez wolnych czarnych i trudno chyba o bardziej pyszałkowane i aroganckie towarzystwo. Kiedy znalazłam się pośród nich, nieustannie odwracałam głowę, by podążyć wzrokiem za jakąś postacią czy twarzą przypominającą mi Sarah. Naprzeciw mnie szedł mężczyzna w jaskrawożółtym surducie i kiedy mijaliśmy się, spojrzał mi bezczelnie w oczy, a ja przez moment pomyślałam, że to pan Roget. Widziałam go kiedyś przez tak krótką chwilę, że pewnie bym go nie poznała. Czy Sarah ukrywa się w którymś z tych niewyszukanych domostw? Czy może właśnie w tym momencie pan Roget pisze do niej list z instrukcjami, tłumacząc, co ma robić, żeby mogli się spotkać?

Szewc, pan Gaston, był już starszym mężczyzną, a krążyły pogłoski, że jest spokrewniony z szefem policji. Wyszedł zza kontuaru, żeby wyrazić mi współczucie z powodu straty bliskich. Przez dwadzieścia lat zelował pantofle mojej matki i kiedy byłam dziewczynką, dość często widywał mnie u jej boku. Był wysoki i szczupły, o bardzo jasnym odcieniu skóry, czarnych oczach i zawsze krótko ostrzyżonych, kędzierzawych, siwych włosach. Kiedy podziękowałam mu za życzliwe słowa, opuścił wzrok, po czym znów spojrzał na mnie i z lekkim uśmiechem zapytał, co może dla mnie zrobić. Coś w jego zachowaniu, być może ów irytujący brak starań, żeby okazać szacunek,

przypominało mi Sarah. Omówiliśmy sprawę reperacji pantofli i wyszłam z warsztatu. Na ulicy pomyślałam o tym, jak opuścić grzecznie wzrok, by po chwili raptownie spojrzeć mi prosto w oczy. Doszłam do skrzyżowania z ulicą, przy której mieszkałam, minęłam ją i szłam dalej, do rue Chartres, gdzie skręcałam na południe, w kierunku domu ciotki. Prawie biegłam, poganiana wagą mojego odkrycia i pewnością, że liczy się każda chwila. Widziałam wszystko czarno na białym, jakbym wyczytała w gazetach. To ciemne dziecko, opisane przez pana Leggetta, było dzieckiem Sarah i podróżowało ze swoją matką. Jednakże matką nie była służąca, tylko oszustka wynajęta przez pana Rogeta do odegrania takiej roli. A ten starszy pan nie był wcale schorowany, nie był nawet panem. To właśnie była Sarah.

Żałoba nie pozwalała mi brać udziału w większych spotkaniach towarzyskich, ale małych przyjęć, kolacji z udziałem rodziny oraz przyjaciół nie musiałam sobie odmawiać. Ciotka dokładała wszelkich starań, żebym nie czuła się samotna. Kiedy stan mojego zdrowia się poprawił, zmuszała mnie, bym przychodziła na kolację dwa, trzy razy w tygodniu. Często zapraszała przy tej okazji dodatkowych gości, żeby przy stole było więcej osób. Nasza rodzina została już bezlitośnie zdziesiątkowana. Utraciłam oboje rodziców, a wcześniej dwóch małych braci; obaj bracia ciotki zmarli przed osiągnięciem dwudziestu lat, a z jej trojga dzieci tylko jeden syn dożył wieku dorosłego, ale niestety zginął przypadkowo podczas polowania zaledwie tydzień przed swoim ślubem. Rodzinie wuja nie powiodło się wiele lepiej, choć pozostało mu kilkoro do-

rosłych bratanków i bratanic oraz jeden brat, który mieszka we Francji. Jesteśmy zatem zdani tylko na siebie. Ciotka zawsze trapiła się tym, że nie mam dzieci, i kiedyś razem z matką namawiała mnie do szukania porady lekarskiej. Sądziłam, że teraz, gdy odszedł mój mąż, a ja nie jestem panną na wydaniu, przestanie o tym rozmyślać i będzie mnie traktować, jakbym była jej ostatnim dzieckiem. Tymczasem ona miała taki charakter, że nigdy nie traciła nadziei. Pewnego dnia, kiedy zastała mnie siedzącą w zaciemnionym salonie, z zaczerwienionymi oczami, oznajmiła, że nie ma powodu do rozpaczki; nadal jestem młoda i piękna; konkurent pojawi się natychmiast, gdy tylko powrócę do towarzystwa. To jest tak nieprawdopodobne, powiedziałam jej, że aż zabawne, i podziękowałam, że mnie rozweseliła. Któż bowiem poślubiłby kalekę, posiadającą zaledwie tyle pieniędzy, by móc się jakoś utrzymać? W odpowiedzi pocziwa ciocia Lelia zwróciła moją uwagę na obiecujący wzrost cen nieruchomości w naszym sąsiedztwie.

Kiedy w sobotni wieczór zasiedliśmy do stołu w jej jadalni, zauważyłam, że jest zaskakująco chłodna w stosunku do Joela Bordena. Wiedziałam, że nie ma najmniejszej nadziei na to, by Joel mnie poślubił; on rozpaczliwie wręcz potrzebował gotówki. Fakt, że jego zachowanie wobec mnie było tak szarmanckie, jakby był potencjalnym konkurentem, zakrawał na ironię. Mnie to nie przeszkadzało, widziałam jednak, że ciotce ta sytuacja się nie podoba. Zaprosiła również niejakiego pana Duffossata, który był młodym nudnym krótkowidzem i kończył właśnie studia prawnicze. Marszcząc brwi, obserwował, jak przekomarzam się z Joelem. Był otyły i rozlazły; ożywił się jedynie na widok deseru.

Po kolacji piliśmy kawę i graliśmy w karty. Noc była wyjątkowo jak na tę porę roku ciepła i drzwi balkonowe stały otworem, lampy płonęły przyćmionym światłem. Z ulicy dobiegały rozmowy, śmiechy, stukot końskich kopyt. Wuj nie grał z nami; obserwował grę, stojąc za krzesłem ciotki. Joel był w wyśmienitym humorze, nieustannie forsował stawki. Ciotka wzięła kartę i westchnęła. Wuj Emile, położywszy dłoń na jej ramieniu, nachylił się i szeptem doradzał, co ma zrobić. Uśmiechnęła się, poprawiła ułożenie kart i podniósłszy dłoń, pogłaskała czule jego palce. Odwróciłam głowę; gest ten wydał mi się czymś tak intymnym, że wręcz poczułam zażenowanie. Mój wzrok napotkał spojrzenie pana Duffossata, który pośpiesznie wbił oczy w karty. Zdążyłam jednak zauważyć, że wpatrywał się w moją zastygłą, pozbawioną życia prawą rękę.

Poczułam, jak fala gorąca oblewa mi szyję i twarz. Zerknęłam na Joela, który rozmawiał z wujem o kimś, kto nosił dziwaczne nazwisko Balboa. Po chwili uświadomiłam sobie, że nie mówią o człowieku, tylko o koniu. Poczułam w uszach łomot własnego serca i zabrakło mi tchu. Położyłam karty na stole, koszulkami do góry.

— Manon? — zwróciła się do mnie ciotka. — Źle się czujesz?

— Jest tak gorąco — odparłam.

— Przyniosę ci wody — powiedział wuj, kierując się do kredensu.

Joel wstał i podszedł do mnie.

— Chcesz odpocząć na szezlongu? — spytał.

— Niech odpocznie w moim pokoju — zdecydowała ciotka. — Tam jest chłodniej.

— Chętnie położę się na kilka minut — oznajmiłam, odsuwając krzesło.

Joel spoglądał zatroskanym wzrokiem, kiedy ciotka prowadziła mnie do swojej sypialni. Było tam rzeczywiście chłodniej; panował półmrok i cisza. Usiadłam na łóżku i ściągnęłam pantofle, a ona tymczasem nalała wody do miski, zmoczyła w niej myjkę i starannie ją wykrcięła.

— Nie mam pojęcia, co mi jest — powiedziałam, opadając na poduszkę.

— Masz zszargane nerwy — stwierdziła ciotka.

Uśmiechnęłam się na myśl o swoich nerwach. Czym one tak naprawdę są? Ciotka położyła mi na czole mokrą szmatkę. Przyniosło mi to ogromną ulgę.

— Musisz wracać do gości — powiedziałam.

— Nie będę im potrzebna. Wuj weźmie moje karty. Przez cały wieczór miał na to ochotę.

— Joel licytuje bez umiaru — zauważyłam.

— Może sobie na to pozwolić — oznajmiła ciotka z rozdrażnieniem. — Wkrótce będzie bogaty.

Jak to możliwe? Wszyscy wiedzieli, że ojciec Joela przegrał swój majątek w karty. Czyżby przypomniał sobie o nim jakiś dalszy krewny? Gdyby okazało się, że Joel rzeczywiście jest bogaty... zawahałam się przed dokończeniem tej myśli. Zupełnie jakbym stała z dłonią na gałce u drzwi, zbyt przestraszona, by ją przekręcić i odkryć, co znajduje się po drugiej stronie, a przecież, och, jakie tam mogły się roztaczać widoki!

— Cóż takiego się wydarzyło? — spytałam.

— Oświadczył się Alice McKenzie, a jej ojciec wyraził zgodę, choć nie bez poważnych zastrzeżeń, co zupełnie zrozumiałe.

Drzwi w mojej wyobraźni rozwarły się na oścież, a ja stanęłam na krawędzi bezdennej otchłani.

— Och — wymamrotałam.

— Dopiero wczoraj doszli do porozumienia, choć walczyli to już od miesiąca.

Rodzina McKenziech była liczna i zamożna. Ich dom w dzielnicy amerykańskiej słynął z okazałości. Mieli cztery czy pięć córek i kilku synów. Pani McKenzie znana była z podziwu dla społeczności kreolskiej.

— Ile lat ma Alice? — spytałam.

— Nie jest już taka młodziutka — odparła ciotka. — Chyba dwadzieścia pięć. Raczej pospolita, jak powiadają, i naturalnie bez stosownych manier.

Musiało do tego dojść, mówiłam sobie. Joel nie mógł bez końca obywać się bez pieniędzy.

— Gdzie zamieszkają?

— Tego jeszcze nie ustalono. Johna McKenziego korci, żeby zrobić coś z Riviere, matka natomiast chce, by Alice zamieszkała w dzielnicy francuskiej, jeśli znajdzie odpowiednio duży dom, co zresztą jest mało prawdopodobne. Joel niewątpliwie wolałby zostać w mieście; przecież nie znosi wsi.

To jest nas dwoje, pomyślałam. Joel mógłby mnie często odwiedzać. Niezbyt urodziwa żona nie protestowałaby przeciwko dochowaniu przyjaźni nieszczęsnej wdowie. A przecież myśl ta nie była mi żadnym pocieszeniem. Joel żonaty. Westchnęłam i przymknęłam powieki. Chciałam, żeby ciotka zostawiła mnie samą.

Ona jednak najwyraźniej miała ochotę dalej pociągnąć ten temat.

— Jeśli nadal będzie spędzać całe wieczory przy stolikach karcianych i na szalonych zabawach — oznajmiła — doczeka się, że teściowa pošle go do Riviere na resztą jego dni. Nie sądzą, by John McKenzie skłonny był tolerować wydatki na mały domek w wiadomej dzielnicy.

— To nonsens — oburzyłam się. — Joel nigdy by czegoś takiego nie zrobił.

— O święta naiwności — ciotka uśmiechnęła się do mnie pobłaźliwie.

— Nie chcę tego dłużej słuchać — zaprotestowałam.

— Rzeczywiście — przyznała. — Nie musisz. Zostawię cię, żebyś odpoczęła. Wuj odprowadzi cię do domu, kiedy będziesz gotowa. — Wyszła, zostawiając za sobą otwarte drzwi, tak że światło z lampy na korytarzu rzucało na dywan jasną falującą smugę.

Czy to prawda? — zastanawiałam się. Czy Joel rzeczywiście spędzał wieczory na tych sprośnych tańcach, gdzie wszystkie kobiety były czarnymi kurtyzanami o jasnej karnacji, a ich matki siedziały w cieniu, wachlując się i oczekując ofert? Czy mógłby — jak wierzy ciotka — ulokować jedną z tych okropnych kwarteronek* w jej własnym domku i korzystać z pieniędzy żony, by utrzymać dzieci, które tamta by mu urodziła? To niemożliwe. Joel nigdy nie spoglądał na służące; prawie nie zauważał ich obecności.

Widziałam raz jedną z takich kobiet, kiedy składałam z matką wizytę naszej sąsiadce, pani Perot. Właśnie siedziałyśmy w jej salonie, popijając kawę i rozmawiając o obiciu ścian, gdy zza drzwi dobiegł jakiś tumult i usłyszałyśmy kobiece krzyki. Wbiegła służąca, skarżąc się, że nie jest w stanie powstrzymać kobiety, która dosłownie deptała jej po piętach. Zatrzymała się w drzwiach, przenosząc wzrok z jednej z nas na drugą, niepewna, do kogo ma się zwrócić. Muszę przyznać, że robiła wrażenie. Rysy

* **Kwarteron - dziecko białego i terceronki (terceron - dziecko białego i Mulatki) (przyp. tłum.).**

miała szlachetne, choć wargi nieco za grube, trzymała się prosto. Była bardzo modnie ubrana: w sukienkę z jasnowawego jedwabiu, przy której rękawy i kołnierzyk obramowano ciemnofioletowym aksamitem, ałsowy beret w tym samym odcieniu fioleto przybrany czernią. Widać było, że jest bardzo zdenerwowana. Jej czarne oczy spoczęły w końcu na naszej gospodyni.

— Mogę pani w czymś pomóc? — Pani Perot uniosła się z fotela z godnym podziwu spokojem.

— To ja pomogę pani, madame — rzuciła tamta — jeśli życzy pani śmierci swojemu mężowi.

— Proszę wybaczyć — zwróciła się do nas pani Perot, zbliżając się do kobiety. — Pozwoli pani ze mną — powiedziała, wychodząc na korytarz.

Kobieta rzuciła w naszą stronę gniewne spojrzenie, po czym wyszła za swoją ofiarą, zarzucając ją pretensjami. Przeszła przy tym na język francuski, z każdym krokiem grożąc coraz to gorszymi konsekwencjami; spaleniem firmy pana Perota, zamordowaniem własnych dzieci, śmiercią synów pani Perot, których zresztą imiona najwyraźniej znała. Pani domu wezwała lokaja, który natychmiast się pojawił, otworzył drzwi i siłą wyprowadził rozwścieczoną kobietę na ulicę.

— Pan Perot postąpił ostatecznie zgodnie z życzeniem swojej małżonki — wyszeptęła do mnie matka.

Po krótkiej chwili nasza gospodyni wróciła i kontynuowałyśmy rozmowę.

Co najbardziej mnie uderzyło u tego okropnego stworzenia, to doskonała francuszczyzna. Ten bezbłędny akcent w ustach kobiety o twarzy Mulatki, te rzucające błyskawice czarne oczy, wszystko to powodowało, że przypominała jakąś groteskową, stworzoną w rezultacie niewyszu-

kanego dowcipu lalkę, czym zresztą, jak przypuszczam, właśnie była, czym są one wszystkie.

Leżałam na łóżku ciotki i niedobrze mi się robiło na wspomnienie tamtej mściwej kobiety oraz na myśl, że Joelowi odpowiada towarzystwo jej podobnych, że, być może, opuści on któregoś dnia mój dom i pospieszy do innego, jeszcze mniejszego, w którym jest panem, ale gdzie nie odwiedza go żaden gość. Z hallu dochodziły głosy grających w karty. Jeśli się w nie wsłuchiłam, to pośród wybuchów radości byłam w stanie wyłowić ten głęboki, wibrujący śmiech Joela. Z bolesnym skurczem uzmysłowiłam sobie, że już zawsze będę go słuchać jedynie z goryczą.

Zdrzemnęłam się, a kiedy goście sobie poszli, wuj odprowadził mnie do domu. Ochłodziło się i choć pora była już późna, ulice nie wyludniły się. Niektórzy z sąsiadów, głównie mężczyźni, siedzieli na balkonach; w grupkach po trzy i cztery osoby, palili cygara i dyskutowali o przyszłości bawełny. Wzięłam wuja pod rękę, jak to często robiłam, gdy byłam dziewczynką.

— Otrzymaliśmy kolejne sprawozdanie od pana Leggetta — oznajmił.

— Znalazł ją?

— Jeszcze nie — odparł wuj. — Wygląda jednak na to, że twoje przypuszczenie, że ona podróżuje w przebraniu, może być słuszne. Próbował on bowiem wpaść na trop tego białego mężczyzny podróżującego w celach zdrowotnych i okazuje się, że nie ma żadnego dowodu na to, by ktoś taki w ogóle istniał.

— Gdzie widziano ją po raz ostatni?

— Jeśli to jest ona — zastrzegł wuj. — Rozumiem, że on nie może być całkiem pewny. Ten człowiek nazywał się Claude Maitre i wiadomo, że zszedł na ląd z *United States* w Savannah. Podczas podróży właściwie do nikogo się nie odzywał, nie wychodził z kajuty, a steward powiada, że w ogóle nie spał, tylko przez cały czas siedział kompletnie ubrany w fotelu. Nie zdejmował nawet kapelusza.

— Bo długie włosy opadłyby mu na ramiona.

Wuj uśmiechnął się.

— Niezwykła historia, prawda? A jak się domyśliłaś?

— Wydawało mi się dziwne, że chory mężczyzna podróżuje z kobietą i niemowlęciem. Dlaczego nie zabrał służącego, który byłby w tej sytuacji bardziej użyteczny?

— Tyle w tym śmiałości — oznajmił wuj. — Wyobrażałem sobie, jak kryje się na moczarach i jakiś opryszek z bandy Murrela udaje jej przewodnika, potem sprzedaje ją Indianom, a ona tymczasem podróżowała sobie na północ w prywatnej kajucie.

— Nie byłaby taka śmiała, gdyby jej ktoś nie pomagał.

— Otóż to — zgodził się wuj.

Nie wymówiliśmy nazwiska, które nam obojgu cisnęło się na usta, bo wuj nie potrafił bez wzburzenia mówić o panu Rogecie.

— No cóż, zobaczymy — podsumował. — Pan Leggett uważa, że Filadelfia jako cel podróży to jedynie zastona dymna i że w rzeczywistości będzie próbowała dotrzeć do Nowego Jorku. No to jesteśmy na miejscu — oświadczył, kiedy znaleźliśmy się przed moimi drzwiami frontowymi.

Pożegnałam go i weszłam do saloniku, gdzie jakiś czas siedziałam w ciemności, wyobrażając sobie, jak Sarah udaje chorego, białego mężczyznę w mroźnej metropolii, jaką jest Nowy Jork. Nawet gdyby ją natychmiast zatrzymano, minę-

łyby całe tygodnie, nimby tu wróciła. Odsunęłam z twarzy kosmyk włosów; należałoby wysłać Rose na praktykę do jakiejś przyzwoitej fryzjerki. Wyrobiła się już jako gospodyni i nie gorzej od Delphine dawała sobie radę z Walterem. Dobrze się prezentowała, była chętna i lubiła życie w mieście. Myślałam kiedyś, że ją sprzedam, gdy Sarah wróci, jednak może się okazać, że sensowniej będzie sprzedać Sarah.

Kiedy tak sobie rozmyślałam, wzrok mój padł na stojący z boku stolik, gdzie na tacce dostrzegłam bilet wizytowy. To Joela, pomyślałam. Zapewne zatrzymał się w drodze na kolejne przyjęcie i napisał kilka uprzejmych słów, wyrażając swoje zatroskanie moją niedyspozycją u ciotki. Jakie przyjęcie? — pytałam sama siebie, kiedy zapalałam lampę — już raczej pokój pełen luksusowych ładacznic Mulatek.

Nie był to jednak jego bilet. To była większa wizytówka i miała inny druk. Przybliżyłam ją do światła i odczytałam:

EVERETT ROGET

Gustowna i elegancka stolarka

Malowanie i tynkowanie wewnątrz i zewnątrz

Sztuczny marmur i freski

Odwróciłam ją na drugą stronę i przeczytałam wykali-
grafowane wyraźnie słowa:

Szanowna Pani Gaudet,

Mam nadzieję, że przyjmie mnie Pani jutro o drugiej
po południu w sprawie ważnej dla nas obojga.

Z poważaniem,

Everett Roget h.c.l.*

* h.c.l. - z francuskiego *hommes de couleur libres*, co oznaczało ludzi kolorowych, wolnych. Mieli oni obowiązek dodawać ten skrót do nazwiska (przyp. tłum.).

Po śniadaniu poszłam po radę do ciotki, a ona zgodziła się ze mną, że pan Roget wie dokładnie, gdzie znajduje się Sarah, i że zamierza złożyć mi propozycję związaną z jej powrotem.

— Może wyglądać na bardzo pewnego siebie — mówiła ciotka. — Ma jakiś sposób, by się z nią szybko porozumiewać, i uważa, że jest tak dobrze ukryta, iż nikt jej nie odnajdzie. A przecież na pewno wie, że wynajęliśmy pana Leggetta, żeby ją schwytał. Jest to zatem desperackie posunięcie z jego strony.

Kiedy tamtego popołudnia zjawił się pan Roget u moich drzwi, nie wyglądał ani odrobinę na zdesperowanego. Wprowadzany przez Rose do salonu, pewnym siebie wzrokiem omiótł gzymsy wieńczące, gzyms kominka, listwy przypodłogowe, po czym jego spojrzenie, nadal pewne i szacujące, spoczęło na mnie. Ubrany był porządnie, choć w żadnym ze szczegółów elegancko, jeśli nie liczyć laski ze srebrną gałką. Usiadł we wskazanym przeze mnie fotelu, położył kapelusz na bocznym stoliku, a laskę umieścił między kolanami. Dłonie, jak zauważyłam, miał duże, spękane od zimna i od używanej w jego fachu suchej zaprawy, niemniej paznokcie były porządnie przycięte. Pod jednym widoczny był nabiegły krwią, szerniały ślad po jakimś uderzeniu. Miał jasną skórę, chociaż nie tak jasną jak Sarah, rysy dość przyjemne, szczególnie zaś oczy, szeroko rozstawione, ciemnobrązowe, okolone gęstymi, jak na mężczyznę, rzęsami. Zaczął mówić bez żadnej zwłoki; złożył mi kondolencje w związku z niedawną utratą bliskich i przeprosił, że niepokoi mnie podczas żałoby.

— Właśnie dlatego muszę prosić, żeby przeszedł pan od razu do rzeczy — oświadczyłam.

Wykrzywił wargi w uśmiešku pełnym samozadowolenia, który miał pokazać, że bynajmniej nie oczekiwał tu uprzejmego traktowania i że jego przewidywania się sprawdziły. Przechyliłam się nad podłokietnikiem fotela, żeby całą uwagę skupić na jego słowach.

— Przybyłem tutaj w nadziei, że przyjmie pani ofertę kupna swojej służącej, Sarah.

— Sarah? — udawałam zaskoczenie. — Przecież ona nie jest na sprzedaż. Czy ma pan zwyczaj składania ofert kupna służących, którzy nie są na sprzedaż?

Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy.

— Nie — odparł.

— Zastanawiam się zatem, co spowodowało, że w tym wypadku okazuje pan taką impertynencję.

— Poznałem Sarah, kiedy była u poprzedniego właściciela, i od tamtego czasu pragnąłem ją kupić.

— Pan oczywiście wie, że ona zbiegła.

— Wiem — odparł. — Składam swoją ofertę, biorąc pod uwagę jej ewentualny powrót.

— Na jakiej podstawie sądzi pan, że wróci? — spytałam. — Już ponad miesiąc się wymyka.

Wbił wzrok w gałkę laski i milczał. Po chwili potarł dłonią jakąś plamkę na srebrze.

— A kiedy miałabym się spodziewać jej powrotu po przyjęciu pańskiej oferty? — dociekałam.

Ten irytujący mężczyzna wciąż milczał. Wzrok jego błędził po różnych przedmiotach na stoliku, zatrzymał się na portrecie mojego ojca. Jakże mój ojciec by nim gardził i jak łatwo przejrzałby tę jego nikczemną grę. Chciał mieć żonę o karnacji jeszcze jaśniejszej od swojej, ale żadna kwarteronka by go nie zechciała. Pomimo swojego majątku, który, w co nie wątpiłam, musiał być znaczny, był tyl-

ko robotnikiem. Sarah była dla niego wręcz idealna. Mogli zapełnić dom jasnowymi bachorami, jednym bardziej bezużytecznym od drugiego. Ale co robi, zastanawiałam się, z niemowlęciem, które Sarah już ma?

— Pan bez wątplenia wie, że Sarah ma przy sobie dziecko — powiedziałam.

— Wiem. — Oderwał wzrok od portretu i spojrzał na mnie ze szczerym i poważnym wyrazem twarzy.

— Zakładam, że oferta obejmuje również to dziecko. Jest za małe, żeby odbierać je matce.

— Oczywiście — zgodził się.

— Ujął pan to w swojej ofercie, prawda? — domagałam się potwierdzenia.

Zmarszczył brwi w reakcji na moją dociekliwość.

— Owszem — potwierdził.

— Czy wiedział pan, że Sarah ma jeszcze jedno dziecko? — zapytałam, bacznie obserwując jego twarz.

Jego powieki drgnęły niemal niezauważalnie. Nie powiedziała mu, pomyślałam.

— Nie — odparł. — Nie wiedziałem.

— Chłopca — powiedziałam. — Zdrowego. Zostawił go. Ma osiem lat.

Wstałam i zadzwoniłam na Rose. Po chwili stanęła w drzwiach jadalni.

— Przyślij tutaj Waltera — poleciłam.

Spojrzała za mnie, na pana Rogeta, po czym ruszyła z powrotem. Prawdopodobnie przez cały ten czas siedziały z Delphine przy kuchennym stole i trajkotały bez opamiętania. Odwróciłam się z uśmiechem do swojego gościa, który wciąż siedział nieruchomo, choć wyraźnie oklapł. Rozmowa nie przebiegała dokładnie tak, jak sobie zaplanowałam.

— Walter jest już dość duży, by zabrać go od matki — zauważyłam — jednak takie postępowanie zawsze wydawało mi się niegodziwe. Okrucieństwem jest sprzedawać dziecko, pozbawiając je jedyne go obrońcy. Mój ojciec, to właśnie jego wizerunek — głową wskazałam portret — był zdecydowanie przeciwny niszczeniu związków rodzinnych naszych ludzi, a ja zawsze staram się iść za jego przykładem.

Pan Roget słuchał z roztargnieniem mojego wywodu, bo cały czas oczy miał utkwione w drzwiach jadalni. Ja stałam do nich tyłem; wiedziałam przecież, co za chwilę zobaczy, i ogromnie byłam ciekawa, jaką będzie miał minę, kiedy fundamenty jego intrygi zostaną poddane całej serii wstrząsów. Usłyszeliśmy tupot bosych stóp, kiedy mały dzikus pędził przez jadalnię. I już po chwili z rozbawieniem słuchałam owego radosnego rechotu, jakim Walter ma zwyczaj witać nie znane mu osoby. Jego dłoń otarła się o moją spódnicę, kiedy pognał i uchwycił się kolan osłupiałego pana Rogeta. Mocno zacisnęłam usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

— Szkoda, że Sarah nie powiedziała panu o Walterze — oznajmiłam poważnie. — Obawiała się, że mógłby pan być w pewnym sensie rozczarowany.

Walter usiłował bezskutecznie wyrwać panu Rogetowi laskę, co zaraz mogło się skończyć wrzaskiem.

— Nie możesz jej wziąć — tłumaczył mu mężczyzna. — Mógłbyś zrobić sobie krzywdę.

— Nie słyszy pana — pospieszyłam z pomocą. — Jest głuchy. Zbadał go lekarz; wygląda na to, że sprawa jest beznadziejna i nigdy nie będzie normalny.

Walter puścił laskę i wyciągnął ręce, żądając, by go wzięto na kolana. Kiedy pan Roget nie zareagował, odwrócił

się do mnie, rozkładając ręce i pomiaukując. Ciagle to robi, choć staram się go nie dotykać. Ubrany był jedynie w łach z worka, na twarzy miał zaschnięte resztki jajka, dłonie i stopy obklejone brudem, włosy skołtunione. Obejrzałam się do tyłu i zobaczyłam Rose, obserwującą tę scenę zza otwartych drzwi.

— Choć, zabierz go — poleciłam, a ona natychmiast znalazła się w saloniku.

Kiedy tylko chłopak ją zobaczył, popędził w jej ramiona. Poniosła go przez dziedziniec, a on skamlał i gładził ją po policzku.

— Jest w zdecydowanie lepszej formie, odkąd się tutaj przenieśliśmy — rzuciłam, siadając ponownie na fotelu.

Mój gość uniósł dłoń i zaczął pocierać palcem kącik oka, najwyraźniej oszołomiony.

— Ale pozostaje faktem — ciągnęłam — jak pan widzi, że nigdy nie będzie przedstawiał dla nikogo żadnej wartości.

— Rzeczywiście — zgodził się ze mną.

Przestał trzeć oko i rzucił mi spojrzenie, w którym dojrzałam jawną niechęć połączoną z podziwem, jakim mimowolnie obdarza się godnego przeciwnika. Ucieszyło mnie to, ale jednocześnie zauważyłam ledwie widoczny cień uśmiechu na jego ustach. Charakterystyczna dla niego bezczelność, pomyślałam, która wzbudza we mnie chęć spoliczkowania go.

— Może pragnie pan ponownie rozważyć swoją ofertę? — zasugerowałam.

— Nie — odparł. — Ale jak sama pani powiada, chłopiec nie ma żadnej wartości. Jeśli zdecydowałbym się go wziąć, i tak nic więcej bym nie zaoferował.

— Cóż, ciekawa jestem sumy, jaką ma pan na myśli.

— Dwa tysiące dolarów — oznajmił spokojnie.

Sarah była warta połowę tego. Pozwoliłam, aby na krótką chwilę zagościła w moim umyśle kusząca wizja takiego zysku połączonego z perspektywą pozbycia się Waltera. Nie mam wątpliwości, że wpatrywaliśmy się w siebie wzajemnie równie badawczym spojrzeniem.

— To szczodra oferta — oświadczyłam. — Musi panu bardzo zależeć, żeby dostać Sarah.

— Owszem — przyznał.

Co go opętało? Już przecież sfinansował jej ucieczkę. Prawdopodobnie opłaca też kogoś, kto ją ukrywa. Gdybym się zgodziła, musiałyby zapłacić za sprowadzenie jej tutaj, potem wziąć dwoje nie swoich dzieci, jedno ciemne i szpetne, drugie nie lepsze od wściekłego kundla. Potem czekałaby go długotrwała i kosztowna procedura wyzwania, nie obyłyby się bez konieczności płacenia łapówek na prawo i lewo, jako że przepisy są bardzo rygorystyczne. Wyprostował się w fotelu, postawił laskę z boku i wyciągnął przed siebie nogi, nonszalancko oglądając nogawkę spodni. Zauważył drobinę zaprawy murarskiej w szwie i pozbył się jej pstryknięciem paznokcia. Upadła na dywan obok jego stopy. Skoncentrowałam się na tej białej kruszynie. Jej widok wprowadził mnie we wściekłość, opanowałam się jednak. Pan Roget czekał na moją odpowiedź, nie zdając sobie sprawy, że ten biały okruszek przypieczętował los jego i Sarah.

— Obawiam się, że jest pan rozrzutny — oznajmiłam. — I że pożałuje pan swojej oferty.

— To już mój problem — odparł. — Podtrzymuję ofertę. Jestem gotów natychmiast wypisać czek na połowę tej sumy.

— Pozwoli pan, że przedstawię mu kontrofertę — po-

wiedziałam. — Być może okaże się ona bardziej praktycznym rozwiązaniem dla nas wszystkich.

Zerknął na stojący na gzymsie kominka zegar, dając mi do zrozumienia, że j t człowiekiem bardzo zajęтым.

— Nie zamierzam sprzedawać Sarah — oznajmiłam. — To bardzo proste. Ona nie jest na sprzedaż. Nie miałabym natomiast nic przeciwko temu, żeby się pan z nią ożenił. Bo to jest zapewne pańskim celem, prawda? Nadal mieszkałaby tutaj, a niedziele mogłaby spędzać u pana, miałaby wolny jeden lub dwa wieczory w tygodniu, kiedy ja udaję się na proszoną kolację.

— Nie mówi pani poważnie — powiedział bezbarwnym głosem, pozwalając mi się jedynie domyślać tej fali wściekłości, jaka musiała go zalać.

Wolny człowiek poślubiający niewolnicę! Jego dzieci należałyby do mnie; mogłabym z nimi robić, co tylko bym chciała.

— Obawiam się, że nic więcej nie mogę zaoferować — oznajmiłam. — Jestem przekonana, że Sarah zostanie odnaleziona w najbliższych dniach.

— Wobec tego nie mamy o czym rozmawiać — oświadczył, wychylając się do przodu i opierając dłonie na łasce.

— Są prawa zabraniające ukrywania zbiegów, panie Roget — powiedziałam — a pan je na pewno zna. Pomaganie Sarah w jakikolwiek sposób jest jednoznacznym działaniem wbrew prawu. Grzywny są bardzo wysokie. Kiedy mi ją przywiozą, zamierzam ścigać sędownie każdego, komu będzie można udowodnić, że udzielił jej pomocy w ucieczce. Bo, widzi pan, ja nie myślę o niej jako o zbiegu, raczej jak o kimś, kogo mi ukradziono. Ona sama nigdy nie podjęłaby takiego ryzyka, gdyby nie zachęcał jej do tego ktoś, kto nie ma poszanowania dla prawa, bo jest

tak żałośnie niemoralny, że nie pojmuje różnicy pomiędzy zakupem a szantażem.

Pan Roget wstał, marszcząc brwi. Kiedy do niego mówiłam, cofał głowę, jakby próbował uniknąć ostrza mojej argumentacji.

— To dla mnie zupełnie niezrozumiałe — ciągnęłam — skąd ma pan tyle czelności, by przychodzić tutaj i proponować mi zapłatę za to, co sam pan ukradł. Sądzi pan chyba, że dbam wyłącznie o pieniądze. A ja gotowa jestem ponieść poważne koszty, aby odzyskać to, co wedle sprawiedliwości i prawa należy do mnie... i z całą pewnością odzyskam.

— Żegnaj panią — rzucił, kierując się ku drzwiom.

Wstałam, żeby popatrzeć, jak odchodzi. Poczułam znaczne mi dobrze ukłucie bólu, kiedy opuściłam rękę swobodnie wzdłuż ciała. Nie oczekiwałam, że się zatrzyma, tymczasem to zrobił. Odwrócił się do mnie, gdy był już przy drzwiach, i powiedział coś bardzo interesującego.

— Nigdy jej pani nie odnajdzie — oświadczył. — Ona nie jest już pani ani niczyją własnością i nigdy już jej pani nie zobaczy.

— Brzmi to prawie tak, jakby mówił, że ona nie żyje — stwierdził wuj. — Albo że jest w Kanadzie. — Wkładał właśnie dokumenty do skórzanego sakwojażu.

— Albo w Anglii — zasugerowała ciotka i skubnęła supełek w wyszywanym przez siebie hafcie.

— Gdzie jest teraz pan Leggett? — spytałam.

— Powinien już być w Nowym Jorku. Jego ostatni list przepojony był zaskakującą pewnością siebie. Mówił w nim o czymś, co nazywał „solidnym tropem”. Nie powiem wam, ile czasu zajęło mi odszyfrowanie tych dwu słów.

— Zatem uważa, że nie wyjechała z kraju — zauważyłam.

— Właśnie — potwierdził wuj. — A w tego typu sprawach ufam Leggettowi. Tamta uwaga Rogeta równie dobrze mogła być jedynie fanfaronadą. Chodziło mu o to, że opuści kraj, jeśli odrzucisz jego ofertę. Jednak zorganizowanie tego musiałyby mu zająć całe tygodnie.

— Rzeczywiście, nie wysyłałby jej z kraju, by potem złożyć te swoją propozycje — zgodziła się ciotka. — Przecież to bez sensu.

— Dwa tysiące dolarów — zauważył z zadumą wuj, zresztą nie po raz pierwszy. — Razem z Walterem.

— Bardzo mnie to kusiło — przyznałam.

— Jakże mogłabyś się zgodzić na coś takiego? — oburzyła się ciotka. — To był szantaż; stawiał cię dosłownie pod ścianą.

— Niezupełnie — zaoponował wuj. — Ale prawdą jest, że stworzyłoby to niebezpieczny precedens. — Zamknął sakwojaż i złożył nam lekki ukłon. — Moje panie — powiedział. — Musze was teraz zostawić.

Ciotka odprowadziła go do drzwi, po czym zadzwoniła na pokojówkę.

— Przekąsisz coś? — spytała. — Co powiesz na kawałek ciasta i kawę?

— Kawa wystarczy — odparłam, wskazując na swoją talię. — Delphine mnie utuczyła. Powiada, że nie potrafi gotować na jedną osobę.

— Najlepiej jest urządzać proszone kolacyjki dwa razy w tygodniu, a przez pozostałe dni żywić się resztkami.

— Wydaje mi się, że już zupełnie nikogo nie znam — powiedziałam.

— No cóż, jesteś w żałobie. Nikt nie oczekuje, żebyś teraz bywała. Kiedy już minie czas żałoby, z pewnością be-

dziesz otrzymywać zaproszenia na różne przyjęcia, po czym, oczywiście, sama zaczniesz przyjmować u siebie.

— Masz zawsze tyle optymizmu — zauważyłam. — Bardziej przypominasz mi mojego ojca niż matkę.

— Matka twoja wiele przeszła — odparła. — Podobnie jak ty.

Podano kawę. Zastanawiałam się nad tą ostatnią uwagą, a ciotka nalała kawę i podała mi filiżankę. Czy przypominam matkę? A potem, niespodziewanie, uderzyła mnie myśl, że prawdę mówiąc, już się zamieniłam we własną matkę. Mój mąż nie żyje, mieszkam w jej domu, tyję, a moją jedyną nadzieją na przyszłość jest to, że wkrótce będę zapraszać na kolacje ludzi, którzy się nade mną litują.

— Ona przynajmniej miała wspomnienie udanego małżeństwa — oświadczyłam. — Ja nie mam nawet tego.

— Żadne małżeństwo nie jest doskonałe — powiedziała ciotka. — Małżeństwo twoich rodziców nie było wyjątkiem.

Pomyślałam o dzienniku ojca, o tym, że przyznał się do „uchybienia” matce, które było dla niej tak ważne, że do końca życia przechowywała jego świadectwo.

— Matkę niełatwo było zadowolić — odezwałam się.

Ciotka popijała kawę drobnymi łykami. Nie była zadowolona, że krytykuję jej siostrę.

— W młodości była bardzo wesoła — wspominała. — „Pełna wigoru”, jak mawiał nasz ojciec, dopóki nie postanowiła poślubić twojego ojca, bo wtedy nasz ojciec zaczął nazywać ją „upartą jak osioł”. Była tak szaleńczo zakochana, że nie narzekała, kiedy musiała mieszkać w mizernym domku, mając za sąsiadów jedynie irlandzkich i amerykańskich parweniuszy. Kiedy się urodziłaś, była uszczę-

śliwiona, bo taka byłeś do niego podobna, te same blond włosy, to samo zdrowie. Byłeś ślicznym dzieckiem. Nawet mój ojciec pojawił się tam i zaprosił was wszystkich na Boże Narodzenie. Kiedy urodzili się chłopcy, jeden po drugim, a twój ojciec zaczął osiągać zyski z farmy i rozbudowywać dom, twoja matka poczuła, że wreszcie dowiodła słuszności swojego wyboru. Miała wtedy przed sobą dwa czy trzy szczęśliwe lata. Potem obaj chłopcy umarli, w odstępie kilku zaledwie dni. Prawdopodobnie tego nie pamiętasz; to była straszna epidemia. Miałaś wtedy sześć lat.

— Pamiętam pogrzeb — powiedziałam. — W każdym razie pamiętam, że padał deszcz, a ojciec płakał.

— Był rzeczywiście zdruzgotany — potwierdziła ciotka. — Który ojciec by nie był? Pozwolił jednak, by rozpacz przyćmiła mu rozum.

Te słowa wydały mi się dziwne, bo zapamiętałam ojca jako człowieka bardzo rozsądnego.

— W jakim sensie? — spytałam.

Ciotka z zadumaną miną przeżuwała kolejny kawałek ciasta. Kiedy go wreszcie przełknęła, otarła usta serwetką i utkwiała we mnie zatroskane spojrzenie.

— Czarni stali się jego obsesją. Twoja matka mówiła, że to dlatego, że nie znał ich w dzieciństwie. Pisał traktat za traktatem o zarządzaniu czarnymi i próbował je opublikować. „Plantator” wziął jeden na zasadzie dowcipu, żeby pobudzić czytelników do pisania. Jak wspominał twój wuj, odniosło to skutek, redakcję bowiem zasypano listami. Twój ojciec nieustannie opowiadał o złej organizacji na dużych plantacjach i że gdyby tylko wdrożono jego system, mielibyśmy raj na ziemi. I oczywiście zawsze był rozczarowany, kiedy jego ludzie uciekali albo się upijali

i zachowywali beczelnie, albo kiedy udawali, że są chorzy, czy wdawali się w bijatyki. Wtedy wprowadzał poprawki do swojego systemu, który zresztą zasadniczo nie różnił się od tego, który stosujemy wszyscy, to zwykła metoda kija i marchewki, on jednak uważał... właściwie trudno powiedzieć, co takiego uważał. Wyglądało na to, że w jakiś sposób zmusi czarnych do uwierzenia, że on jest bogiem, a farma rajem i że będą szczęśliwi i wdzięczni, co, jak dobrze wiesz, nigdy się nie zdarza. Pamiętam pewien wieczór, kiedy przez cały czas drażył ten temat, aż twój wuj się zniecierpliwił i rzekł: „Percy, w raju nie było czarnych. Dlatego właśnie był rajem. Nie byli tam potrzebni”. — Ciotka roześmiała się na to wspomnienie, chociaż mnie nie wydało się szczególnie zabawne.

— Wszyscy plantatorzy mają obsesję na punkcie czarnych — oznajmiłam. — Chyba że są jak Joel i w ogóle o nich nie myślą.

— Być może — zgodziła się ciotka. — Jednak twoja matka zaczęła odnosić wrażenie, że jej mąż bardziej troszczy się o czarnych niż o własną rodzinę.

— Ojciec zawsze otaczał ją troską — powiedziałam, wzruszając ramionami.

Ciotka przez chwilę przyglądała mi się bacznie, zaskoczona moim obojętnym tonem.

— I było coś jeszcze — powiedziała z wahaniem w głosie, ale wiedziałam, że już postanowiła, by mi powiedzieć.

— Co takiego? — spytałam.

— Sądzę, że najlepiej będzie, jak się dowiesz — oznajmiła. — Pomoże ci to zrozumieć własną matkę.

— Powiedz mi wreszcie — zachęcałam ją.

— Twój ojciec postanowił nie mieć więcej dzieci — oświadczyła.

Rozważałam jej słowa. Decyzja ojca wydała mi się całym rozsądną. Ponieważ milczałam, ciotka zdecydowała się sparafrazować swoje słowa, bym lepiej ją zrozumiała.

— Może należałoby rzec, że stracił wszelką ochotę na dzieci.

— Nie mógł znieść myśli o ich utracie — domyśliłam się.

— Owszem, taki był tok jego rozumowania; tak przynajmniej twierdził. Twoja matka wciąż jednak była młoda. Chciała mieć dzieci, bo która kobieta ich nie chce, ale jeszcze bardziej pragnęła swojego męża. Był kochający, uprzejmy, dbały, czuły dla niej pod każdym względem, ale obojętnie jak żarliwie go zaklinała... — ciotka zamilkła, szukając delikatnego sposobu opisanie przykrej sytuacji i dając mi chwilę na wyobrażenie sobie błagań mojej matki — ...w małżeńskim łóżu odwracał się od niej.

Popijałam kawę, rozmyślając nad tą rewelacją. Jeśli to właśnie było owe „uchybiecie”, którego matka nie mogła mu wybaczyć, to mnie nie wydawało się niczym wstrząsającym, szczególnie w porównaniu z moim własnym małżeństwem. Nie poczułam ani odrobiny współczucia dla matki użalającej się przed siostrą, że mąż odwraca się od niej w łóżu.

— Wydaje mi się, że wina mogła leżeć po obu stronach — oznajmiłam.

Ciotka popatrzyła na mnie ze smutkiem.

— Gdybyś miała dzieci, może byś zrozumiała — powiedziała.

Nie pierwszy raz usłyszałam te słowa i niezmiennie mnie irytowały.

— Nie sądzę — odparłam jedynie.

— Ich brak powoduje, że masz lód w sercu.

To zabolalo.

— Gdybym miała męża, który nie przekraczałby granic przyzwoitości każdego dnia swojego życia — mówiłam gniewnie — być może współczułabym kobiecie, która nie jest zadowolona ze swojego uczciwego małżonka.

Moja gwałtowna reakcja wprawiła ciotkę w osłupienie, a kawałek ciasta, który niosła do ust, wysunął się z jej palców i spadł na talerzyk. Rzuciła nerwowe spojrzenie za siebie, zupełnie jakby ktoś niespodziewanie stanął za jej fotelem.

— Nie wolno mówić źle o zmarłych — oświadczyła.

Następnego ranka Joel przysłał kwiaty wraz z bilecikiem, na którym wypisał prośbę o przyjęcie go po południu. Rozmowa z ciotką rozdrażniła mnie. Źle spalam, prawie nic nie zjadłam i bolała mnie głowa. Było tak ciepło, że kazałam Rose otworzyć okna, zamknąć okiennice i wymieść resztki popiołu z kominka. W pokoju zapanowała atmosfera opuszczenia, ogołocenia, co w tej sytuacji całkiem mi odpowiadało. Wiedziałam, że Joel poinformuje mnie o swoich zaręczynach, licząc na to, że przez grzeczność oszczędzę mu zakłopotania. A ja nie byłam w łaskawym nastroju. Moja cierpliwość się wyczerpała, myślałam, spoglądając, jak w odpowiedzi na dzwonek u drzwi przygarbiona Delphine wlecze się ociężale przez pokój.

— Wyprostuj się! — rzuciłam ostro.

Podskoczyła gwałtownie, jakby ją ktoś uderzył.

Wszedł uśmiechnięty Joel, bezceremonialnie rzucił kapelusz na biurko i obrócił się ku mnie z otwartymi ramionami, zupełnie jakby prezentował jakiś wspaniały podarunek. Miał nową marynarkę o modnym kroju i pachniał

przyjemnie wodą kolońską, pomadą i świeżym płótnem. Mój wygląd natychmiast go otrzeźwił. Uśmiech się roz-
płynął, zastąpiony wyrazem przesadnego zatroskania.

— Widzę, że nadal nie czujesz się dobrze — oświadczył. —
A twoja ciotka mówiła, że ta niedyspozycja była chwilowa.

— Czuję się nie najgorzej — odparłam. — Po prostu tak
teraz wyglądam.

— Ależ nie — zaprotestował, siadając obok mnie na ka-
napie. — Jesteś zbyt blada.

— Źle sypiam — powiedziałam.

— Radziłaś się lekarza?

— Mam krople nasenne — wyjaśniłam. — Ale nie lubię
ich brać, bo czuję się po nich ledwo żywa. Niestety, brak
snu wywołuje taki sam skutek.

Joel rozejrzał się po pokoju i zauważył, że nie przewi-
dziano żadnego poczęstunku. Było tu dla niego zdecydo-
wanie za ponuro, a ja przedstawiałam smutny widok. Co
robić?

— Może miałybyś ochotę przespacerować się do Cafe
des Artistes? Kieliszek szampana na pewno by cię ożywił.

— Nie sędzę — uśmiechnęłam się.

— No trudno — westchnął. Usiadł wygodniej i splótł
dłonie na kolanach, jak chłopiec, który zbiera siły przed
przełknięciem gorzkiego leku. Chciał to już mieć za sobą,
wyjść stąd i bawić się jak inni. Postanowiłam uwolnić go
od męczarni.

— Ciotka Lelia powiedziała mi o twoich zaręczynach
z panną McKenzie — oświadczyłam. — Przyjmij, proszę,
moje gratulacje.

— Spodziewałem się, że to zrobi. — Skrzywił się. — Wy-
daje mi się, że twoja ciotka nie pochwała mojego wyboru.

— Zmięknie — zapewniłam go. — Bylebyś przeprowa-

dził się do dzielnicy francuskiej i wychowywał swoje dzieci w duchu religijnym.

— Alice już zaczęła pobierać nauki u ojca Francois. — Odwrócił się do mnie, chichocząc.

Alice, pomyślałam. Alice Borden. Brzmi jak nazwa parowca.

— Jesteś więc zdecydowany pozostać w mieście — powiedziałam.

— O, tak. — Popatrzył na mnie wymownie. — Tak wiele mnie tutaj trzyma.

Co miało oznaczać, pomyślałam, to wymowne spojrzenie? Żadne z nas nie miało najmniejszych złudzeń, że moje opinie mogą mieć jakiegokolwiek znaczenie. Na pewno nie przyszłoby Joelowi do głowy wtajemniczać mnie w przygody na rozlicznych zabawach czy w plany nabycia małego domku, gdzie dogadzałaby mu jakaś nieszczęsna, wystrojona Mulatka, na tyle głupia, by uważać się za osobę wolną. Nie, to wymowne spojrzenie było wyłącznie na pokaz, było uprzejmością wobec nieszczęsnej, okaleczonej wdowy, która musi jakoś żyć z takim wyglądem. Mam szczerze dość tej farsy, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego.

— Cieszę się. Brakowałoby mi twoich wizyt — oznajmiłam.

— Więc mi wybaczasz? — rzucił z przejęciem.

— Nie ma tu nic do wybaczenia — odparłam.

Moja odpowiedź tak mu się spodobała, że ożywił się jak koń zbliżający się do stajni.

— Planuję kupno dużego domu, największego, jaki znajdę, i będę często wydawać przyjęcia i bale. Jak już wytłumaczyłem Alice, jestem to winny każdemu w tym mieście. Wino będziemy musieli sprowadzać barkami.

— Będzie bardzo wesoło — zauważyłam.

— Owszem — zgodził się. Chwycił moją dłoń, zupełnie jakby zamierzał poprowadzić mnie we wspólną świetlaną przyszłość. — Kiedy będę miał wreszcie pieniądze, poczuję taką ulgę — oznajmił. — Mam już serdecznie dosyć tych ciągłych długów.

Miałam przykrą świadomość, że Joel ciągle trzyma moją chorą rękę. Mówił i jednocześnie machinalnie pocierał palcem mój nadgarstek. Mogłam poruszać palcami, nie mogłam jednak cofnąć ręki bez pomocy drugiej. Zupełnie nie interesowały mnie opowieści Joela na temat jego pomyślnej przyszłości. Imię Alice już zdążyło mi zbrzydnąć. Przykleiłam sobie do twarzy głupawy uśmiezek, słuchając jego paplaniny i myśląc jednocześnie ponuro, że ciotka się nie myliła; rzeczywiście mam lód w sercu.

Ale jednocześnie nie miała racji, bo nie spowodował tego brak dzieci. Winne było kłamstwo, tkwiące w samym środku wszystkiego, owo wielkie kłamstwo, któreśmy wszyscy podtrzymywali, pielęgnowali, czcili, jakby od tego zależało nasze życie, jakby pod wpływem głośno wypowiedzianej prawdy ziemia musiała się rozstać, a my spadlibyśmy wszyscy w ziejącą ogniem przepaść. Moja przyszłość była mroczna i ograniczona, podczas gdy jego jasna i pełna perspektyw, a moim obowiązkiem było udawać, że tego nie wiem. Czy istniał jakiś majętny mężczyzna, na tyle odpychający dla innych młodych kobiet, by mógł zadowolić się mną? A jeśli już taki cud by się wydarzył, w co święcie wierzyła moja ciotka, to czy należałoby przyjąć za rzecz oczywistą, że będę musiała zachować milczenie, jak to niewątpliwie zrobiłaby Alice McKenzie, wiedząc, że mój mąż będzie szukał pociechy za moje braki w łóżku jakiejś jasnoskórej kwarteronki? Jediną znaną

mi kobietą, która nie musiała przyglądać się fascynacji swojego męża tymi hodowanymi przez mężczyzn dla własnej przyjemności stworzeniami, była moja matka, a teraz okazało się, że spowodowane to było niechęcią ojca do prokreacji. Odmówił sprowadzania kolejnych dzieci — czarnych, białych czy mieszanych — w to piekło, w którym wraz z mlekiem matki muszą wysysać łągarstwo.

Nie, to nie było mleko ich matek, poprawiłam się. Może w ten właśnie sposób ta trucizna wsiąkała w nas wszystkich, bo przecież nawet kwarteronki były zbyt próżne, by karmić piersią własne dzieci, i przekazywały je służącym. Przypomniałam sobie, jak Celeste przy jednej piersi trzymała mojego brata, a przy drugiej własne ciemne dziecko, podczas gdy moja matka przyglądała się temu z zadowoleniem.

Przenigdy, pomyślałam. Nie ja. Niech Alice ma dom pełen wrzeszczących dzieci Joela; lepiej ona niż ja. Ja z całych sił będę się trzymać własnej niezależności, jak ucepiona tratwy podczas sztormu. Tylko to może mnie uchronić przed utonięciem w tym morzu kłamstw.

Ostatecznie Joel dotarł do końca tej swojej deklamacji i zaniepokoił się, że może nieco mnie meczy. Uwolnił wreszcie moją dłoń i wstał, gotów do wyjścia.

— Musisz dbać o siebie, Manon — powiedział, rozglądając się posępnie wokół. — Nie odgradzaj się tak od świata.

— Nie będę — zapewniłam go. Wstałam, żeby odprowadzić go do drzwi.

— Chcę znów widzieć cię zdrową. Chcę widzieć, jak tańczysz na moim weselu.

Mysł o wirowaniu w objęciach jakiegoś starszego pana, gdy tymczasem jedno ramie wisi mi u boku niby martwe zwierze, rozśmieszyła mnie.

— Co to, to nie — zaprotestowałam. — Myślę, że czasy tańców już się dla mnie skończyły.

Kiedy wreszcie sobie poszedł, zupełnie wyczerpana wróciłam na kanapę. Moja matka nigdy nie pozwoliłaby tak łatwo wywinąć się młodemu mężczyźnie, pomyślałam, ale mnie było już wszystko jedno. Skierowałam spojrzenie na portret ojca, zawsze będący dla mnie taką pociechą, ale ku mojemu zdumieniu nie zrobił on teraz na mnie większego wrażenia niż podobizna kogoś obcego w sklepowej witrynie. Ojciec miał rację; artysta rzeczywiście go upiękzył. W rzeczywistości nie miał tak silnie zarysowanych szczęk, tak przejrzystych oczu.

Pomyślałam o jego dzienniku, o tych banalnych zapiskach dotyczących bawełny i pogody, i chorób, bez żadnej wzmianki o mnie, zupełnie jakbym nie istniała, czy jakby chciał, żebym nie istniała, o tym grzecznościowym napomknieniu o matce jako „drogiej małżonce”, wyłącznie w związku z tym „uchybieciem”, za które szlachetnie przyjął na siebie odpowiedzialność.

Nie, pomyślałam. Nie chodziło o to, że jej uchybił, odmawiając spełnienia małżeńskich obowiązków i tym samym sprowadzania dalszych dzieci na rzeź, choć to niewątpliwie coś oznaczało. Chodziło o coś innego, coś, o czym matka wiedziała, a czego nigdy nie zdradziła, coś, co było w nim zawsze i co ze sobą zabrał, co kryło się za tym uśmiechem i udawaną wesołością, i całym tym fałszywym pokazem uczuć, których najwyraźniej nie posiadał. Tylko udawał kochającego ojca, oddanego męża, ale tak naprawdę nie było go przy nas, nie potrzebował naszej miłości, nie łaknął naszej obecności tak, jak my łaknęłyśmy jego.

Był oszustem.

Pocałował mnie na dobranoc tamtego wieczoru, kiedy zginął, dokładnie tak samo jak tysiąc razy wcześniej; ten wieczór niczym nie różnił się od wszystkich poprzednich. Miałam pewność, że zobaczę, go znowu przy porannej kawie z matką. Wiedział, że widzę go po raz ostatni, a mimo to nie zwracał sobie głowy, żeby wyszeptać choć jedno słówko, które dodałoby mi otuchy, nie obdarzył mnie jednym pocałunkiem więcej, nie przedłużył chwili czułości. Nie zrobił niczego, czego mogłabym się uczepić jako dowodu żalu, że mnie porzuca, dowodu na to, że byłam w jego życiu czymś ważniejszym od kupna motyki czy choroby robotnika, które to sprawy zasłużyły sobie na wzmianki w jego dzienniku.

Ciotka miała rację, miał obsesję na punkcie czarnych, chciał, by go podziwiali, uwielbiali; moja matka też miała rację — to oni go zabili.

Widziałam siebie, jak smagana zimnym wiatrem stoję na końcu tamtego pomostu i wzywam go, zalewając się łzami rozpacz i przerażenia. A potem odwróciłam się i zobaczyłam tych chłopców — czy rzeczywiście ich widziałam? — którzy pojawili się znikąd, żeby powiedzieć to, czego nie powiedziałyby nikt z mojego świata, powiedzieć tę nagą, nie upiększoną niczym prawdę. „Twój tata sam robi pożar i strzela w głowa”.

Bo to była prawda. Nie mieli powodu, by wymyślać taką historię. Byli zaledwie dziećmi; powtarzali, co usłyszeli. Matka też wiedziała i ta wiedza zrujnowała resztę jej życia.

Wyciągnęłam rękę i przewróciłam portret ojca.

— Hipokryta — powiedziałam głośno.

Głowa mi pękała. Miałam wrażenie, że żelazna obręcz, taka, jakie stosowano, kiedy trzeba było dać nauczkę pra-

cującym na polu kobietom, ściska mi czaszkę. Przypomniało mi się, jak obserwowałam przez lunetkę, swojego męża, kiedy szedł przez trawnik, a takie urządzenie wisiało u jego ręki. Był wściekły, bo nakrył jedną z nowych dziewcząt w łóżku nadzorcy. Minał Sarah, która właśnie karmiła kury, i coś do niej powiedział. Nie usłyszałam tego, ale sądząc po jej minie, musiało to być coś obraźliwego. Co to było?

„Będiesz następna”. Usłyszałam teraz wyraźnie jego głos, kiedy siedziałam w tym mrocznym pokoju i trzymałam się za głowę. Nie żyje, mówiłam sobie. Nie wróci. A przecież czułam, jakby tam był, jakby nachylał się nade mną i coraz mocniej przykręcał śrubę tej gorącej żelaznej obręczy, a moja czaszka pękała pod jej naciskiem.

Tej nocy bardzo się ochłodziło. Mimo to spałam dobrze; tak byłam zmęczona. Następnego ranka, kiedy siedziałam przy kawie, Rose i Delphine zajęły się zamykaniem okien i nakładaniem węgla do kominka. Ból głowy zniknął. Od tygodni nie czułam się tak dobrze. Obym tylko mogła żyć w spokoju, bez złudzeń, pomyślałam.

Kiedy zapłonął ogień, wzięłam filiżankę z kawą do salonu i usiadłam przy biurku. Słyszałam, jak kobiety szamoczą się z oknem w sypialni matki. Zacinało się, odkąd tylko sięgałam pamięcią. Myśli moje błądziły, wzrok natomiast wędrował po znajomych meblach, dopóki nie zatrzymał się na czymś, do czego nigdy się nie przyzwyczai: oparty o futrynę drzwi stał Walter i tarł pięściami oczy.

— Co ty tu robisz? — spytałam, jakby miał mi odpowiedzieć.

Opuścił ręce, przebiegł przez pokój i rzucił się na kafle przed kominkiem, wydając przy tym pełne zadowolenia westchnienie. Nim zdążyłam wezwać Rose, obrócił się na bok i zasnął.

Jest zupełnie jak kot, pomyślałam, zawsze szuka wygody albo psoci, głuchy na wszelkie polecenia. Ktoś go niedawno wykapał i obciął mu włosy, pozostawiając króciutkie loczki. W świetle ognia z kominka płonęły niczym rozżarzone miedziane druciki. Usta miał wilgotne i czerwone. Rzadko na niego patrzyłam, ale teraz nastrój, w jakim się znajdowałam, pozwolił mi spokojnie mu się przyjrzeć i zauważyłam, że ostatnio jego twarz zrobiła się zdecydowanie bardziej pociągła. Choć miał jasne oczy swojego ojca, coraz bardziej zaczynał przypominać matkę.

Gdzie ona jest? W Filadelfii? W Nowym Jorku? To wielkie, zimne miasta, pełne obcokrajowców. Ile jeszcze czasu pan Leggett będzie jej szukał? I za jaką cenę?

Weszła Rose; spojrzała na Waltera, potem na mnie i znów na chłopca.

— Myślałam, że jest w kuchni — wyjaśniła. — Wysmyknął się, kiedy my zamykali okna. Zawsze chce być, gdzie pani.

To prawda, pomyślałam. Fascynowałam go.

— Niech zostanie — zdecydowałam. — Powiedz Delphine, żeby przygotowała mi porządne śniadanie. Wczoraj zjadłam jedynie kawałek chleba i śliwkę.

Nastała zima. Przenikliwe powietrze wciskało się szparami okien, ciągnęło chłodem od podłogi; przez cienkie podeszwy rannych pantofli czułam, jak zimne są dywany. Ranki spędzałam w saloniku, okutana w szale, popołud-

nia u ciotki, gdzie kominek mieścił tylko niewielkie kłody drewna, nocami natomiast trzęsłam się pod stosem koców. Walter z porannej drzemki przy kominku uczynił codzienny rytuał. Ku zdumieniu Rose i Delphine, pozwalałam na to. Leżał właśnie na swoim miejscu, spał twar- do, kiedy pojawiła się ciotka z wiadomością, że wreszcie zatrzymano Sarah.

— Był u nas wieczorem pewien pan nazwiskiem Foster — oznajmiła niemal bez tchu, ściągając rękawiczki. — Obiecał panu Leggettowi, że przekaze nam informacje, bo będzie tutaj, jeszcze zanim przyjdzie poczta. Wielkie nieba, czy to Walter?

— Raz pozwoliłam mu tutaj zasnąć, a teraz robi to codziennie. Rose twierdzi, że on zawsze chce być tam, gdzie ja.

Ciotka przyglądała się w milczeniu chłopcu, leżącemu na boku z podkulonymi nogami, z ramieniem pod głową.

— Przecież to nikomu nie przeszkadza — rzuciła. — Bardzo wyrósł.

— Zaczyna przypominać matkę — powiedziałam. — Gdzie ona jest?

— W więzieniu, w Savannah.

— Myślałam, że jest w Nowym Jorku.

— Była. To pan Leggett sprowadził ją do Savannah. Tam właśnie spotkał pana Fostera i przy wspólnej kolacji w gospodzie, gdzie obaj zatrzymali się na noc, opowiedział mu dokładnie o swoich podróżach. Niezwykła historia. — Ciotka rzuciła pelerynę i rozsiadła się wygodnie na kanapie. — Chodź, usiądź tu przy mnie, a ja opowiem ci wszystko, co wiem. Naprawdę, uważam, że pan Leggett może być z siebie dumny.

Pan Foster opowiedział ciotce, że Sarah wsiadła na statek *United States* zaledwie tydzień po śmierci swojego

męża, jako biały dżentelmen, pan Maitre, w towarzystwie służącej o imieniu Midge, która przedstawiała niemowlę, jako własne. Pan Maitre nosił ciemne okulary i prawie się nie odzywał, utrzymując, że choroba, na którą cierpi, czyni rozmowę zbyt męczącą. Siedział w swojej kajucie, gdy tymczasem Midge pełno było na całym statku, gdzie paplała do każdego, kto tylko zechciał jej słuchać. Tematem tej paplaniny był jej biedny pan i jego różne przypadłości, które zresztą zmieniały się z dnia na dzień. Kapitan uważał dziewczynę za nadpobudliwą i głupią. Powiedział panu Leggettowi, że dziwiło go, iż pan tak dystyngowany i tak kruchego zdrowia toleruje przy sobie kogoś tak roztrzępanego, na dodatek z wrzeszczącym dzieciakiem.

— Dystyngowany? — zdziwiłam się.

— Wygląda na to, że Sarah potrafi zagrać nobliwego dżentelmena — odparła ciotka. — Wszyscy, z którymi rozmawiał pan Leggett, zwrócili uwagę na jego arystokratyczne maniery.

Pan Maitre zszedł na ląd w Savannah i zatrzymał się na kilka dni w pensjonacie, gdzie czekał na statek pocztowy, który miał go zabrać dalej, do Filadelfii. Nie ruszał się z pokoju, a jego służąca męczyła wszystkich wokół opowieściami o chorobach swojego pana. Jednego dnia były to jego oczy, drugiego serce. Dziecko wrzeszczało nieustannie; właścicielka pensjonatu uważała, że cierpi na kolkę. Ją też zastanawiało, jak ten człowiek znosi towarzystwo takiej służącej. Kiedy opuścili pensjonat, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Mężczyzna bez zwłoki wsiadł na *Atlantic Clipper*, kiedy tylko ten zawinął do portu, wiatry jednak okazały się niesprzyjające i statek przez trzy dni stał na kotwicy. Kapitan zainteresował się swoim pasażerem, który, jak są-

dził, jest śmiertelnie chory. Kazał kucharzowi okrętowemu gotować rzadki kleik, który, jak utrzymywał ów dżentelmen, był jedynym pokarmem, jakim mógł się żywić. Zachęcał pana Maitre do wyjścia na pokład, gdzie mógłby odetchnąć świeżym powietrzem, ale bez rezultatu.

Kiedy dotarli do Filadelfii, kapitan namówił pana Maitre — chociaż ten miał zabukowany rejs aż do Nowego Jorku — by spędził noc na ładzie, podczas gdy statek będzie rozładowywany. Poleciał pobliski pensjonat. Kapitan powiedział panu Leggettowi, że obawiał się, iż jego pasażer nie przeżyje tej nocy. Kiedy pan Maitre wyszedł na pokład i ujrzał światła miasta, był tak słaby, że chwycił się relingu i zapłakał.

Przeżył jednak tę noc, a nazajutrz wypłynęli do Nowego Jorku. Wiatry im sprzyjały, podróż przebiegła spokojnie. Pan Maitre odzyskał apetyt, jego służącej zabrakło słuchaczy, a dziecko przestało płakać. Kiedy przybyli do Nowego Jorku, mężczyzna wyraził kapitanowi swoją wdzięczność; oznajmił, że uratował mu życie, i pewnym krokiem zszedł po trapie. Na nabrzeżu przywitała go jakaś para; najwyraźniej go oczekiwali. Wsiedli do dorożki i odjechali.

Pan Leggett poświęcił sporo czasu i energii na rozmowy z woźnicami, którzy tamtego dnia znaleźli w porcie klientów. Ostatecznie skierowano go do pewnego domu na Brooklynie, należącego do państwa Palmerów. Kiedy od sąsiadów dowiedział się, że Palmerowie są kwakrami, od razu pomyślał, że odnalazł ściganą zwierzyne.

— A któż to taki ci kwakrzy? — spytałam.

— To jakaś grupa religijna — wyjaśniła ciotka — przeciwna, z tego co wiem, wszelkim formom niewolnictwa.

U Palmerów pan Maitre zrzucił przebranie i stał się

panną Claudią Palmer, kuzynką z Południa odwiedzającą rodziną. Pan Leggett wziął dom pod stałą obserwacją. Kilka dni później pan Palmer wyjechał gdzieś dorożką razem z Midge i z dzieckiem. Wrócił sam. Pan Leggett już nigdy więcej nie zobaczył tamtej dwójki. Nazajutrz zauważono pana Palmera, jak rozpytywał w porcie o rejs do Anglii; następnego z kolei dnia pojawił się w urzędzie celnym, gdzie wypełnił jakieś formularze. Przez kilka dni nie działo się nic. Panna Palmer rzadko opuszczała dom, co najwyżej, żeby pójść na krótki spacer z kuzynkami. Pan Leggett nie chciał jej schwytać, kiedy będzie w ich towarzystwie. Jakiegokolwiek zamieszanie mogłoby się przecież skończyć aresztowaniem Sarah. Wiadomo ponadto, że wolni czarni oraz ludzie tacy jak kwakrzy potrafią tak gwałtownie protestować przeciwko akcjom policji, że uniemożliwiają wręczanie nakazu sądowego i często do zatrzymania nie dochodzi, a ścigany ucieka. Pan Leggett czekał więc na sposobność i wynajął dwóch osiłeków, gotowych do zdecydowanych działań, kiedy przyjdzie właściwa chwila.

Ponownie zauważono pana Palmera w porcie, gdzie tym razem wykupił miejsce dla Claudii Palmer w kajucie statku *Commodore*, mającego wkrótce odpłynąć do Londynu. Pan Leggett zrozumiał, że wreszcie pojawiła się szansa i że jest to jego ostatnia szansa.

Wezwał swoich ludzi, wynajął zamknięty powóz i przyjechał na zatłoczone nabrzeże wczesnym rankiem tego dnia, w którym statek miał wyruszyć w rejs. Tam spotkali się z pewną aktorką, wcześniej już opłaconą i dokładnie poinstruowaną. Kiedy przyjechała Sarah i pan Leggett zobaczył, że towarzyszy jej tylko pan Palmer, był już pewien sukcesu. W chwili, kiedy tych dwoje zbliżało się do trapu, kazał jednemu ze swoich ludzi zacząć głośno obra-

zać aktorkę. Miał nadzieję, że przekonania religijne pana Palmera nie pozwolą mu pozostać na to obojętnym, i nie pomylił się. Pan Palmer odwrócił się od swojej podopiecznej i próbował interweniować. Kłócaca się para natychmiast zwróciła się przeciwko niemu, bijąc go dotkliwie. Odezwały się krzyki o pomoc, scena przemocy przykuła wzrok wszystkich obecnych. Tymczasem pan Leggett i drugi z jego ludzi podeszli z dwóch stron do Sarah i chwycili ją mocno za ręce.

— Czas wracać do domu, Sarah — powiedział pan Leggett.

Sarah krzyknęła do pana Palmera, który w tym zamęcie i hałasie nawet jej nie usłyszał. Pan Leggett i jego człowiek zaprowadzili ją szybko do powozu, wrzucili do środka i odjechali.

— Masz rację — oświadczyłam, kiedy ciotka skończyła. — To niezwykła historia. Zastanawiam się tylko, ile to wszystko będzie mnie kosztowało. Przypuszczam, że będę musiała opłacić i tę aktorkę, i tych dwóch osiłków.

— Twój wuj uważa, że pan Leggett postępował właściwie. Bo taniej jest opłacić aktorkę, niż przekupić urzędnika sądowego.

— Zapewne — zgodziłam się.

Pan Leggett czeka w Savannah na trójkę innych zbiegów, których transportują tam właśnie z więzienia w Karolinie Południowej. Potem, razem z handlarzem, który ma przywieźć na tutejszy targ sześciu niewolników, pognają wszystkich pieszo, co będzie bardzo tanie.

— Przecież to zajmie całe tygodnie — sarkałam.

— Owszem — przyznała ciotka. — Będzie to długi spacer dla pana Maitre.

— Co za nazwisko — prychnęłam.

— Wuj ostrzega cię, że Sarah może się okazać całkiem

inną osobą, kiedy tu wróci. Uchodziła za kobietę wolną, a tego rodzaju doświadczenie z zasady wypacza charakter czarnoskórych.

— Doświadczyła czegoś więcej — zauważyłam. — Posmakowała wolności, jakiej tobie i mnie nigdy nie przyjdzie zaznać.

Ciotka popatrzała na mnie z niepewną miną.

— Co masz na myśli? — spytała.

— Podróżowała po kraju jako wolny, biały mężczyzna.

To, co pan Leggett oszczędził, gnając Sarah pieszo, szybko poszło na honorarium dla doktora Landry, jako że dotarła ona na miejsce półżywa. Gdzieś po drodze ostrzygli jej włosy króciutko przy skórze, więc z tymi zapadniętymi oczyma w skurczonej twarzy, z wychudłymi rękoma i nogami przypominała szkielet. Szarpał nią kaszel, który w nocy nie pozwalał nikomu spać. W rezultacie tego marszu przez moczary na stopach utworzyły się jakieś wrzody, które wyglądały i cuchnęły paskudnie. Kiedy kuracja doktora okazała się nieskuteczna, ciotka wpadła na pomysł, żeby sprowadzić Peek, a ta pojawiła się ze swoimi okładami i naparami. Ustawiła na dziedzińcu żelazny sagan i gotowała w nim coś, co zasmrodziło całą okolicę. Ułożyła Sarah na pryczy w kuchni, w której nieustannie, dniem i nocą palił się ogień, wrzała w garnkach woda i gdzie w rezultacie powstała łaźnia parowa, a Delphine niemalże traciła przytomność od tej duchoty. Doktor Landry nie pochwalał tego wszystkiego, ale sam w końcu stwierdził, że czasami czarni mogą zostać wyleczeni jedynie przez innych czarnych, co okazało się prawdą. Oszczędziłam mu zresztą informacji, że moja matka, ilekroć przy-

jęła zalecony przez niego środek przeciwbólowy, tylekroć zażywała też dawkę czegoś, co przygotowała dla niej Peek. W końcu Sarah odzyskała apetyt, kaszel ustąpił, nawet jej stopy zaczęły się goić i pokrywać strupami.

Rachunek pana Leggetta sięgnął dwustu pięćdziesięciu dolarów, którą to sumę uznałam za wręcz horrendalną. Wyliczył dokładnie wszystkie wydatki, włącznie z opłatą za przejazd dorożką tamtej aktorki oraz za kajdany użyte w areszcie w Savannah. On i wuj postanowili znaleźć sposób, żeby doprowadzić do skazania pana Rogeta za współudział w ucieczce Sarah. Pana Leggetta kusiła ta obiecana dodatkowa nagroda, a wuj miał własne powody.

Nie dopisało im szczęście, kiedy poszli tropem kupna biletów na statek, natomiast niewiele czasu potrzebowali, żeby dowiedzieć się, że pan Roget zapewnił sobie usługi łapacza niewolników, o nazwisku Pitt, który sprowadził mu gadatliwą Midge, dobrze teraz znaną na Wschodnim Wybrzeżu dzięki niespotykanej trosce o zdrowie swojego pana. Okazało się, że Midge tak się spodobała Północ, że odmówiła powrotu do swojego pana.

— Ten Roget wpadnie w pułapkę przez własną arogancję — oświadczył wuj.

Pan Leggett wyjechał tymczasem, by zebrać zaprzysiężone zeznania świadków.

Nikt nie wiedział, co się stało z dzieckiem Sarah. Kiedy ją spytałam, zakasłała kilka razy i oznajmiła z typową dla siebie zwięzłością:

— Ona nieżywa.

Wuj mylił się; Sarah niewiele się zmieniła. Była ponura jak zawsze. Kiedy wydobrzała i mogła już pracować, spełniała swoje obowiązki bez komentarza i bez szczególnego zainteresowania, ale była bardziej kompetentna od in-

nych, a już na pewno bardziej od Rose, która za to była przyjemniejsza w obejściu. Nikt nie potrafił uczesać mnie jak Sarah ani też dbać tak o moje suknie czy o porządek w pokojach. Nadal w widoczny sposób nie znosiła Waltera.

Pewnego ranka, kiedy właśnie podawała mi śniadanie, wszedł do jadalni i zaczął szarpać ją za spódnicę i zawodzić, żeby go wzięła na ręce i przytuliła, na co Rose jakoś zawsze starczało czasu i ochoty. Sarah odstawiła dzbanek z kawą, trzepnęła go dłonią w policzek i gwałtownie odepchnęła od siebie. Z wrzaskiem wybiegł z pokoju.

— Czy on ci kogoś przypomina? — spytałam, a ona obrzuciła mnie jednym z tych prawie nie maskowanych, pogardliwych spojrzeń. Podniosła dzbanek i przechyliła się nad moim ramieniem, żeby napełnić mi filiżankę.

— Jesteś tak samo za niego odpowiedzialna jak ja — oświadczyłam. — Bóg mi świadkiem, że ja o niego nie prosiłam, ale przecież jest tutaj.

Podeszła do kredensu i stanęła tyłem do mnie; zaczęła kroić bagietkę, równie niewzruszona jak nóż w jej dłoni.

— Mówienie do was o odpowiedzialności nie ma żadnego sensu — ciągnęłam. — W ogóle tego nie pojmujecie. To jest właśnie dar, który wam wszystkim przekazujemy. Wy sobie po prostu uciekacie, a my was sprowadzamy z powrotem i nigdy nie macie z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Nikt nigdy nie wymaga od was odpowiedzialności za wasze postępowanie. Zakłada się po prostu, że nie macie żadnego poczucia moralności.

Łyżką nałożyła odrobinę serka kreolskiego na talerz obok pieczywa i przyniosła mi na stół. Lewą dłonią ułożyłam prawą na talerzu, w ten sposób przytrzymując pieczywo, i podniosłam nóż, żeby rozsmarować serek.

— Przez ciebie jestem kaleką — oświadczyłam. — Po-

patrz tylko, w jaki sposób muszę sobie radzić przy jeździe.

Staęła z boku i z zaciekawioną miną obserwowała moje dłonie.

— Gdybyś to nie ty dotarła do konia... — dodałam.

Pierwszy raz wspomniałam przy niej tamtą noc, chociaż często o niej śniłam. Biegłam i biegłam, koń tam stał, ale ja nigdy do niego nie dobiegłam, bo zawsze ktoś mi przeszkodził. Czasami był to mój mąż, czasami Sarah, czasami jakiś nieznany człowiek. Kiedyś, odwróciwszy się, zobaczyłam matkę, z zakrzywionymi w szpony palcami, z obnażonymi zębami, jak u dzikiego zwierzęcia. Budziłam się zrana potem, z sercem tłukącym się w piersi aż do bólu.

Sarah stała z założonymi rękoma i spoglądała na mnie. Słucha mnie, pomyślałam. Było to bardzo dziwne uczucie.

— Wiedziałaś, że mój mąż nie żyje — mówiłam. — Nie było więc powodu, żebyś uciekała. Ciebie nie zamierzali zabić.

Odgryzłam kęs chleba i spoglądałam na nią gniewnym wzrokiem. Odwzajemniła moje spojrzenie, ale widoczne w nim było jedynie zaciekawienie, jakby zastanawiała się, co powiem dalej.

— Ale ty już wcześniej uknułaś spisek z panem Rogetem, prawda? — spytałam. — Słyszałam, jak szeptaliście tamtej nocy. Wszystko przygotowaliście; twoje sprytnie przebranie i podróż statkiem i przyjaciół na Północy. Jestem przekonana, że wszyscy oni tam pozwalali ci czuć się bardzo ważną osobą i godną współczucia, bezbronną ofiarą, a nikt nie zapytał, jak ci się udało ująć i kogo zostawiłaś na pastwę losu.

Jej wzrok spoczął na talerzu, potem na filiżance obok

mojej dłoni. Wargi wykrzywił dziwny, skierowany do wewnątrz uśmiech, jakby sobie coś przypominała.

— Na Północy — oświadczyła — proszą do jadalni, usadzą przy stole. Potem dają filiżankę herbaty i pytają: „Śmietanka i cukier?”

Oniemiałam. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by wypowiedziała tyle słów naraz. Wuj miał rację, pomyślałam. Zmieniła się; oszalała. Przełknęłam łyk kawy.

— I to ci się podobało? — spytałam.

— Tak. — Podniosła wzrok i ze spokojem spojrzała prosto w moje oczy. — Mi się podobało.

Wyobraziłam to sobie. Sarah w pożyczonym ubraniu, siedzi sztywno przy stole, podczas gdy jakaś bezbarwna Jankeska, z zebranymi w ciasny kok rzadkimi włosami, podaje jej herbatę w porcelanowej filiżance. Jej szanowany mążonek przyniósł poduszkę, żeby gościowi było wygodniej. Obraz ten wydał mi się absolutnie niedorzeczny. Cóż oni sobie na Boga wyobrażają; co oni robią?